

Edgar Wallace
CZERWONY KRĄG



SK

Edgar Wallace

CZERWONY KRĄG

(The Crimson Circle)

Przełożył

F. Mirandola

Spis treści

Prolog [Gwóźdź](#)

- 1 [Wstęp](#)
- 2 [Człowiek, który nie płaci](#)
- 3 [Oziębła dziewczyna](#)
- 4 [Mister Feliks Marl](#)
- 5 [Dziewczyna, która uciekała](#)
- 6 [Talia Drummond, złodziejka](#)
- 7 [Skradziony bożek](#)
- 8 [Oskarżenie](#)
- 9 [Talia przed sądem policyjnym](#)
- 10 [Wezwanie Czerwonego Kręgu](#)
- 11 [Zeznanie](#)
- 12 [Szpiczaste trzewiki](#)
- 13 [Mister Marl wymusza jeszcze więcej](#)
- 14 [Talia otrzymuje zaproszenie](#)
- 15 [Talia zostaje członkinią bandy](#)
- 16 [Mister Marl wychodzi](#)
- 17 [Bańki mydlane](#)
- 18 [Opowieść Flusha Barneta](#)

- 19 [Talia przyjmuje ofertę](#)
- 20 [Klucz od domu nad rzeką](#)
- 21 [Dom nad wodą](#)
- 22 [Posłaniec Czerwonego Kręgu](#)
- 23 [Kobieta w szafie](#)
- 24 [Dziesięć tysięcy funtów nagrody](#)
- 25 [Mieszkaniec domu nad rzeką](#)
- 26 [Flaszka chloroformu](#)
- 27 [Matka inspektora Parra](#)
- 28 [Strzał wśród nocy](#)
- 29 [Czerwony Krąg](#)
- 30 [W jaki sposób Froyant został zmuszony do](#)

[milczenia](#)

- 31 [Talia odpowiada na kilka pytań](#)
- 32 [Wycieczka na wieś](#)
- 33 [Plakaty](#)
- 34 [Próba wymuszenia na rządzie](#)
- 35 [Talia biesiaduje w towarzystwie ministra](#)
- 36 [Zebrań Czerwonego Kręgu](#)
- 37 [Zobaczymy się... o ile będzie pan żył](#)
- 38 [Talia w więzieniu](#)
- 39 [Więzienny wikt](#)

40 [Ucieczka](#)

41 [Kto jest Czerownym Kręgiem?](#)

42 [Matka](#)

43 [Zakończenie opowieści](#)

Tekst opracowano na podstawie wydania z 1928

r.

PROLOG

Gwóźdź

Nie ulega żadnej zgola wątpliwości, że gdyby nie rocznica urodzin pana Wiktora Palliona, w dniu 29 września nie byłoby wcale tajemnicy Czerwonego Kręgu. Kilkunastu ludzi obecnie nie żywych, żyłoby dotąd prawdopodobnie, a pozbawiony wszelkich uczuć inspektor policji nie nazwałby na pewno Talii Drummond „złodziejką i współniczką złodziei”.

Pan Pallion ugaszcział swoich trzech pomocników w szyneczku „Pod złotym Kogutem” w Tuluzie, a małe towarzystwo biesiadowało zgodnie i wesoło. O trzeciej rano przypomniał sobie pan Pallion, że przybył do Tuluzy w celu ścięcia pewnego, angielskiego zbrodniarza, nazwiskiem Lightman.

— Chłopcy! — rzekł poważnie, choć trochę bełkotliwie, — Już trzecia, a mamy ustawić przecież „Czerwoną Damę”. Poszli na plac przed więzieniem, gdzie stał już od północy wóz z różnymi częściami składowymi gilotyny. Wprawnie, jak to tylko uczynić

mogą fachowcy, ustawili straszny przyrząd, wprowadzając nóż w przeznaczone nań wyżłobienie.

Ale największa wprawa nie ustoi się przed siłą win południowofrancuskich, toteż gdy spróbowali spuścić nóż, nie spadł w sposób należyty.

— Zaraz będzie wszystko w porządku! — oświadczył pan Pallion i wbił w ramię gwóźdź, tam właśnie, gdzie go całkiem nie było potrzeba.

Zmieszał się, gdyż żołnierze wkroczyli już na plac.

W cztery godziny później (rozwidniło się już tak, że ochoczy do pracy fotograf mógł z bliska zdjąć skazańca) wyprowadzono delikwenta z więzienia.

— Uszy do góry! — szepnął mu pan Pallion.

— Niech cię szlag trafi! — zgrzytnął nieszczęśnik, którego właśnie przywiązywano do deski.

Pan Pallion pociągnął za rękojeść, a nóż spadł.. ale tylko do gwoździa.

Kat próbował trzy razy, zawsze daremnie. Niecierpliwi widzowie przerwali kordon wojska, a więźnia odprowadzono do celi.

W jedenaście lat później, gwóźdź ten zabił wielu ludzi.

Wstęp

Działo się to w porze, kiedy czcigodni obywatele włączają do łóżek. Górne okna wąskich, wysokich, staromodnych kamienic połyskiwały światłem, na tle którego widać było zarysy bezlistnych drzew wiatrem kołysanych. Zimny podmuch płynął od rzeki, docierając do najdalszych i najlepiej osłoniętych zakątków.

Człowiek jakiś chodził z wolna wzdłuż wysokiej kraty i drżał mimo ciepłej odzieży ze zimna, gdyż nieznajomy wyznaczył mu schadzkę, w miejscu wystawionym na całą nawałę burzy. Ułamki różnych zerwanych przedmiotów wirowały mu fantastycznie dookoła nóg, a liście i gałęzie hałaśliwie spadały z drzew. Czekający spozierał z zazdrością na miłe światło w jednym z domów, gdzie by go przyjęto ochotnie, gdyby tylko zastukał.

Zegar wydzwonił jedenastą, a z ostatnim uderzeniem wjechało na plac szybko i bezgłośnie auto, zatrzymując się tuż obok niego. Latarnie świeciły

mglisto, a w zamkniętym pojeździe nie było można nic zobaczyć. Po krótkim wahaniu otworzył czekający drzwi i wsiadł.

Zaledwo rozróżniał w ciemności plecy siedzącego przed nim szofera, a serce mu biło mocno na myśl o całym ryzyku tego kroku.

Ale wóz stał w miejscu, a szofer siedział bez ruchu. Cisza panowała przez chwilę.

Potem odezwał się mężczyzna, który wsiadł, tonem nerwowego podrażnienia:

— I cóż?

— Czy się pan zdecydował? — spytał szofer.

— Oczywiście, inaczej nie byłbym przychodził — odpowiedział gość. — Nie z ciekawości to uczyniłem. Czego pan chce ode mnie? Powiedz mi pan to, a ja postawię swoje żądania.

— Wiem, czego pan chce ode mnie! — rzekł szofer głucho i niewyraźnie, jakby mówił poprzez zasłonę.

Człowiek, który wsiadł, nawykłszy do ciemności, rozeznał zarys czarnej jedwabnej czapki na głowie szofera.

— Stoi pan nad brzegiem bankructwa! — oświadczył szofer. — Zużył pan nieswoje pieniądze i chcesz się zabić. Ale nie bankructwo skłania pana do samobójstwa. Masz wroga, który zna hańbiący pana fakt, którym by niezawodnie zajęła się natychmiast policja. Przed trzema dniami otrzymałeś pan od jednego z przyjaciół, współwłaściciela fabryki chemicznej, śmiertelną truciznę, której nabyć nigdzie nie można, czytałeś przez tydzień o rozmaitych truciznach i jeśli nie nastąpi jakiś ratunek, otrujesz się pan w sobotę wieczór lub w niedzielę rano. Sądzę, że raczej w niedzielę.

Słyszając poza sobą okrzyk zdziwienia, uśmiechnął się łagodnie.

— I cóż sir? Czy gotów pan jest za pewnym wynagrodzeniem pracować dla mnie?

— Czego pan żąda? — spytał, drżąc całym ciałem.

— Tego tylko, by pan spełniał zlecenia, ja zaś ochronię pana przed niebezpieczeństwem i dobrze zapłacę. Gotów jestem dać znaczną kwotę na umorzenie najkonieczniejszych zobowiązań. W zamian za to będzie pan puszczał w obieg wszystkie nadsyłane przeze mnie pieniądze, wymieniając je w razie potrzeby

na obcą walutę, zacierać ślady numerów znanych policji, sprzedawać papiery wartościowe, których ja sprzedawać nie mogę, słowem zostaniesz pan agentem moim i na żądanie — dodał z naciskiem, — będziesz robił czego zażadam.

Siedzący poza szoferem mężczyzna namyślał się długo, potem zaś spytał z niejakim zuchwalstwem:

— Co to jest „Czerwony Krag”?

— Pan nim jesteś — odrzekł szofer.

— Ja? — wykrztusił zdumiony wielce.

— Tak, pan i setki współpracowników, z których pan żadnego nie pozna nigdy i żaden z nich pana znać nie będzie.

— A pan?

— Ja znam wszystkich. No co, czy zgoda?

— Zgoda — rzekł po chwili.

Szofer obrócił się trochę na siedzeniu i wyciągnął rękę.

— Weź pan to — powiedział.

Była to wielka, gruba wypchana koperta, a nowy członek „Czerwonego Kręgu” wetknął ją w kieszeń.

— Wsiądź pan teraz — rozkazał szofer krótko, a

tamtę usłuchał, nie stawiając dalszych pytań.

Zatrzasnąwszy drzwi wozu, podszedł do szofera, chcąc go zobaczyć, co miało dlań wielką wagę.

— Nie zapalaj pan tu cygara — rzekł szofer. Inaczej muszę przypuścić, że świecenie zapalki stanowi tylko pozór. Drogi przyjacielu, wiedz, że ten, kto mnie pozna, natychmiast znajomość tę zabiera ze sobą do piekła.

Zanim mógł odpowiedzieć, wóz ruszył, a on stał z kopertą w ręku i patrzył tak długo, aż znikła tylna czerwona lampa.

Drżał całym ciałem, a zapalka użyta do cygara trzymanego w kłapiących zębach dygotała niezwykle.

— Więc to on — mruknął chrypliwie, przeszedł na drugą stronę ulicy i znikł na zakręcie.

Zaledwie odszedł, wyszedł z ciemnej bramy domu ktoś ledwo widoczny po ciemku i jał się ostrożnie skradać za pierwszym. Był to człowiek wysoki, barczysty, ale przeszkadzał mu w szybkim ruchu krótki oddech. Uszedłszy sto kroków, zauważył, że trzyma ciągle jeszcze w ręku silną lornetkę, przez którą wcześniej obserwował.

Na głównej ulicy nie spostrzegł już śledzonego i spodziewając się, że tak będzie, nie uczuł niepokoju. Wiedział, gdzie go szukać. Kto atoli siedział w aucie? Odczytał numer i mógł nazajutrz wyśledzić właściciela. Pan Feliks Marl skrzywił się ucieszenie, ale nie czułby z pewnością radości, gdyby do uszu jego doleciała część choćby rozmowy obserwowanych ludzi. Silniejsi od niego ugięli się przed grozą „Czerwonego Kręgu”.

Człowiek, który nie płaci

Filip Brossard płacił i żył, bowiem „Czerwony Krąg” dotrzymywał słowa. Jakób Rieci, bankier płacił także i żył, ale wśród nieustannej trwogi. W miesiąc później zmarł naturalną śmiercią na serce. Benson, syndyk kolei, drwił z pogrózek „Czerwonego Kręgu” i znaleziono go martwego obok własnego auta.

Pan Derrick Yale, obdarzony niezwykłymi zdolnościami, schwycił Murzyna, który, zakradłszy się do prywatnego wozu Bensona, zamordował go i wyrzucił oknem zwłoki.

Powieszono mordercę, który nie zdradził nazwiska swego rozkazodawcy. Policja mogła drwić dowolnie z psychometrycznej wiedzy Derricka Yale.. i czyniła tak nawet. . ale dzięki temu właśnie w ciągu dwu dób zbrodniarz został przychwycony i przyznał się.

Po tym zdarzeniu wiele osób musiało chyba płacić okup, gdyż przez długi czas nie było w dziennikach wzmianki o „Czerwonym Kręgu”. Atoli dnia pewnego

znalazł James Beardmore na stole, obok zastawy lunchowej, czworoboczną kopertę z kartą zaopatrzoną w czerwone koło.

— Jacku! Interesują cię melodramaty życia, przeto przeczytaj to.

Potem rzucił przez stół kartę synowi i wziął do ręki następny list z wielkiego stosu leżącego przy talerzu.

Jack podniósł kartę z ziemi, gdzie spadła i ją badać, chmurząc czoło. Był to zwyczajny list tylko bez adresu, a wielki, czerwony krąg sięgający brzegów był wyciśnięty, zda się, stemplem gumowym, gdyż farba miała nierówne plamy. Pośrodku zaś tego kręgu widniał napis drukowanymi literami.

STO TYSIĘCY STANOWI MAŁĄ TYLKO
CZEŚĆ PAŃSKIEGO MAJĄTKU. SUMĘ TĘ
WYPŁACI PAN MEMU POSŁAŃCOWI W
BANKNOTACH. OGŁOSZENIEM W
"TRYBUNIE" ZAWIADOMI MNIE PAN O
CZASIE NAJDOGODNIEJSZYM DO WYPŁATY,
A TO W CIĄGU JEDNEJ DOBY. JEST TO
OSTATNIA PRZESTROGA.

Nie było podpisu.

— No i co?

Stary James Beardmore patrzył na syna przez okulary, a oczy jego się uśmiechały.

— „Czerwony Krag” — rzucił syn z przerażeniem.

Ojciec roześmiał się głośno z jego strachu.

— Tak — powiedział. — To jest „Czerwony Krag”. Dostałem już cztery takie epistoły.

Młodzieniec otworzył szeroko oczy.

— Cztery! Wielki Boże! Czy z tego powodu przebywa u nas Yale?

James Beardmore uśmiechnął się.

— Tak. Z tego właśnie powodu.

— Oczywiście, wiedziałem, że jest detektywem, ale nie miałem pojęcia...

— Nie troszcz się, mój drogi, tym „Czerwonym Kręgiem” — przerwał zniecierpliwiony ojciec. — Nie zastraszy mnie on. Froyant boi się, czy go nie wciągnięto na listę. Istotnie, w czasach ostatnich narobił sobie wrogów.

James Beardmore, o twarzy wyschłej,

pomarszczonej, z brodą szczecinowatą i szpakowatą, wyglądał na dziadka pięknego młodzieńca siedzącego naprzeciw. Majątku dorobił się Beardmore z wielkim trudem. Początkowe liczne niepowodzenia, niebezpieczeństwa, troski i braki spekulanta uwieńczyło bogactwo. Nie mogły bardzo przerazić pogróżki „Czerwonego Kręgu” tego człowieka, który walczył ze śmiercią wśród bezwodnej puszczy Kalahari, szukał nieistniejących diamentów w mule rzeki Yale, a w Klondyke utrzymał się jedynie przez wynalazek sztucznego topienia lodu. W tej chwili zajmowało go niebezpieczeństwo bliższe znacznie, a dotyczące syna.

— Drogi Jacku — zaczął. — Ufam bardzo twemu rozsądkowi i dlatego niech cię nie obrazi to, co ci powiem. Nie wtrącałem się nigdy do twych rozrywek i nie wątpiłem w twój sąd o rzeczach... czy jednak w tym danym wypadku postępujesz rozsądnie?

Jack zrozumiał dobrze słowa ojca.

— Masz, ojczy, na myśli miss Drummond, nieprawda? — spytał.

Starzec potwierdził skinieniem.

— Jest ona sekretarką Froyanta... — zaczął

młodzieniec.

— Wiem, że jest sekretarką Froyanta — rzekł ojciec, — i to jej wcale nie ubliża.

Czy wiesz jednak o niej coś więcej?

Jack złożył w zadumie serwetę. Poczzerwieniał i zasepił się, co bawiło widocznie tajemnie Jima.

— Lubię ją — powiedział Jack — Jest moją przyjaciółką. Ale nigdy nie nadskakiwałem jej, ojczy, i pewny jestem, że w takim razie prysnęłaby zaraz nasza przyjaźń.

James skinął ponownie głową. Powiedziawszy co trzeba, wziął w rękę wielką kopertę i spojrzał na nią z zaciekawieniem. Jack zauważył francuskie znaczki i zadumał się, kto by mógł to nadesłać.

Starzec rozerwał ją. Zawierała mnóstwo listów i drugą jeszcze, opieczętowaną kopertę. Przeczytał napis na wierzchu umieszczony i skrzywił się z niechęcią.

— Ach! — powiedział i odłożył kopertę, nie otwierając jej.

Przejrząwszy pobieżnie korespondencję, spojrzał na syna.

— Nie dowierzaj nigdy mężczyźnie ni kobiecie —

powiedział — dopóki się nie dowiesz o nich tego, co najgorsze. Dzisiaj odwiedzi mnie człowiek będący wybitnym członkiem społeczeństwa. Przeszłość jego jest czarna, jak mój kapelusz, a mimo to będę z nim robił interesy, gdyż wiem o nim rzecz najgorszą.

Jack się roześmiał, a rozmowę przerwało wejście gościa.

— Dzień dobry, Yale. Spał pan dobrze? — zapytał starzec. — Jack, zadzwoń i każ przynieść świeżej kawy.

Odwiedziny Derricka Yale były wielką radością dla Jacka Beardmore'a. Jako młody czuł pociąg do wszystkiego, co romantyczne. Najzwyklejszy detektyw był dlań osobą wielce pożądaną. Ale nimb otaczający Derricka Yale miał w sobie coś zgoła nadprzyrodzonego.

Człowiek ten wyposażony był w zdolności niezwykle, które go wyróżniały spośród innych.

Delikatne, estetyczne rysy. poważne, tajemnicze oczy, a nawet ruchy długich, wrażliwych rąk posiadały swoistą, odrębną cechę.

— Nigdy nie śpię naprawdę — powiedział wesoło,

rozkładając serwetkę.

Wziął w palce obrączkę srebrną, w której tkwiła serwetka. James Beardmore patrzył nań z uradowaniem, a Jack z nietajonym zgoła podziwem.

— I co? — spytał James.

— Człowiek, który ostatni miał w ręku tę obrączkę, otrzymał bardzo złe wieści. Jakiś jego krewny. . może ojciec.. zachorował ciężko.

Beardmore skinął głową.

— Jane Higgins, pokojówka zastawiająca dziś rano śniadanie, otrzymała wiadomość, że matka jej spoczywa na łożu śmierci,

Jack zdumiał się.

— I to wyczuł pan w tej obrączce? — spytał. W jaki sposób otrzymuje pan te wrażenia?

Derrick Yale potrząsnął głową.

— Nie będę czynił prób wyjaśnienia — powiedział spokojnie. — Wiem tylko, że w chwili rozkładania serwetki uczułem wielką troskę. To jest wprost niesamowite... nieprawdaż?

— Skądże panu wpadł ten krewny, ta matka?

— Wyczułem to w jakiś tajemny sposób — odparł

Yale tonem podrażnienia. — Jest to rodzaj wniosku podświadomego. Czy ma pan jakieś nowe wiadomości, panie Beardmore?

Miał odpowiedź podał mu James otrzymaną tego poranka kartkę.

Yale przeczytał i zważył kartkę na białej dłoni.

— Kartkę tę wrzucił do skrzynki pocztowej marynarz — rzekł po chwili. — Człowiek ten siedział w więzieniu, a w czasach ostatnich stracił dużo pieniędzy.

Jim Beardmore zaśmiał się.

— Ja mu ich nie zwrócę na pewno — powiedział, wstając od stołu. — Czy uważa pan to ostrzeżenie za rzecz poważną?

— Nawet bardzo — odparł, jak zawsze, z powagą. — Jest to tak poważne, że radziłbym panu wychodzić z domu tylko w moim towarzystwie. „Czerwony Krag” — dodał, uchylając gestem swoistym niechętny sprzeciw Beardmore’a, — jest, co przyznaję, w metodach swych po prostu melodramatyczny. Ale spadkobierców pańskich nie pocieszy fakt, że zmarłeś w sposób teatralny.

Jim Beardmore milczał przez chwilę, a syn

spoglądał nań z trwogą.

— Czemuż nie wyjedziesz, ojcze, za granicę? —
spytał.

Ale starzec ofuknął go.

— Przeklęty wyjazd! Czyż mam uciekać przed
bandą czarnej ręki? Postaram się o to, by się dostali
do...

Nie powiedział gdzie, ale można się było tego
domyślić.

Oziębła dziewczyna

Jack Beardmore kroczył tego ranka głęboko zamyślony przez łąkę, kierując się bezwiednie ku małej dolince odległej o milę mniej więcej od domu. Żywopłot rozdzielał posiadłości Beardmore'a i Froyanta. Ranek był cudny. Minęła burza, która ubiegłej nocy przeszła tędy, a wszystko wokół lśniło w złocistych promieniach słońca. W dali, poza warstwą zieleni porastającą Penton Hill, widniała wielka, biała pańska rezydencja Froyanta.

Młodzieniec zawahał się, czy iść tam, bowiem ziemia rozmiękła, a trawa była mokra.

Przystanął pod wielkim wiązem na skraju doliny i patrzył z niepokojem wzdłuż linii żywopłotu aż ku niewielkiej willi letniej wystawionej przez dawniejszych właścicieli miejscowości Tover House, bowiem Harvey Froyant, nienawidzący zresztą samotności, nie pozwoliłby sobie za nic na taką rozrzutność.

Nikogo nie było widać i młodzieńca ogarnął

smutek. Po dziesięciu minutach dotarł do dziury w żywopłocie, którą sam uczynił. Przeszedł nią na drugą stronę. Dziewczyna będąca we wili musiała usłyszeć jego westchnienie ulgi, gdyż obejrzała się, wstając jakby z niechęcią.

Była niezwykle piękna, jasnowłosa i miała delikatną pleć. Ale podchodząc do przybyłego nie uśmiechnęła się na powitanie.

— Dzień dobry — powiedziała chłodno.

— Dzień dobry, Talio — odrzekł, a ona zmarszczyła czoło.

— Wołałabym, byś pan tego nie czynił — zauważyła, on zaś wiedział, że mówi serio.

Jej zachowanie w stosunku do niego było mu zagadką i wielką troską jednocześnie.

Pewnego dnia ujrzął, jak goni zająca i patrzył zdziwiony na śmiejącą się Dianę pędzącą drobnymi nóżkami w ślad przestraszonego zwierzęcia. Słyszał także jej śpiew wesoły, ochoczy. . ale bywała także przygnębiona i smutna, jakby ją trawiła choroba.

— Czemu pani jesteś dla mnie zawsze taka chłodna i formalistyczna? — spytał z niezadowoleniem.

Lekki uśmiech zjawił się w kątach jej ust.

— Dlatego, że czytałam książki — odrzekła uroczyście — i wiem, jaki zazwyczaj bywa los biednej sekretarki, która wobec syna milionera nie jest chłodna i formalistyczna.

Powiedziała to ze szczerością, wprawiającą go w zakłopotanie.

— Zresztą nie ma powodu dlaczego nie miałabym być chłodna. W ten sposób traktować należy bliźnich swoich, o ile się, oczywiście, któregoś nie kocha. A ja pana nie Kocham.

Wyrzekła to spokojnie, z rozwagą, a młodzian poczerwieniał silnie. Uczuł drwiny i wstydził się, że je sam wywołał.

— Chciałabym panu coś powiedzieć, panie Beardmore — ciągnęła dalej jednostajnie, jak zawsze — coś, co panu pewnie jeszcze nie wpadło do głowy. Oto, jeśli młody człowiek i młoda dziewczyna znajdują się razem na bezludnej wyspie, jest rzeczą całkiem zrozumiałą, że młodzieniec ów uważa dziewczynę za jedyną piękność świata. Cała jego kapryśna wyobraźnia skupia się na tej jednej tylko kobiecie i

idealizuje ją coraz bardziej. Czytałam dużo historii o takich bezludnych wyspach oraz widywałam nieraz filmy tej treści, nader interesującej. Uczucie pańskie dla mnie ujmuję w ten właśnie sposób. Jesteś pan tu na bezludnej wyspie... zbyt wiele czasu poświęcasz królikom, ptakom i Tali Drummond. Powinien pan udać się do miasta i żyć trochę więcej z ludźmi swojej warstwy społecznej.

Skinęła mu głową i odwróciła się, spostrzegłszy, że nadchodzi jej chlebodawca.

Zauważyła także, iż przystanął, spozierając spod oczu, i odgadła jego niezadowolenie.

— Sądziłem, że robi pani zestawienie rachunków — powiedział szorstko.

Był to chudy wielce człowiek, około pięćdziesięcioletni, o rysach wyrazistych i przedwczesnej łysinie. Miał niemiły zwyczaj pokazywania swych wielkich, żółtych zębów, gdy pytał. Nadawało mu to taki wyraz, jakby każdą odpowiedź uważał z góry za wykręt.

— Dzień dobry, Beardmore — mruknął na powitanie, a zwracając się ponownie do sekretarki,

rzekł:

— Nie lubię, kiedy pani marnotrawi czas, miss Drummond — zauważył.

— Nie marnotrawię ani swego, ani pańskiego czasu — odparła spokojnie. — Zestawienie dawno już gotowe. Oto jest — wskazała trzymaną pod pachą zużytą tekę.

— Mogła pani przecież załatwić to w biurze, nie było zgoła potrzebne udawać się z tym w dzicz i samotność.

Potańił długi nos i przeniósł z dziewczyny spojrzenie na młodzieńca.

— Ano to dobrze — powiedział. — Mam właśnie zamiar odwiedzić ojca pańskiego. Może mi zechcesz towarzyszyć?

Talia znikła już na drodze do Tower Hill, przeto Jack stracił wszelki pretekst pozostania tu dłużej.

— Nie zabieraj pan tyle czasu tej dziewczynie, Beardmore. Nie czyń pan tego, proszę — rzekł Froyant gderliwie. — Nie ma pan pojęcia, ile ona ma do roboty. Przy tym pewny jestem, że ojciec pański nie byłby temu rad.

Jack chciał odpowiedzieć ostro, ale powściągnął się. Nienawidził Froyanta, a w tej chwili w trójnasób jeszcze, z powodu szorstkiego traktowania Tali.

— Dziewczęta tego rodzaju.. — zaczął Froyant, podczas gdy szli wzdłuż żywopłotu ku furtce przy końcu doliny — dziewczęta tego rodzaju.. — nagle stanął skamieniały. — Któż u diaska wyłamał mi żywopłot? — spytał, pokazując łaską dziurę.

— Ja — odparł Jack gniewnie. — Zresztą jest to nasz żywopłot, a dziura oszczędza pół mili drogi. Chodźmy tędy, panie Froyant.

Nie czyniąc już dalszych uwag, przelaź Froyant przez żywopłot i poszli razem ku wielkiemu wiazowi, spod którego Jack rozglądał się niedawno.

Harvey Froyant kroczył w milczeniu. Trzymał się tradycji, o ile mógł z tego wyciągnąć jakąś korzyść.

Dotarli na szczyt wzgórza, gdy nagle uczył, że Jack chwyta go z tyłu za ramię.

Obejrzał się i zobaczył, że młodzieniec tkwi spojrzeniem w pniu drzewa. Skierował tam oczy i cofnął się o krok. Jego chorowita twarz pobladła jeszcze bardziej. Na pniu widniał duży czerwony krąg.

Farba jeszcze nie zaschła.

Mister Feliks Marl

Jack Beardmore rozejrzał się bacznie wokoło. Jediną żywą istotą był człowiek z teką pod pachą, który się od nich oddalał powoli. Jack krzyknął, a idący obrócił się.

— Kto pan jest? — spytał Jack. — I czego pan tutaj szuka?

Był to mężczyzna wysoki, zażywny, zadyszany skutkiem dźwigania ciężkiej torby.

Sapał przez chwilę, zanim mógł odpowiedzieć:

— Nazywam się Marl, Feliks Marl. Sądzę, że słyszał pan o mnie. Jeśli się nie myłę, jest pan młodym panem Beardmore'em?

— Tak jest — odrzekł Jack — Czego pan tutaj chce? — spytał powtórnie.

— Powiedziano mi, że w ten sposób mogę sobie skrócić drogę z dworca. Ale nie jest ona tak krótka, jak mi obiecywano — odparł Marl, dysząc co słowo. — Idę właśnie do pańskiego ojca.

— Czy był pan w pobliżu tamtego drzewa? — spytał Jack, a Marl wybałuszył nań oczy.

— Czemuż miałem być w ogóle w pobliżu jakiegoś drzewa? — odrzucił wyzywająco.

— Powiadam panu przecież, że szedłem prosto polem.

Tymczasem zbliżył się Harvey Froyant, który znał widocznie przybysza.

— A, to mister Marl, znam go. Słuchaj no pan, czy widziałeś kogoś w pobliżu tamtego drzewa?

Marl zaprzeczył ruchem głowy. Drzewo i jego tajemnica to były dlań widocznie sprawy niezrozumiałe.

— Nie wiedziałem wcale, że stoi tam jakieś drzewo — odparł. — A cóż... cóż się stało?

— Nic — powiedział Froyant ostro.

Jack wziął torbę przybysza i niebawem dotarli do domu. Rosła, zażywna postać Marla nie uczyniła na Jacku korzystnego wrażenia. Głos jego brzmiał chrypliwie, zachowanie było poufale, tak że zachodził w głowę, w jakich stosunkach zostawać może ojciec z tym dziwnym egzemplarzem ludzkiej rasy.

Tuż pod domem wydał gruby Marl, bez żadnego

widocznego powodu, okrzyk strachu i skoczył wstecz. Był błydy, wargi mu drżały i dygotał całym ciałem.

Jack patrzył nań ze zdziwieniem, a nawet Harvey Froyant objawił wielkie zainteresowanie.

— Cóż się, u diabła, dzieje z panem? — spytał z wściekłością.

Jego nerwy, napięte już bardzo silnie, doznały nowego wstrząsu skutkiem niezaprzeczalnego przestraszenia dryblasem.

— Nic... nic... — mruknął Marl chrypliwie — ja tylko...

— Upiłeś się pan zapewne — huknął nań Froyant.

Odprowadziwszy gościa do domu, ruszył Jack na poszukiwanie Derricka Yale'a.

Detektyw siedział w trzcinowym fotelu, pośród krzewów, z głową opuszczoną na piersi i skrzyżowanymi rękami.

Usłyszawszy kroki młodzieńca podniósł głowę.

— Nie mogę panu powiedzieć, czego się przestraszył Marl — rzekł Yale, zanim Jack zadał pytanie, a widząc jego zdumienie, zaśmiał się i dodał — Wszakże o to chciał pan pytać?

— Przybyłem z tym zamiarem — roześmiał się także Jack. — Dziwny z pana człowiek. Czy może spostrzegł pan jego przerażenie.

Yale potwierdził skinieniem.

— Widziałem go tuż przed atakiem. Widać stąd całą drogę polną — oświadczył, marszcząc czoło. — Przypomina mi kogoś... — ciągnął dalej z wolna — a jednak nie mogę powiedzieć, kto to jest. Ojciec wspomniał, że przybędzie i dlatego odgadłem.

Jack potrząsnął głową.

— Widzę go po raz pierwszy — powiedział. — Pamiętam atoli, że ojciec i Froyant mieli jakieś interesy z niejakim Marlem. Ojciec wymienił raz to nazwisko. Handluje on, o ile wiem, parcelami gruntowymi, a ojca interesuje to obecnie. — Potem dodał: — Prócz tego widziałem znak „Czerwonego Kręgu” — i opisał świeżo malowany znak dostrzeżony na pniu wiązu. Yale przestał się natychmiast zajmować Marlem.

— Gdym szedł w stronę doliny, mogę przysiąc, nie było go na tym drzewie. Ktoś go wymalował podczas mej rozmowy... ze znajomym. Pnia tego nie widać od strony płotu, toteż mógł to uczynić ktoś niepostrzeżenie.

Co oznacza ten znak, mister Yale?

— Oznacza to mnóstwo wielkich przykrości — odparł detektyw.

Wstał i jął chodzić po wykładanej flizami drodze, a Jack nie przeszkadzał mu w rozmyślaniach.

Tymczasem Marl usiłował, bezskutecznie zgoła, przedstawić interes, z którym tu przybył. Był on, jak mówił Jack, spekulantem gruntowym i przyniósł nader korzystne propozycje, atoli nie był w stanie ich wyluszczyć.

— Trudna rada, moi panowie — powiedział dotykając po raz czwarty warg drżącymi palcami. — Dziś rano miałem atak.

— Cóż to było?

Marl nie umiał objaśnić, potrząsał tylko bezsilnie głową.

— Nie jestem w możności omówić dziś sprawy z koniecznym spokojem — oświadczył. — Musimy to odłożyć do jutra.

— Czy sądzi pan, że po to przyszedłem, by słuchać takich bzdur? — rozgniewał się Froyant. — Oświadczam, że chcę dziś sprawę załatwić, a tego

samego domaga się mister Beardmore.

Jimowi Beardmore'owi było obojętne kiedy to nastąpi i zaśmiał się.

— Nic tak pilnego — powiedział. — Jeśli mister Marl czuje się źle, po cóż go dzisiaj męczyć? Może pan chce przenocować tutaj, panie Marl? — dodał.

— Nie, nie, nie! — wykrzyknął gość niemal ze zgrozą. — Jeśli pan pozwoli, nie zostanę tutaj na noc...

— Pańska wola — odparł Jim Beardmore obojętnie, składając papiery przysposobione do podpisu. Potem wyszli razem do wielkiego przedsiönka, gdzie napotkali Jacka. Pojazd Beardmore'a zawiózł gościa i jego torbę na dworzec, gdzie mister Marl postąpił zgoła dziwnie. Mianowicie nadał torbę koleją do miasta, sam zaś wysiadł na najbliższym przystanku i ruszył pieszo z powrotem dziewięć mil aż do posiadłości Beardmore'a, co było wprost bohaterskim czynem dla człowieka nienawidzącego chodzenia, któremu szkodził każdy wysiłek fizyczny. Nie szedł nawet drogą najkrótszą.

Zmierzchało już, gdy wkroczył ostrożnie w zarośla, nad granicą Beardmore'a.

Usiadł okryty kurzem ale pełen odwagi, czekając, aż noc zapadnie i bawiąc się małym, szybkostrzelnym pistoletem, dobytym z kieszeni.

Dziewczyna, która uciekała

— Nie wiem czemu ten człowiek nie wrócił dziś rano? — rzekł Jim Beardmore, chmurząc czoło.

— Co za człowiek? — spytał Jack obojętnie.

— Marl, oczywiście.

— Czy to ten wysoki grubas, którego widziałem wczoraj? — spytał Derrick Yale.

Stali na tarasie domu, skąd widać było całą najbliższą okolicę.

Poranny pociąg przybył i ruszył dalej. Widzieli przez chwilę białą smugę dymu, potem zaś przepadł w odległości dziewięciu mil poza wzgórzami.

— Zatelefonuję chyba do Froyanta, by nie przychodził nadaremnie — powiedział Jim Beardmore, trąc podbródek. — Marl jest dla mnie istną zagadką. Dzielny to człowiek, wiem jednak, że był dawniej złodziejem. Poprawił się... Przynajmniej sędzę, że się poprawił. Jacku, cóż go to wzburzyło wczoraj tak dalece? Wyglądał jak śmierć w chwili, gdy wszedł do

gabinetu.

— Nie mam najmniejszego pojęcia. Sądzę, że cierpi na serce czy coś podobnego.

Opowiadał, iż miewa czasem takie ataki.

Beardmore roześmiał się, wszedł do domu i wrócił z łaską.

— Przejdę się trochę — rzekł do syna. — Nie, nie chodź ze mną. Chciałbym rozważyć pewne sprawy. Przyrzekam panu Yale'owi, że nie przekroczę granic mej posiadłości, chociaż jestem pewny, że pan zbytnią wagę przywiązujesz do pogroźek tych rabusiów.

Yale potrząsnął głową.

— A znak na drzewie? — spytał.

Jim mruknął wzgardliwie.

— Trzeba by czegoś więcej, by ze mnie wydusić te sto tysięcy.

Zszedłszy z szerokich schodów skinął im ręką na pożegnanie, oni zaś patrzyli za kroczącym z wolna przez park.

— Czy sądzi pan, że coś poważnego zagraża memu ojcu? — spytał Jack.

Yale, patrzący jeszcze za odchodzącym, obrócił się

nagle.

— Czy zagraża? — rzekł gniewnie. — Tak, w dniach najbliższych zagraża mi wielkie niebezpieczeństwo!

Jack zatroskał się bardzo.

— Pocieszam się nadzieją, że nie ma pan racji — powiedział. — Ojciec nie bierze sprawy tak poważnie, jak pan.

Dlatego, że ojciec pański nie doświadczył tego, co ja — odparł detektyw. — O ile wiem, pytał naczelnego inspektora Parra, a on potwierdził, że niebezpieczeństwo jest istotnie wielkie.

Jack roześmiał się, mimo swych obaw.

— Jakież może istnieć porozumienie pomiędzy lwem i jagnięciem? — powiedział do Yale'a. — Sądzę, że prezydium policji nie bardzo liczy się z takim człowiekiem, jakim pan jest.

— Podziwiam Parra — zauważył Derrick. — Pracuje powoli ale bardzo gruntownie.

Jest to, o ile wiem, najsumienniejszy człowiek całego urzędu i nie doceniono go wcale w toku sprawy ostatniej zbrodni „Czerwonego Kręgu”. Podobno ma

się podać do dymisji, o ile nie zdoła przychwycić bandy.

Podczas tej rozmowy Jim Beardmore znikł w małym lasku, na skraju swojej posiadłości.

— Pracowałem z nim w tej właśnie sprawie i nie uszło mej bacności..

Urwał i obaj wyteżyli słuch.

Trudno było nie poznać odgłosu. W pobliżu padł strzał, od strony lasu. Jack przeskoczył poręcz i pognał łąką, a Derrick Yale biegł za nim.

O dwadzieścia kroków od drogi leśnej leżał twarzą do ziemi Jim Beardmore. Nie żył już. Podczas gdy Jack spoglądał na ojca niezmiernie przerażony, z przeciwległego końca lasu wybiegła dziewczyna. Zatrzymała się na moment, by garścią trawy zetrzeć z ręki coś czerwonego i popędziła wzdłuż żywopłotu dzielącego obie posiadłości, ku willi.

Talia Drummond nie obejrzała się, dopóki nie wpadła do willi. W chwili gdy, stojąc w progu, skierowała ku lasowi spojrzenie, jej twarz była zmieniona, blada, oddech urywany.

Niezwłocznie weszła do domu, uknęła na

podłozie i jęła drżącymi rękami podwazać jedną z desek. Dokonawszy tego ujrzała wgłębienie. Po krótkim wahaniu rzuciła tam trzymany w ręku pistolet szybkostrzelny i nakryła otwór deską.

Talia Drummond, złodziejka

Komisarz patrzył na wycinek gazety leżący przed nim i targał nerwowo wąsy.

Inspektor Parr, znający te objawy spoglądał nań ze szczególnym zainteresowaniem.

Był to niski, przysadkowaty mężczyzna. Brakło mu dużo cali do miary normalnej i dziwne było nawet, jakim sposobem mógł pod tym względem zadość uczynić wyraźnym i szczegółowym przepisom władzy policyjnej. Chociaż miał już około lat pięćdziesiąt, na twarzy jego nie było zmarszczek. Zaś twarz nie przejawiała śladu rozumu ni wykształcenia.

Kragłe wylupiate oczy bez wyrazu podobne były wolim. Duży, mięsisty nos, obwisłe policzki i na poły łyśa czaszka dopełniały całości zgoła niepozornej.

Komisarz podniósł wycinek gazety.

— Posłuchaj pan — rzekł i przeczytał głośno artykuł wstępny dziennika „Morning Monitor” obfitujący w docinki osobiste:

Po raz drugi już w tym roku ogół został wstrząśnięty do żywego. Zamordowano człowieka powszechnie znanego. Szczegóły tej nowej zbrodni „Czerwonego Kręgu” znajdą czytelnicy na innym miejscu pisma, tutaj musimy tylko podkreślić z naciskiem, że prezydium policji jest zupełnie, zda się, bezradne w stosunku do tej bandy zbrodniarzy. Inspektor Parr od roku już wyłącznie tą sprawą zajęty nie daje nic prócz nieokreślonych obietnic, które się jakoś wcale nie iszczą. Prezydium policji powinno by zostać gruntownie przetrzebione i należałoby weni wprowadzić krew świeżą. Toteż mamy nadzieję, że czynniki odpowiedzialne za rząd kraju nie zawahają się przedsięwziąć tych środków drastycznych a koniecznych i to jak najprędzej.

— No i co pan na to, panie Parr? — spytał pułkownik Morton.

Parr potarł okazały podbródek i nie rzekł nic.

— James Beardmore — ciągnął dalej z namysłem komisarz — został zastrzelony, po ostrzeżeniu policji,

tuż pod swym domem, a morderca znajduje się na wolności. Jest to już drugi fatalny fakt obciążający pana inspektora i wyznaję szczerze, iż mam zamiar działać po myśli propozycji tego dziennika.

Uderzył dłonią po papierze.

— W sprawie poprzedniej dopuścił pan do tego, że Derrickowi Yale'owi przypadła cała zasługa pochwylenia mordercy. Przypuszczam, że widuje się pan z tym detektywem?

Inspektor potwierdził.

— I cóż on powiada?

Parr jął przestępować z nogi na nogę.

— Nagadał mi mnóstwo bredni o jakimś człowieku cierpiącym na ból zębów.

— Skądże wie o tym? — zapytał komisarz porywczo.

— Rozpoznał ten szczegół na podstawie łuski naboju znalezionej na ziemi. Nie chcę mieć nic do czynienia z tym psychometrycznym humbugiem.

Komisarz rozparł się w fotelu i westchnął.

— Wydaje mi się, że pan nie chce mieć nic do czynienia z żadną użyteczną rzeczą, mister Parr. Nie

szydź pan z Derricka Yale'a. Człowiek ten posiada niezwykle i swoiste zdolności, a to że ich pan nie rozumiesz, nie ujmuje im wcale wartości.

— Nie zechce pan chyba twierdzić, panie komisarzu — odparł skłonny do dysputowania Parr — że jakiś człowiek może na podstawie łuski naboju określić wygląd, cechy i myśli człowieka, który miał ją w ręku. To przecież głupstwo!...

— Nie ma na świecie głupstw — rzekł komisarz z powagą. — Wiedza psychometryczna już od szeregu lat oddaje znaczne usługi. Istnieją ludzie wrażliwi na pewne odczucia i dokazują niesłychanych rzeczy. Jednym z takich jest właśnie Derrick Yale.

— Był niemal świadkiem mordu — zauważył Parr. — Wraz z synem ofiary znajdował się w odległości niespełna stu jardów, a mimo to nie schwytał zbrodniarza.

Komisarz potwierdził skinieniem.

— I panu się także nie udało — powiedział. — Przed rokiem przedłożył mi pan swój plan opanowania „Czerwonego Kręgu” i zgodziłem się nań. Zdaje się, obydwaj przywiązywaliśmy zbyt wiele do tego nadziei.

Musi pan spróbować innej metody. Mówię to z przykrością, ale inaczej nie sposób.

Parr milczał przez chwilę. Potem, ku wielkiemu zdumieniu komisarza, przysunął sobie krzesło do jego biurka, usiadł nie proszony wcale i rzekł:

— Muszę panu coś powiedzieć, pułkowniku — oświadczył familiarnie, a z taką powagą, z tak niezwykłym u niego wyrazem twarzy, że komisarz spojrział nań wielce zdumiony.

— „Czerwony Krąg” może być przyłapany bardzo łatwo. Przedstawię panu jednego po drugim członka tego koła. Ale to nic. Mnie idzie o samą piastę jego, a wówczas poszczególne szprychy pozbawione zostaną wszelkiego znaczenia. Ale na to potrzeba mi znacznie większych pełnomocnictw niż te, które posiadam obecnie.

— Żąda pan większych pełnomocnictw? — wykrzyknął komisarz jakby rażony piorunem. — Co to właściwie znaczy?

— Zaraz wyjaśnię.

I wyjaśnił tak dobrze, iż po jego odejściu komisarz siedział długo pogrążony w zadumie.

Opuściwszy Scotland Yard, mister Parr udał się najpierw do pewnego małego biura w śródmieściu.

Na trzecim piętrze, w małym pomieszczeniu oczekiwał go Derrick Yale. Trudno było wyobrazić sobie większej różnicy jak ta, która cechowała obu.

Yale przewrażliwiony, nerwowy, wrażliwy marzyciel i Parr masywny, mięsisty, z pozoru niezdolny do własnej myśli.

— Jak wypadła rozmowa z komisarzem? — zapytał Yale.

— Nieszczególnie — przyznał Parr ze smutkiem. On ma do mnie jakieś uprzedzenie.

Nie wie pan z jakiego powodu?

— Nie, natomiast wiem, kim jest pański człowiek cierpiący na ból zębów — powiedział niespodzianie Yale. — Nazywa się Silby, jest marynarzem, a widziano go nazajutrz w pobliżu domu zamordowanego. Wczoraj — wziął w rękę telegram — został aresztowany za pijaństwo i znaleziono przy nim pistolet szybkostrzelny, który, moim zdaniem, posłużył do wykonania zamachu. Pamięta pan, że kula wyjęta ze zwłok pochodziła właśnie z tego rodzaju broni.

Parr spoglądał na detektywa z nieopisanym zdumieniem.

— Jak pan to zdołał spenetrować? — spytał.

Derrick Yale zaśmiał się z cicha.

— Nie bardzo ufasz pan moim wnioskom — powiedział z odcieniem wesołości. — Ale w chwili wzięcia do rąk łuski naboju ujrzałem przed sobą tego człowieka, jak pana widzę. Wysłałem jednego z moich ludzi na poszukiwanie i oto rezultat! — wskazał telegram.

Mister Parr wstał, a głębokie zmarszczki zakryły w jego twarzy wszelką cechę dobroduszości.

— Schwytano go tedy — rzekł spokojnie — radbym jednak wiedzieć, czy on to właśnie pisał.

Dobył z portfelu kawałek papieru, który usiłowano widocznie spalić, gdyż brzegi jego były szerniałe.

Yale wziął w palce świstek.

— Gdzie pan to znalazł? — spytał.

— Znalazłem tę kartkę wczoraj w wiadrze na popiół w domu Beardmore'a.

Na kartce nagryzmołone były te wyrazy:

Ja sam
Ty sam
Blok B.
Łapówka

— Ja sam.. ty sam.. — czytał Yale — Blok B..
Łapówka...?

Potrząsnął głową.

— Nie rozumiem — powiedział, trzymając kartkę
na dłoni. — W dodatku ogień zniszczył aureę.

Par schował papier starannie do portfelu.

— Chciałbym panu jeszcze coś powiedzieć —
dodał — oto był w lesie człowiek noszący szpiczaste
trzewiki i palący cygara. Znalazłem popiół w małym
zagłębieniu, a odciski trzewików na grządkach ogrodu.

— W pobliżu domu? — spytał Yale zdumiony.

Grubas potwierdził skinieniem.

— Moim zdaniem — powiedział — ktoś chciał
przestrzec Beardmore'a, napisał tę kartkę i po
zapadnięciu mroku oddał w jego domu. Starzec
przeczytał i spalił potem. Znalazłem to w miejscu, gdzie
służba składa popiół.

Zastukano z lekka.

— To Jack Beardmore — rzekł Yale, półgłosem.

Jack Beardmore znękaný był bardzo przejściami ostatnich dni. Kiwnął głową Parrowi i podszedł z wyciągniętą dłonią do Derricka Yale'a.

— Zapewne nie ma nic nowego? — spytał, potem zaś zwrócony do Parra dodał: — Był pan wczoraj u nas, mister Parr. Czy może jest jakiś ślad?

— Nic, o czym by warto mówić! — przyznał inspektor.

— Byłem u Froyanta, który przebywa w mieście — powiedział Jack — ale odwiedziny nie dały żadnego rezultatu, bowiem znajduje on się w stanie strasznego zdenerwowania.

Nie przyznał się, że dlatego uważa wizytę za bezcelową, iż nie zastał Talii Drummond. Jeden tylko z obecnych odgadł przyczynę jego rozczarowania.

Derrick Yale opowiedział mu o aresztowaniu będącym w związku ze zbrodnią.

— Nie sądzę — powiedział — by można przywiązywać wielkie nadzieje do tego faktu. Jeśli nawet człowiek ten strzelił, to jest on niezawodnie tylko

jednym z podrzędnych narzędzi. Dowiemy się, sądzę, jak zawsze, że źle mu się wiodło i został namówiony do morderstwa przez kierownika „Czerwonego Kręgu”. Do ostatecznego rozwiązania równie nam daleko, jak było dotąd.

Wyszli razem z biura na ulicę, oblaną jesiennym słońcem.

Jack miał się widzieć z adwokatem, prowadzącym sprawę spadkową, obaj zaś funkcjonariusze policji postanowili iść na najbliższy dworzec, skąd chcieli jechać do uwięzionego. Przechodzili właśnie bardzo ożywioną ulicę, gdy Jack krzyknął bezwiednie. Po przeciwległej stronie znajdował się wielki lombard, a z bocznych drzwi używanych przez klientów wyszła w tej właśnie chwili młoda panna.

— Do kroćset! — powiedział Parr bezbarwnym jak zawsze tonem:

— Nie widziałem jej już od dwóch lat.

Jack spojrzał nań zdumiony.

— Nie widziałeś pan jej już od dwu lat? Czy masz pan na myśli tę młodą damę?

Parr skinął głową i odrzekł spokojnie:

— To jest Talia Drummond, złodziejka i
wspólniczka złodziei.

Skradziony bożek

Te słowa były ciosem dla Jacka.

Stał, nie mogąc się poruszyć ani przemówić, zaś dziewczyna, nie spostrzegłszy, że jest śledzona, wsiadła do taksówki i odjechała.

— Czegóż tam chciała, do diaska? — zawołał Parr.

— Złodziejka i współniczka złodziei — powtórzył Jack mechanicznie. — Na miłość boską, gdzie pan idzie, inspektorze? — zapytał żywo, widząc, że mister Parr przechodzi w poprzek ulicę.

— Chcę wybadać, co ona robiła w lombardzie — rzekł Parr.

— Pewnie jej brakło pieniędzy, ale nie jest to przecież zbrodnia. — Mówiąc to, czuł dobrze Jack, że słaba jest obrona tego rodzaju.

Talia Drummond oszustką, a może nawet złodziejką? To niemożliwe, to nie do pojęcia! Mimo to jednak poszedł bezwoliwie za inspektorem, wkroczył z

nim w ciemny korytarz i znalazł się w gabinecie właściciela lombardu w chwili, kiedy subiekt przyniósł przedmiot zastawiony przez młodą damę. Była to mała, złota figurka Buddy.

— Zdziwiło mnie nawet — powiedział właściciel, gdy mu Parr objaśnił, kim jest — zdziwiło mnie żądanie tylko dziesięciu funtów, podczas gdy przedmiot wart jest co najmniej sto.

— Czym to uzasadniła? — spytał Derrick Yale, dotąd będący niemym tylko słuchaczem.

— Powiedziała że potrzebuje pieniędzy, a ojciec posiada znaczną ilość takich osobliwości. Nie chce jednak brać większej kwoty, by móc ten przedmiot wykupić niedługo.

— Czy zostawiła adres? Jakie podała nazwisko?

— Talia Drummond, Park Gate 29 — powiedział subiekt.

Derrick Yale krzyknął.

— Wszak to jest adres Harveya Froyanta!

Jack wiedział doskonale, że tam mieszka stary skapiec i przypomniał sobie, że posiada zbiory starożytności wschodnich.

Inspektor wydał pokwitowanie odbioru figurki i schował ją do kieszeni.

— Chodźmy teraz do mister Froyanta — powiedział Parr, podczas gdy Jack się wysilał na wynalezienie sposobów interwencji.

— Na miłość boską, inspektorze — nie narażaj jej na przykrości! Przyszła widocznie jakaś nagła pokusa. Jeśli można to załatwić pieniędzmi, gotów jestem na wszystko.

Derrick Yale spojrział na młodzieńca z powagą i zrozumieniem.

— Zna pan miss Drummond? — spytał.

Jack skinął potwierdzająco. Miał w tej chwili dziecinną wprost ochotę uciec i schować się gdzieś.

— To niemożliwe — rzekł inspektor stanowczym tonem zaciętrzewionego policjanta.

— Chcę wybadać Froyanta, czy ten przedmiot został zastawiony za jego przyzwoleniem.

— Idź pan zatem sam — zawołał Jack.

Nie mógł być świadkiem upokorzenia dziewczyny. To rzecz okropna.

— Parr jest bydlakiem — powiedział, gdy został

sam na sam z Derrickiem Yale'em. — Ta dziewczyna jest niezdolna dopuścić się tak ordynarnego złodziejstwa. Biedaczka! Ach, czemu zwróciłem na nią uwagę inspektora!

— On ją dostrzegł pierwszy — powiedział Yale, kładąc dłoń na ramieniu Jacka i dodał: — Panie Jacku, jest pan wzburzony. Z jakiego to powodu zajmuje pana Miss Drummond? Musiałeś ją często widywać, na wsi będąc, gdyż posiadłości graniczą ze sobą.

Jack skinął potwierdzająco.

— Ach — powiedział z goryczą — gdyby pan tak pilnie śledził „Czerwony Krag”, jak ja tę dziewczynę, biedny mój ojciec żyłby dotąd na pewno.

Derrick Yale robił, co mógł, by go uspokoić. Wziął go do biura i starał się jego myśli zwrócić na inne tory. Po kwadransie zadzwonił telefon. Był to Parr.

— No i co? — spytał Yale.

— Aresztowałem Talię Drummond — rzekł krótko — a jutro wniosę skargę.

Yale odłożył słuchawkę i odwrócił się do młodzieńca.

— Została aresztowana? — spytał on, odgadując

treść rozmowy.

Yale potwierdził, a twarz Jacka pobieliała.

— Widzi pan, drogi Jacku — rzekł łagodnie — omyliłeś się na równi z Froyantem. Ta dziewczyna jest złodziejką.

— Choćby była złodziejką, a nawet morderczynią — powiedział Jack z uporem — kocham ją!

Oskarżenie

Rozmowa Parra z Froyantem trwała krótko. Na widok inspektora pobladł stary skapiec, znał go bowiem z widzenia i wiedział o jego stosunku do sprawy Beardmore'a.

— I cóż? I cóż? — spytał z drzeniem, czy ci szatańscy rabusie wystąpili może z czymś nowym?

— Na razie nie, sir — odparł Parr. — Przychodzę, by zadać panu kilka pytań. Jak długo pracuje u pana miss Talia Drummond?

— Od trzech miesięcy jest moją sekretarką — odrzekł podejrziwie. — Ale czemu pan pyta, inspektorze?

— Jaką płaci jej pan miesięczną pensję?

Mister Froyant wymienił kwotę zgoła nieodpowiednią, a uczynił to tonem usprawiedliwienia, jakby przepraszał za tę płacę głodową.

— Prócz tego — dodał z dumą — ma u mnie wikt i wolne wieczory.

— Czy w ostatnich czasach brakowało jej pieniędzy?

Froyant wybałuszył nań oczy.

— No... tak. Wczoraj spytała, czy nie mógłbym jej dać pięć funtów zaliczki, mówiąc, że ma konieczny wydatek. Oczywiście nie dałem.. z zasady nie płacę za pracę jeszcze nie wykonaną — dodał z miną bogobojną — to prowadzi do zubożenia.

— Słyszałem, że posiada pan znaczną ilość przedmiotów starożytnych, po części bardzo cennych. Czy zauważył pan brak czegoś w ostatnich dniach?

Froyant zerwał się. Sama wzmianka o tym, że mógłby zostać okradziony wprawiała go zawsze w obłądny strach. Nie rzekłszy słowa, wybiegł z pokoju, a gdy wrócił po trzech minutach, oczy mu wystąpiły z orbit.

— Mój Budda! — jęknął. — Wart co najmniej sto funtów! Był jeszcze dziś rano...

— Poproś pan miss Drummond — powiedział oschle inspektor.

Weszła Talia, chłodna, opanowana, i stanęła przy biurku szefa, trzymając ręce za sobą. Nie spojrzała

niemal na inspektora.

Rozmowa była krótka i bardzo przykra dla Froyanta, na dziewczynie zaś nie uczyniła, zdawało się, żadnego wrażenia, mimo że lodowate spojrzenie chlebowodawcy zwiastowało odkrycie kradzieży. Przez chwilę nie mógł skapiec wykrztusić zdania.

— Pani... pani skradła mi coś — wyrzucił w końcu skrzekliwym tonem, a podniesiona dłoń jego drżała. — Jesteś złodziejką!

— Prosiłam pana o pieniądze — odparła chłodno. — Gdyby pan nie był szkaradnym, starym dusigroszem, dostałabym je dobrowolnie.

— Pani... pani... — jąkał się, a potem rzekł, zwrócony do inspektora: — Oskarżam ją o kradzież! Pamiętaj to sobie, moja panno... Zaraz... zaraz, zobaczę, czyś mi nie skradła jeszcze czegoś!

— Niech się pan nie trudzi — powiedziała. — Wzięłam tylko tego szkaradnego Buddę i nic poza tym.

— Odda mi panna zaraz klucze! — ryknął rozwścieczony. — Ach, pozwalałam jej otwierać swe listy. Na samą myśl rozpacz mnie porywa.

— Jeden zwłaszcza otwierałam, który nie będzie

panu miły — powiedziała spokojnie i zaraz zobaczył, co trzyma w ręce.

Podawała mu kopertę, on zaś osłupiały, spostrzegł czerwone koło. Przerażenie zaćmiło mu słowa, które były weń wpisane, i padł z jękiem na fotel.

Talia przed sądem policyjnym

Sędzia był człowiekiem dobrotliwym. Przenosił spojrzenie z siedzącego na ławie świadków Inspektora Parra na dziewczynę, która równie niemal chłodna i opanowana jak świadek, zajęła miejsce na ławie oskarżonych.

Jej twarz, zwracająca w każdym otoczeniu uwagę, w tym ponurym środowisku urzędu policyjnego błyszczała tym większą jeszcze pięknnością.

Sędzia spojrzał na leżącą przed nim skargę. Wiek Talii Drummond podano na lat dwadzieścia jeden, a zawodowo określono ją jako sekretarkę.

Ten człowiek prawa przeżył już niejedno i był zahartowany na najniezwyklejsze sprawy. Potrząsnął tedy tylko rozpaczliwie głową.

— Czy znamy jakiś fakt, świadczący na niekorzyść tej kobiety? — spytał, czując dobrze, jak śmiesznie brzmi w tym zastosowaniu wyraz „kobieta”.

— Sir, od niejakiego czasu jest obserwowana

przez policję, ale do tej pory nie była aresztowana.

Sędzia spojrzął na dziewczynę przez okulary i rzekł:

— Doprawdy, pojąć nie mogę, jak mogła pani doprowadzić do sytuacji tego rodzaju.

Posiada pani, jak widzę, wykształcenie i kulturę, a obciąża panią zarzut kradzieży kilku funtów, chociaż przedmiot zabrany posiada znacznie większą wartość, niż zyskana w sposób karygodny kwota. Postępek ten przypisać trzeba chyba niezmiernej chwilowej pokusie czy gwałtownej potrzebie pieniędzy, to jednak nie usprawiedliwia czynu. Zważywszy dotychczasową nienaganność, przyznaję pani czas do poprawy i tym razem uwalniam, udzielając jednocześnie przestrogi, by pani nie popadła już w tego rodzaju konflikt z prawem.

Dziewczyna złożyła ukłon, opuszczając ławę oskarżonych, gdyż sądzić miano następną sprawę.

Jednocześnie wstał Harvey Froyant i wyszedł ze sali. Był to człowiek bogaty, pieniądź stanowił dlań cel i zadanie życia. Przed udaniem się na spoczynek przeliczał zawartość swych kieszeni, a w takich okolicznościach byłby zdolny aresztować własną matkę. Czyn Talii Drummond był w jego oczach tym

straszniejszy, że w ostatniej chwili doręczyła mu pogrózkę „Czerwonego Kręgu”, a z tego wrażenia nie otrząsnął się jeszcze.

Był to człowiek wysoki, chudy, pochylony nieco, do świata odnosił się z niedowierzaniem, a w tej chwili rozpierał go gniew, ponieważ żywił niewzruszalne przekonanie o świętości majątku.

— Taka kobieta stanowi niebezpieczeństwo społeczne — żalił się Parrowi cienkim, gderliwym zawsze głosem. — Któż wie, czy nie jest w stosunkach z szantażystami i mordercami, którzy mi zagrażają? Mam im zapłacić czterdzieści tysięcy! — jęknął. — Jest pańskim obowiązkiem czuwać, by mnie nie spotkało coś złego... rozumie pan, inspektorze... to pański obowiązek!

— Rozumiem — odparł znudzony. Ale ta dziewczyna na pewno nie wie nic o „Czerwonym Kręgu”. Jest jeszcze bardzo młoda.

— Młoda! — burknął Froyant. — Właśnie najstosowniejszy czas na karę. Należy karać za młodu, by z nich uczynić przyzwoitych obywateli.

— Jest w tym dużo prawdy — przyznał Parr z

westchnieniem, a potem dodał zgoła bez związku —
Dzieci, to wielka odpowiedzialność.

Froyant mruknął coś i nie skinąwszy nawet głową na pożegnanie, poszedł szybko ku pojazdowi czekającemu nań przed gmachem sądowym.

Inspektor patrzył na niego z lekka uśmiechnięty, a obejrawszy się zobaczył młodego człowieka, który stał u bocznego wyjścia.

— Dzień dobry, panie Beardmore — powiedział.
— Czy pan oczekuje młodej damy?

— Tak. Jakże długo ją będą jeszcze trzymać? —
wykrzyknął nerwowo.

Mister Parr spojrział nań obojętnie.

— Racz pan przebaczyć, — rzekł spokojnie — ale
widzę, że pan interesuje się ową miss Drummond
więcej, niż to dobre dla pana.

— Co pan ma na myśli? — spytał Jack porywczo.
— Cała sprawa była tylko haniebną pułapką. To bydlę
Froyant...

Inspektor potrząsnął głową.

— Miss Drummond zeznała, że zabrała figurkę,
prócz tego zaś widzieliśmy wszakże, jak wychodziła z

lombardu. Co do tego nie ma żadnej wątpliwości.

— Zeznała to tylko z powodów znanych wyłącznie jej samej — powiedział gwałtownie. — Czyż taka dziewczyna mogłaby kraść? Po co? Wszakże dałbym jej wszystko, czego tylko by potrzebowała!... Coś się poza tym wszystkim ukrywa — dodał spokojniejszym tonem. — Coś, czego nie rozumiem, a pan zapewne także, inspektorze.

W tej chwili stanęła w drzwiach Talia Drummond. Na widok Jacka drgnęła i pokraśniała z lekka.

— Czy pan był na rozprawie? — spytała żywo.

Potwierdził, a ona wstrząsnęła głową.

— Nie należało tego czynić — wybuchła. — Skąd pan wiedział? Kto panu powiedział?

Obecności inspektora zdawała się nie dostrzegać i dopiero po raz pierwszy od aresztowania była wzburzona. To czerwieniała, to bladła na przemian i ciągnęła drżącym nieco głosem:

— Przykro mi bardzo, panie Beardmore, że pan był w sali, a bardziej jeszcze, że tutaj czeka pan na mnie.

— To wszystko nieprawda?... Powiedz pani! To

tylko pułapka, którą nastawiono, by cię schwytać?

Mówił błagalnie, ale ona potrząsnęła głową.

— Nie była to pułapka — rzekła spokojnie — okradłam istotnie mister Froyanta.

— Ale dlaczego? — wykrzyknął rozpacznie. — Z jakiego powodu?

— Przykro mi, że nie mogę tego uzasadnić — odrzekła z lekkim uśmiechem. — Zresztą, potrzebowałam pieniędzy, czyż nie jest to powód dostateczny?

— Nigdy nie uwierzę! — powiedział, patrząc na nią z powagą. — Nie zaliczasz się pani do osób, mających upodobanie w kradzieży.

Spojrzała nań przeciągle i zwrócona do inspektora, rzekła:

— Może pan zechce objaśnić mister Beardmora. Ja nie zdołam tego, widzę, uczynić.

— Dokąd pani zamierza iść? — spytał Jack.

— Do domu — odparła. — Proszę, niech pan mnie nie śledzi.

— Nie ma pani, przecież, domu.

— Mam pokój umeblowany — powiedziała z

niejaką niecierpliwością.

— Jadę więc z panią — nalegał.

Nie opierając się już, wyszła razem z nim na ożywioną ulicę. Szli bez słowa aż do najbliższej stacji kolei podziemnej.

— Muszę jechać do domu — powiedziała życzliwiej niż dotąd.

— Co pani zamysła robić? — zapytał. — Wobec tego strasznego oskarżenia nie znajdzie pani posady.

— Czy to oskarżenie jest aż tak straszne? — spytała chłodno.

To rzekłszy zwróciła się ku wejściu, on zaś chwycił ją gwałtownie za ramię, wyrzucając spoza zaciśniętych zębów:

— Niech pani mnie posłucha! Kocham cię i chcę poślubić. Nie mówiłem tego dotąd, ale chyba odgadłaś, pani. Nie dopuszczę, byś znikła z życia mego! Czy pani to rozumie? Nie wierzę w to całe złodziejstwo...

Z całym spokojem uwolniła ramię.

— Panie Beardmore — powiedziała cicho — jesteś podniecony i nierozsądny. Powiedziałeś, że nie dopuścisz, bym znikła z pańskiego życia i chcesz się

zrujnować dla złodziejki, której udowodniono tę zbrodnię. Tego ja znowu nie dopuszczę. Poza tym, że jestem ładną dziewczyną, nie wie pan o mnie nic. Napotkał mnie pan przypadkiem na wsi i spodobałam się, ale obowiązkiem moim jest zastąpić panu matkę i ciotkę. — W jej oczach zamigotało rozweselenie w chwili, gdy uścisnęła jego wyciągniętą dłoń. Spotkamy się jeszcze może, a wówczas zblednie ów romantyczny blask. Żegnam pana.

Znikła w tłoku przy kasie biletowej, zanim odzyskał zdolność wyrzeczenia słowa.

Wezwanie Czerwonego Kręgu

Talia Drummond wróciła do swego umeblowanego pokoiku, gdzie mieszkała przed objęciem posady sekretarki Froyanta. Wieść o jej przygodzie musiała dotrzeć tu już, bowiem gruba gospodyni przyjęła ją nader chłodno. Gdyby nie to, że przez czas pobytu u Froyanta płaciła czynsz, nie wpuściłaby jej zapewne.

Pokoik był skromny, ale bardzo miły, toteż nie bacząc na kwaśną minę gospodyni, weszła, zamykając drzwi za sobą. Spędziła bardzo nieprzyjemny tydzień i odzież jej wydzielala duszny odór więzienia hollowayskiego. Holloway miało jedną atoli zaletę, której brakło więzieniu przy Lexington Street 14. Były tam przepyszne instalacje do kąpieli i Talia wspomniała je, rozbierając się.

Miała głowę pełną różności, myślała o Froyancie, o Jacku, i marszcząc czoło, starała się zapomnieć o tym. Przede wszystkim Froyant. Nienawidziła go niemal, co najmniej zaś gardziła nim. Czas spędzony w jego domu

był okresem wielce przykrym. Jadała razem ze służbą, wiedząc, że skapiec, którego czek opiewać mógł na kwotę siedmiocyfrową, liczy i waży każdy kęs, jaki wkłada w usta.

— Przynajmniej się nie zalecał — rzekła do siebie.

Istotnie, trudno było przedstawić sobie Harveya Froyanta w roli zalotnika. Nie zapomniała, jak to z notatnikiem w ręce kroczyła za nim przez komnaty wielkiego domu, podczas gdy on szukał dowodów niedbalstwa służby. Dotykał politurowanych półek biblioteki, chcąc znaleźć bodaj ślad kurzu, podnosił brzegi dywanów, oglądał srebro co tydzień, a także obliczał zapasy spiżami.

Przed jedzeniem odmierzał wino, chcąc się przekonać, że go nie ubyło, liczył flaszki, a nawet korki. Pysznił się tym, że potrafi zauważyć zniknięcie jednego nawet kwiatu w ogrodzie, bowiem posyłał do miasta na targ kwiaty, jarzyny i brzoskwinie dojrzewające na murach. Biada ogrodnikowi, który by sobie przywłaszczył jedno choćby jabłko. Froyant posiadał instynkt, tak że niezawodnie trafiłby zawsze pod okradzione drzewo.

Wspominając to uśmiechała się wzgardliwie. Zmieniwszy suknię, wyszła, zamykając drzwi, a gospodyni wiodła za nią oczyma i kiwała znacząco głową.

— Lokatorka pani wróciła? — zagadnęła ją sąsiadka.

— Wróciła — odparła gniewnie. — Ładna osoba! Po raz pierwszy mam u siebie złodziejkę i po raz ostatni. Wypowiem jej jeszcze dziś mieszkanie.

Nie wiedząc wcale o tym wyroku pojechała Talia do miasta omnibusem, wysiadła przy Fleet Street i weszła do biura ogłoszeń wielkiego dziennika. Wziąwszy formularz nakreśliła po namyśle te słowa:

Sekretarka. Młoda dama przybyła z kolonii poszukuje miejsca sekretarki. Mieszkanie na miejscu pożądane. Skromna pensja. Stenografia. Maszyna.

Oddała ogłoszenie przy okienku i zapłaciła należność.

Na kolację wróciła do domu. Gospodyni przyniosła posiłek na wytartej tacy.

— Miss Drummond — ozwała się. — Mam pani coś powiedzieć.

— Prosto z mostu — odrzekła Talia swobodnie.

— Począwszy od przyszłego tygodnia potrzebny mi jest ten pokój.

Talia obróciła się z wolna.

— To znaczy, że mam się wynieść?

— Tak jest. Nie mogę dopuścić, by osoby w pani rodzaju mieszkały w uczciwym domu. Bardzo się rozczarowałam, uważając panią za uczciwą, młodą damę.

— Czyń to pani nadal — odparła chłodno. — Jestem młoda i zachowuję się jak dama.

Ale gruba gospodyni nie miała zamiaru wyrzec się wystudiowanego przemówienia.

— Jesteś pani, zaprawdę, uczciwą damą i zaszczyt przynosisz całej kamienicy — rzekła szyderczo. — Przesiedziałaś cały tydzień w kryminale. Nie myśl pani, że nie czytam gazet.

— Jestem pewna, że pani czyta gazety. Dość tego, mistress Boland. W przyszłym tygodniu się wyprowadzę.

— Chciałabym jeszcze coś powiedzieć...

— Proszę to powiedzieć w korytarzu — przerwała Talia, podchodząc do rozwścieklonej baby. Gdy zaś cofnęła się bezwiednie za próg, zamknęła drzwi.

Gdy mrok zapadł, zaświeciła lampę naftową i zajęła się manicurowaniem paznokci.

Naraz usłyszała ciężkie kroki gospodyni, która, zapukawszy, przyniosła pocztę wieczorną.

— Ma pani list — powiedziała.

Talia wzięła z jej rąk kopertę.

— Proszę zawiadomić przyjaciół o zmianie adresu — zaczęła gospodyni, nie mogąc zaprzestać sporu.

— Nie zawiadomiłam jeszcze przyjaciół, że mieszkam w tak haniebnej speluncie — odparła i zaraz zamknęła na klucz drzwi za cofającą się ponownie sekretnicą, która nie mogła znaleźć trafnej riposty.

Uśmiechnęła się obejrzawszy przy lampie adres, pisany drukowanymi literami.

Potem, obejrzawszy marki, otworzyła kopertę. Wewnątrz była czworoboczna kartka z czerwono wymalowanym kręgiem, pośrodku którego widniał napis również drukowanymi literami.

POTRZEBUJEMY PANI. PROSZĘ JUTRO
WIECZÓR O DZIESIĄTEJ WSIĄŚĆ DO AUTA
CZEKAJĄCEGO NA ROGU STAYNE SQUARE.

Położywszy kartkę na stole, zapatrzyła się w nią.
Czerwony Krąg potrzebował jej.

Spodziewała się tego wezwania, ale przyszło
wcześniej niż to przewidziała.

Zeznanie

Trzy minuty przed dziesiątą następnego wieczora wjechało zamknięte auto powoli na Stayne Square, zatrzymując się na rogu Clerges Street. Zaraz potem wyszła Talia Drummond z przeciwległej ulicy. Miała czarny długi płaszcz, a kapelusz obejmował gęsty welon zawiązany pod brodą.

Bez chwili wahania otworzyła drzwiczki wozu i wsiadła. Było zupełnie ciemno, tak że zaledwie dostrzegła zarysy pleców szofera. Nie obrócił głowy i nie wprawiał wozu w ruch, chociaż pod nogami czuła Talia dudnienie motoru.

— Wczoraj — zaczął szofer bez wstępu — stawała pani przed sądem policyjnym pod zarzutem kradzieży. Wczoraj po południu zamieściła pani ogłoszenie, podając się za przyjezdną z kolonii. Ma pani zamiar dostać posadę umożliwiającą praktykowanie dalej swoich złodziejstw.

— To bardzo interesujące — zauważyła głosem

zupełnie pewnym. — Nie sądzą jednak, by mnie pan wzywał w celu powiedzenia mi tego. Otrzymałszy list, byłam pewna, że zostanę użyteczną pomocnicą. Pytam tedy, co to ma znaczyć?

— Odpowiem, kiedy uznam za stosowne — odparł szorstko.

— Oczywiście — uśmiechnęła się — czy jednak nie przyszło panu do głowy, że porozumiem się z policją i przybędę w towarzystwo inspektora Parra oraz Derricka Yale'a?

— W takim razie leżałaby pani w tej chwili martwa na chodniku — odparł spokojnie. — Miss Drummond, umożliwię pani lekki zarobek, a poza tym dam wysmienitą posadę, nie kładąc tamy ulubionej specjalności. Rzecz główna służyć mi. Czy pani rozumie?

Skinęła głową, a wspomniawszy, że tego nie widzi, powiedziała:

— Rozumiem.

— Za wszystko będzie pani dobrze opłacana. Jestem zawsze pod ręką, by pomagać, a także karać w razie zdrady. Czy to jasne?

— Zupełnie — potwierdziła.

— Zajęcie pani będzie nader proste — dodał nieznaną szofer. — Jutro zgłosi się pani do banku Brabazona. On potrzebuje sekretarki.

— Ale czy mnie przyjmie? — przerwała. — Może się zgłosić pod innym nazwiskiem?

— Pod własnym — powiedział niecierpliwie. — Niech mi pani nie przerywa! Za usługi będę płacił dwieście funtów miesięcznie. Tu są pieniądze.

Podał jej przez ramię dwa banknoty. Wzięła je, a dotknąwszy przypadkiem jego ramienia, uczuła coś twardego pod wełnistym płaszczem.

— Kuloodporny kaftan — przebiegło jej przez głowę, potem zaś rzekła głośno: — Co mam powiedzieć Brabazonowi o swojej przeszłości?

— Zbyteczne będzie mówić coś, czy robić. Od czasu do czasu otrzyma pani rozkazy. Na tym koniec — zakończył zwięźle.

W kilka minut potem wsiadła Talia na zakręcie ulicy do taksówki, która ją zawiozła na Lexington Street. W pewnej odległości sunęła za nią inna dorożka, nie prześcigając i nie mijając nawet w chwili, gdy

znalazła się pod mieszkaniem. Nie wiadomo, czy otwierając bramę, wiedziała, że inspektor Parr znajduje się o kilkanaście kroków, w każdym jednak razie nie dała tego poznać po sobie.

Parr oglądał przez kilka minut kamienicę z przeciwległego chodnika. Gdy w jednym z okien piętra zabłysło światło, wrócił do czekającej nań taksówki, która go tak daleko, na wschodnią połąć miasta, zawiozła.

Miał właśnie wsiadać, gdy go minął szybko jakiś mężczyzna z podniesionym kołnierzem palta.

— Flush! — zawołał, poznając przechodnia, który zaraz obrócił się na obcasie.

Był to mały i czarnowłosy człowiek o zapadłych policzkach. Na widok inspektora bardzo się przeraził.

— Pan inspektor Parr — zawołał ze źle naśladowaną radością. — Któżby mógł przypuścić, że pan się znajdzie tu, na drugim końcu świata.

— Chciałbym z panem pomówić o czymś — powiedział Parr. — Może pan pojedzie ze mną? Tego rodzaju niedwuznaczne zaproszenia usłyszał już raz mister Flush.

— Chyba nie ma mi pan nic do zarzucenia, panie inspektorze? — spytał lękliwie.

— Nie — przyznał szczerze Parr. — Zresztą kroczysz pan teraz drogą uczciwą.

Przyrzekłeś to przynajmniej, opuszczając więzienie.

— Istotnie — odetchnął z ulgą mister Flush Barnet. — Pracuję na życie i mam zamiar ożenić się niedługo.

— Doprawdy! — wykrzyknął inspektor, udając zdumienie. — Która to, Bella czy Milly?

— Milly — odparł Flush, klnąc w duchu zadziwiającą pamięć Parra. — I ona także nie chodzi krętymi drogami. Jest zajęta w sklepie.

— Mówiąc ściśle, w banku Brabazona — powiedział inspektor i obejrzał się, jakby tknięty jakąś myślą. — Radbym wiedzieć — mruknął — radbym wiedzieć, czy to jest właśnie ta.

— Milly — objaśnił spieszenie mister Flush — jest teraz skończoną damą. Jak słońce czysta. Nie ściągnęłaby marnego zegarka, choćby szło o życie. Przykro by mi było, panie inspektorze, gdyby ją pan uważał za osobę złą. Żyjemy teraz oboje, rzecz można.. uczciwie.

Spokojną twarz Parra okryły figlarne zmarszczki.

— A to dopiero nowości, mister Flush. Gdzie można by zastać Milly tymi dniami?

— Mieszka w umeblowanym pokoju po drugiej stronie rzeki — odparł Flush z niechęcią. — Nie zechce pan chyba wywlekać dawnych spraw?

— Broń Boże! Radbym tylko pomówić z nią. A może.. — zawahał się. — Zresztą mam czas na to. Opatrzność zrzadziła, zaprawdę, że pana spotkałem.

Flush potakiwał, nie będąc jednak tego samego zdania.

— A więc to jest to właśnie. — powiedział inspektor do siebie. Spotkawszy w pół godziny potem w klubie Derricka Yale'a, nie wspomniał mu o swych podejrzeniach, co było tym dziwniejsze, że szczegółowo omawiali kwestię „Czerwonego Kręgu”. Także pominął milczeniem Talię Drummond, której rozmowy z pewną osobistością domyślił się.

Nazajutrz rano pojechali obaj do prowincjonalnego miasteczka, gdzie przebywał w więzieniu Ambroży Sibły z zawodu marynarz obwiniony o morderstwo. Jack Beardmore został po usilnych prośbach

dopuszczony do słuchania rozmowy obu tych panów z mrukliwym człowiekiem, który zastrzelił jego ojca.

Okazało się, że Sibly jest silnym, ordynarnym człowiekiem, na poły Szkotem i Szwedem, który nie umiał czytać, a przedtem już miał do czynienia z policją. Wybadał to Parr w oddziale daktyloskopijnym urzędu policyjnego.

Zrazu nie chciał się przyznać, ale krzyżowe pytania Derricka Yale, raczej niż wysiłki inspektora, wymogły w końcu zeznanie.

— Tak, uczyniłem to! — powiedział.

Siedzieli w celi więziennej, a stenograf urzędowy spisywał protokół.

— Schwymano mnie, ale nie dałbym się być, gdyby nie pijaństwo. Skoro już zacząłem zeznawać, to powiem, że także zamordowałem Harveya Hobbsa. Stało się to w roku 1912 na statku „Britania”. Wszak tylko raz mnie powieszają! Zabiłem go, a zwłoki rzuciłem w morze. Poszło o kobietę napotkaną w Newport, w Ameryce. Opowiem panom, jak się to stało. Mniej więcej przed miesiącem nie zdążyłem na czas na swój statek i poszedłem do schroniska marynarzy w

Wappingu. Ale mnie wyrzucono z powodu pijaństwa, a w dodatku dostałem tydzień aresztu. Gdyby sędzia, stary cymbał, skazał mnie na miesiąc, nie znajdowałbym się tutaj. Po wypuszczeniu na wolność wałęsałem się po East Endzie, całkiem splukany, trapiło mnie straszne pragnienie, a w dodatku do wszystkiego rozboleły mnie zęby.

Parr rzucił spojrzenie Derrickowi Yale, który się uśmiechnął.

— Szedłem wzdłuż kanału, upatrując niedopałków i dumając, jakby zdobyć jedzenie i nocleg. Zaczął padać deszcz. Czekano mi spędzenie nocy na dworze, wśród słoty, gdy nagle ktoś zawołał tuż nad uchem — Wskakuj pan! — Obejrzałem się. Koło mnie stało auto. Nie dowierzałem własnym uszom. Siedzący w aucie człowiek powtórzył — Wskakujże pan prędko! — Wymienił moje nazwisko. Przez czas pewien jeździliśmy w milczeniu tu i tam, on zaś, jak zauważyłem, unikał ulic oświetlonych zbyt jasno. Na koniec stanął i jał mi opowiadać, kim jestem. Byłem piekielnie zdumiony. Znał całą moją historię. Wiedział nawet o tej sprawie z Harveyem Hobbsem. Sąd karny

uwolnił mnie zresztą wówczas z braku dowodów. Potem zapytał, czy chcę zarobić sto funtów.

Powiedział, że na wsi, niedaleko miasta, mieszka pewien stary jegomość, który go bardzo skrzywdził i jego właśnie chce się pozbyć. Zrazu wzbraniałem się zapalczywie, on jednak nalegał, mówiąc, że mnie wyda na śmierć z powodu zamordowania Hobbsa. Zresztą rzecz była całkiem bezpieczna, a ponadto przyrzekł mi dać rower, bym zaraz potem mógł umknąć.

W końcu przystałem.

W tydzień później, spotkałem go, jak było umówione, na Stayne Square. Przyjechał autem i podał mi szczegóły. Przybyłem do posiadłości Beardmore'a o zmierzchu i skryłem się w lesie. Wiedziałem już, że mister Beardmore spaceruje tu każdego ranka, toteż rozgospodarowałem się na noc. Minęła zaledwie godzina, gdy nagle przestraszył mnie jakiś ruch. Musiał to być strażnik leśny, chłopisko wielkie i grube. Ujrzałem go jednak tylko mimochodem.

Oto wszystko niemal, moi panowie. Oczywiście nazajutrz, ujrawszy spacerującego po lesie starego jegomościa, zastrzeliłem go. Nie pamiętam zresztą

szczegółów, byłem pijany, gdyż zabrałem ze sobą do lasu dużą flachę wódki. Miałem jednak dość przytomności, by sięść na rower i umknąć. Na tym byłby też koniec, gdyby nie nieszczęsne pijaństwo.

— Czy to wszystko? — spytał Parr, gdy po odczytaniu protokołu Sibły podpisał go koślawym, znakiem krzyża.

— Wszystko — potwierdził marynarz.

— A nie wie pan, kto ci dał zlecenie?

— Nie mam pojęcia. Jedno atoli mógłbym panom o nim nadmienić... — dodał po chwili. — Nie jestem wykształcony, ale zauważyłem, że niektórzy ludzie mają zwyczaj powtarzać często jakieś jedno słowo, rzecz można, ulubione swoje słowo. Nasz stary kapitan na przykład używał co chwila słowa: „chorobliwie”. Otóż człowiek ten powtarzał słowo, którego dotąd jeszcze nie słyszałem.

— Jakież to słowo? — spytał Parr.

Marynarz podrapał się po głowie.

— Wypadło mi z pamięci, ale przypomnę sobie — powiedział. Oni zaś zostawili go sam na sam z myślami, które nie były liczne, ale za to zgoła nieprzyjemne.

W cztery godziny potem dozorca więzienny przyniósł Sibby'emu jedzenie. Więzień leżał na łóżku, a dozorca potrząsnął go za ramię.

— Wstawaj! — zawołał.

Ale Ambroży Sibby nie wstał, bowiem już nie żył. Chciał on widocznie ugasić pragnienie, a w szklance z wodą znajdowało się tyle kwasu pruskiego, że starczyłoby na uśmiercenie pięćdziesięciu ludzi.

Ale trucizna nie tak zainteresowała inspektora Parra, jak mały krążek z papieru, pływający po wodzie.

Szpiczaste trzewiki

Mister Feliks Marl siedział zamknięty na klucz w sypialni i oddawał się zajęciu, budzącemu w nim niemiłe wspomnienia.

Przed dwudziestu pięciu laty, będąc pensjonariuszem więzienia w Tuluzie, oddawał się kunsztowi szewskiemu, toteż obeznany był z fabrykacją obuwia i jego naprawą. Wówczas jednak łątał trzewiki, teraz zaś niszczył je, tnąc nożem ostrym jak brzytwa wąskie paski z nowych lakierków, które miał dopiero trzy razy na nogach. Każdy pasek rzucał osobno w ogień. Niektórzy ludzie żyją prędko i cierpią gwałtownie. Mister Feliks Marl zaliczał się do tych, którzy w ciągu dnia przeżyć mogą katusze prawieków. Jedno z pism wyrwało skądś wiadomość o śladach pozostawionych na terenie posiadłości Beardmore'a i fakt ten obarczył jedną jeszcze obawą nieszczęsnego a wielkiego człowieka. Pracował bez surduta zalany kroplistym potem, gdyż ogień na kominku był silny, a w

pokoju panowała temperatura wprost tropikalna.

Gdy ostatni skrawek spłonął, Marl odłożył nóż, otworzył okno, by wypuścić na świat odór palącej się skóry i umył ręce.

Dumał nad tym, że lepiej było wykonać pomysł pierwszy, i klął swoje tchórzostwo, które go skłoniło do wzięcia rewolweru zamiast pióra do napełnienia atramentem. Pewny był jednak, że nikt go nie dostrzegł w chwili, gdy opuszczał posiadłość Beardmore'a.

U ludzi typu Marla, paniczny strach ustępuje szybko miejsca bezrozumnej zgoła ufności w bezpieczeństwo, toteż gdy schodził do małej swojej biblioteczeki, zapomniał niemal, że w ogóle coś mu może zagrażać.

Nie świecąc, napisał list wielce ugodowej treści i wysłał, pewny będąc, że dojdzie według adresu. A może go wykryją? I znowu uczył dreszcz strachu.

Zaraz jednak porzucił wszelką obawę.

Służący przyniósł posiłek wieczorny na tacy i postawił na małym stolyczku obok biurka, przy którym siedział.

— Sir! Może pan zechce rozmówić się teraz z

czekającym gościem?

— Z czekającym gościem? — spytał zdumiony wielce.

— Wszakże zameldowałem, że jakiś pan przybył i czeka.

Marl przypomniał sobie w tej chwili pracę przerwana mu pukaniem służącego.

— Cóż to za gość?

— Położyłem na biurku jego bilet wizytowy, sir!

— Czy wie, że byłem zajęty?

— Tak jest. Ale oświadczył, że będzie czekał, aż pan zejdzie na dół.

Służący podał mu bilet. Mister Marl pobladł i skoczył na równe nogi.

— Inspektor Parr — rzekł niepewnym głosem. — Czegóż on chce ode mnie?

Ręce mu drżały.

— Prosić! — powiedział po chwili, z wysiłkiem.

Nie spotkał się dotąd z inspektorem ani urzędowo, ani w towarzystwie. Na pierwsze zaraz wejrzenie uspokoił się. Nie było nic groźnego w jowialnym, czerwonym obliczu tego człowieka.

— Niech pan usiądzie, inspektorze — powiedział.
— Przykro mi, że byłem tak długo zajęty. Mister Marl mówił ptasim dyszkantem jak zawsze w chwilach podniecenia.

Parr usiadł na najbliższym krześle, kładąc na kolanach twardy kapelusz.

— Czekalem, aż pan zejdziesz, mister Marl — powiedział — gdyż idzie o sprawę zamordowania Beardmore'a.

Marl nie rzekł nic. Natomiast czynił wysiłki, by opanować drzenie ust i przybrać wyraz uprzejmego zainteresowania.

— Znał pan bardzo dobrze Beardmore'a... nieprawdaż?

— Nie tak znów bardzo dobrze. Miałem z nim interesy.

— Czy znał go pan już dawniej?

Marl zawahał się. Łatwo mu było kłamać i mówił zazwyczaj wprost odwrotnie, niż się sprawa przedstawiała.

— Nie — oświadczył. — Widziałem go, co prawda, przed kilkoma laty, zanim zapaścił brodę, ale

to nie była znajomość.

— Gdzie był Beardmore w chwili pańskiego przybycia?

— Stał na tarasie — odparł Marl, całkiem niepotrzebnie głośno.

— I tam go pan zobaczył.

Marl potwierdził skinieniem.

— Opowiadano mi — ciągnął Parr dalej — że pan się z jakiegoś powodu przestraszył... Cóż to był za powód?

Marl wzruszył ramionami i odparł ze sztucznym uśmiechem.

— Objaśniłem to zaraz. Miałem atak sercowy, gdyż cierpię na serce.

Parr obrócił kapelusz dnem do góry i spytał, nie podnosząc oczu:

— Przecież nie przeląkł się pan Beardmore'a?

— Oczywiście — oświadczył Marl z naciskiem. — Czemu bym się miał go przestraszyć? Prowadziłem z nim ożywioną korespondencję i znałem dobrze...

— Wszakże nie miał pan z nim od całych lat

stosunków?

— Nie. Nie widziałem go od lat. — poprawił podrażniony.

— A więc przyczyną wzburzenia pańskiego był atak sercowy? — spytał inspektor, spoglądając na Marla.

— Nic innego — odparł tonem szczerości. — Zapomniałem już nawet o tej lekkiej przypadłości i pan mi to przywiódł dopiero na pamięć.

— Radbym uzyskać wyjaśnienia jeszcze odnośnie do innego punktu — powiedział inspektor, zapatrzony znów w kapelusz, który kręcił jak frygę. — Przybywając do posiadłości Beardmore'a, miał pan na nogach szpiczaste lakierki.

Marl zmarszczył czoło.

— Czy tak? Już zapomniałem.

— Czy pan chodził któreśdy jeszcze oprócz drogi wiodącej ze stacji?

— Nie.

— Nie obszedłeś pan domu, aby... aby... podziwiać architekturę?

— Nie. Tego nie uczyniłem. Zresztą pobyt mój był

bardzo krótki i szybko odjechałem.

Parr wznosił oczy na sufit.

— Czy nie pogniewa się pan, jeśli poproszę o pokazanie mi lakierków, które miał pan owego dnia?

— Nigdy w świecie — zapewnił Marl i wstał rozradowany.

Za chwilę wrócił, niosąc parę szpiczastych lakierków.

Inspektor obejrzał podeszwy z wielką powagą.

— Oczywiście — powiedział — nie są to trzewiki, które miał pan wówczas na nogach, bowiem — tu potarł palcem podeszwę — na tych jest pył, a zeszłego tygodnia ziemia była wilgotna.

Serce Marla zamarło.

— Te właśnie miałem trzewiki — rzekł wyzywająco. — To, co pan zwiesz pyłem, jest wyschniętym błotem.

Parr spojrział na swe palce i potrząsnął głową.

— Zaszła, zdaje mi się, omyłka. Ten pył jest pyłem wapiennym.

Odstawił trzewiki i podniósł się z krzesła, mówiąc na zakończenie:

— To zresztą nic ważnego.

Potem stał tak długo zapatrzony w dywan, że Marl, mimo trwogi, uczuł zniecierpliwienie.

— Czy mogę jeszcze czymś służyć, panie inspektorze? — spytał.

— Tak. Radbym mieć adres pańskiego krawca. Może pan zechce mi go napisać?

— Mego krawca? — popatrzył się nań ze zdumieniem. — Cóż u licha ma tu do czynienia mój krawiec? Inspektorze — rzekł po chwili ze śmiechem — dziwny z pana człowiek. Ale uczynię, co chcesz.

Podszedł do biurka, napisał adres, wysuszył bibułą i podał kartkę Parrowi.

— Bardzo dziękuję, sir!

Nie spojrzawszy nawet na adres, schował do kieszeni.

— Bardzo przepraszam za fatygę, ale pojmie pan że każdy, kto był w domu Beardmore'a w okresie jego śmierci musi zostać przesłuchany. Czerwony Krag.

— Czerwony Krag!... — jęknął Marl, a inspektor spojrział nań bacznie.

— Czyż nie wie pan, że Czerwony Krag winien

jest tego morderstwa?

Trzeba przyznać po sprawiedliwości, że Marl tego nie wiedział. Przeczytał tylko krótką wiadomość o zastrzeleniu Beardmore'a. „Monitor” wspomniał, że śmierć tę przypisać należy Czerwonemu Kręgowi, ale Marl pisma tego nie czytywał wcale. Padł drżący w fotel, mrużąc:

— Czerwony Krąg.. Boże wielki... nigdy bym nie przypuścił. — tu urwał.

— Czego by pan nie przypuścił? — zapytał Parr tonem życzliwości.

— Czerwony Krąg! — mrużąc dalej Marl. — A ja myślałem, że to tylko... — nie dokończył zdania.

Minęła godzina od odejścia inspektora, a Marl siedział dalej, skulony we fotelu, z głową opartą na rękach.

Czerwony Krąg!

Po raz pierwszy dopiero zetknął się pośrednio z ową bandą szantażystów, ale zaraz opanowało to wszystkie jego myśli, przecinając jednocześnie plany działania.

— Wszystko to mi się nie podoba... — szepnął,

wstając z trudem i przekręcając taster elektryczny.

Resztę wieczoru poświęcił studiowaniu swej księgi bankowej, a rezultat wypadł świetnie. Miał nadzieję wymusić więcej jeszcze, a potem..

Mister Marl wymusza jeszcze więcej

Nowa agentka Czerwonego Kręgu znalazła przyjemne schronienie. Talia została przez Brabazona przyjęta bez rozpytywania; widocznie wpływy człowieka w aucie były bardzo wielkie.

Dziwiło ją to, ale bardziej jeszcze fakt, że dni mijały, a ona nie otrzymywała słowa od swego tajemniczego chlebodawcy. Sądziła, że zaraz stanie do służby, atoli spędziła blisko miesiąc w banku Brabazona (dawniej Teller) zanim dostała wiadomość. Znalazła ją pewnego dnia na pulcie biura. Adres był wypisany drukowanymi literami, a list bez znaku Czerwonego Kręgu brzmiał jak następuje:

PROSZĘ SIĘ ZAZNAJOMIĆ Z MARLEM,
ZBADAĆ, Z JAKIEGO POWODU MA TAK
WIELKĄ WŁADZĘ NAD BRABAZONEM,
PODAĆ WYSOKOŚĆ JEGO KONTA W BANKU
ORAZ ZAWIADOMIĆ, GDY JE ZAMKNIE. CHCĘ

TAKŻE WIEDZIEĆ, CZY PARR ALBO DERRICK YALE BYLI W BANKU. PROSZĘ TELEGRAFOWAĆ: JOHNSON, 23 MILDRED STREET, CITY.

Wypełniła punktualnie wszystkie zlecenia, chociaż upłynęło dni kilka, zanim mogła zobaczyć się z Marlem.

Derrick Yale raz tylko przyszedł do banku. Widziała go już poprzednio, gdy przebywał u Beardmore'a, ale poznałaby go i bez tego, bowiem wszystkie dzienniki zamieściły portret słynnego detektywa.

Nie mogła się dowiedzieć, czego chciał. Ze swego małego biura sekretarki widziała, że rozmawia z urzędnikiem przy okienku i zaraz doniosła Czerwonemu Kręgowi.

Inspektor Parr nie przybył, ani też Jack. Nie chciała zbyt często myśleć o Jacku, gdyż sprawiało jej to przykrość.

* * *

John Brabazon, potężny prezes banku tellerowskiego, w chwilach wielkiego wzburzenia popadał w dziwną nawyczkę. Białymi rękami sięgał do bujnych loków z tyłu głowy, motał je na palce i ciągnął przez całą łysinę aż na czoło. Z tak pochyloną głową i palcami na czole wyglądał jak zamodlony głęboko.

Gość siedzący w pięknym gabinecie nie miał żadnych zgoła nawyków. Był to wysoki, gruby jegomość, oddychający bezgłośnie, zaspany po trosze skutkiem wygodnego życia, a palce jego nie drgały nerwowo, spoczywając złożone na kamizelce.

— Drogi Marlu — mówił bankier łagodnie, pieszczotliwie niemal — czasem wystawia pan naszą cierpliwość na próbę, nie mówiąc już o pretensjach natury materialnej.

Grubas roześmiał się.

— Ależ Brab... daję ci przecież pokrycie, doskonale pokrycie stary skapcze. Nie możesz pan chyba zaprzeczyć.

Palce mister Brabazona wygrywały jakąś melodię po brzegu biurka.

— Przychodzi pan zawsze z najniemożliwszymi

propozycjami, które dotąd, w swojej głupocie, finansowałem. Musi się to jednak skończyć. Nie potrzeba panu pomocy. Należytość pańska w tym jednym banku wynosi około stu tysięcy funtów.

Marl obejrzał się na drzwi i rzeki z cicha, pochylony ku bankierowi:

— Opowiem panu historyjkę o pewnym, młodym urzędniczku, który, nie posiadając grosza, poślubił wdowę po właścicielu banku tellerowskiego. Była stara i mogłaby mu matkować. Bardzo niedługo zmarła nagłą śmiercią... w Szwajcarii. Spadła w przepaść. Wiem to dobrze, gdyż szczególnym trafem byłem właśnie w górach z aparatem fotograficznym i zjadłem ów przedziwny widok. Wszakże pokazywałem panu zdjęcie owego nieszczęśliwego wypadku. Jesteś pan na płycie, mimo że sędziemu śledczemu oświadczyłeś wyraźnie, iż znajdowałeś się o kilkanaście mil w tym czasie.

Mister Brabazon patrzył na biurko. Nie drgnął ani jeden mięsień jego twarzy.

— Może pan zresztą otrzymać tę fotografię! — dodał Marl swobodnym tonem. Chce pan wejść w

nowe związki, zdaje mi się... tak mówią przynajmniej.

Barbazon popatrzył nań, marszcząc brwi.

— Cóż to znaczy? — spytał.

Mister Marla bawiło to wielce. Klepiąc się dłonią po kolanie dawał w śmiechu upust swojej wesołości.

— A może ma to coś wspólnego z ową osobą, którą spotkał pan niedawno przy Stayne Square... tą w zamkniętym aucie?... Nie przecz pan... widziałem ... śliczny, mały wóz.

Po raz pierwszy wzburzenie ogarnęło Brabazona. Twarz mu się wykrzywiła i poszarzała, a oczy zapadły bardziej jeszcze w głąb.

— Dam panu tę pożyczkę — powiedział.

Zadowolenie Marla było wielkie. Nagle zapukano do drzwi i weszła osoba, która pochłonęła całą jego uwagę.

Sekretarka wzięła arkusz papieru i położyła przed chlebodawcą. Była to, zda się, notatka rozmowy telefonicznej.

Biało, złoto, różowo, błysnęło Marlowi. Olśniewająca biel zębów, delikatna płeć, purpurowe usta, a włosy złote jak dojrzałe zboże. Bawił go po

trosze zdecydowany profil i podbródek, gdyż lubił kobiety łagodne i podatne w jego rękach, ale piękność ust, nosa i czoła zdumiała go.

Jał oddychać szybciej i głośniej. Po rozmowie prowadzonej szeptem dziewczyna wyszła, a Marl westchnął.

— Istna królowa! — powiedział. — Gdzieś ją już widziałem. Jak się nazywa?

— Talia Drummond — odrzekł Brabazon chłodno.

— Talia Drummond... — powtórzył Marl powoli. — Wszakże ona była u Froyanta?

Zadurzył się pan w niej, prawda?

Bankier spojrzał nań surowo.

— Mister Marl — powiedział — nie mam zwyczaju „durzyć się” w swoich podwładnych. Miss Drummond jest pierwszorzędną siłą, a tego tylko żądam od personelu.

Marl wstał uśmiechnięty.

— Jutro rano pomówimy o wiadomej sprawie — powiedział.

— O pół do jedenastej — odparł Brabazon, nie uśmiechając się wcale i odprowadzając gościa do

drzwi. — Albo lepiej może o jedenastej — dodał.

— Dobrze, zatem o jedenastej.

— Do widzenia — rzekł bankier, nie podając mu ręki.

Zaledwie klamka zapadła, podszedł żywo do biurka, dobył z portfela zwykłą białą kartkę, zrobił piórem zamaczanym w czerwonym atramencie małe kółko i napisał pod spodem:

Feliks Marl widział nasze spotkanie przy Stayne Square. Mieszka Marisburg Place 79.

Włożył kartkę do koperty i zaadresował:

Mr. Johnson, Mildred Street 23, City.

Talia otrzymuje zaproszenie

Mister Marl musiał przejść przez bank. Spozierał po szeregu pulpitów, nigdzie jednak dostrzec nie mógł osoby, której szukał. Przy końcu sali było niewielkie, oddzielne zaszalowanie, opatrzone drzwiami z matową szybą, tak że ten, kto tam siedział, nie był wprost widoczny. Ale drzwi stały otworem. Podszedł bez namysłu i zobaczył siedzącą przy maszynie sekretarkę, która go obserwowała z zaciekawieniem.

— Czy pani bardzo zajęta, miss Drummond?

— Bardzo — odparła wcale nieoburzona natarczywością.

— Nie bardzo tu wesoło, zdaje się? — spytał.

— Istotnie, nie bardzo — rzekła, taksując go oczyma.

— A co by pani powiedziała tak na przykład o kolacyjce w najbliższym czasie, potem zaś przedstawieniu teatralnym?

Zmierzyła go od farbowanych włosów, aż po

starannie wyczyszczone trzewiki.

— Jesteś pan, widzę, starym hulaką, ale kolacyjki takie lubię pasjami.

Rozpromienił się, a w oczach zamigotał triumf zwycięzcy.

— Może tedy „Moulin gris”? — zaproponował pewny, że ten lokal zaimponuje jej w pełni. Ale skrzywiła wzgardliwie usta.

— Czemu nie restauracja Fried Fish, gdzie uczęszczają wagabundy? — odrzekła. — Nie, dla mnie istnieje tylko Carlton Ritza albo nic.

Mister Marl zdumiał się, ale był uradowany.

— Pani jest, widzę, księżniczką — powiedział, promieniejąc. — Tam istotnie jedzenie jest niezrównane. A może by tak zaraz dziś wieczór?

Skinęła na zgodę.

— Proszę więc przyjechać do mnie o pół do ósmej. Mieszkam na Marisbury Place 79, Bayswater Road. Na drzwiach jest moja tabliczka.

Umilkł na chwilę, spodziewając się protestu, ale, o dziwo, skinęła znowu głową.

— Do widzenia, ukochana — rzucił jej od ust

całusa.

— Proszę zamknąć drzwi — poleciała, biorąc się do roboty.

Przerwano jej jednak zaraz. Tym razem weszła ładna dziewczyna, której ramiona aż po łokcie tkwiły w skórzanych mankietach. Stenotypistka śledziła bacznie Marla przez cały czas rozmowy.

Talia rozparła się w krzesło, a przybyła, zamknąwszy starannie drzwi usiadła na drugim.

— Co cię korci, Macroy? — spytała Talia po prostacku, co nie licowało wcale z jej zwyczajnym sposobem wyrażania się.

— Kto to jest, ten stary puchacz? — spytała, nie po raz pierwszy spoglądając z podziwem na koleżankę.

— Wielbiciel — odparła spokojnie.

— Przyciąga pani mężczyzn, ani słowa — zauważyła Milly Macroy z zazdrością i umilkła.

— I co? — spytała Talia. — Nie przyszła pani chyba rozmawiać o miłostkach?

Milly uśmiechnęła się chytrze.

— Istotnie nie w tym celu, Drummond. Chcę z panią pomówić szczerze.

— Szczeróść to moja pasja — odparła. — Wal pani z góry.

— Wszak pamięta pani, że zeszłego piątku posłaliśmy listem poleconym pieniądze do korporacji Sellingera?

Talia skinęła potakująco.

— Otóż, jak pani chyba już wiadomo, firma ta twierdzi, że otrzymała sam tylko papier.

— Co pani powiada? Pan Brabazon nie wspomniał mi o tym wcale — odrzekła Talia, wytrzymując bez mrugnięcia powiek przenikliwe spojrzenie Milly.

— Włożyłam pieniądze w kopertę, a pani miała je przeliczyć raz jeszcze — powiedziała Milly powoli. — Pani tylko i ja tkwimy w tej sprawie, miss Drummond, ja zaś mogę przysięgać, że nie ściągnęłam floty.

— A więc ja ją musiałam ściągnąć? — powiedziała Talia z niewinnym uśmiechem. — Macroy, jest to bardzo poważny zarzut, jaki pani rzucasz na niewinną jak ja istotę.

Podziw Milly wzrósł jeszcze bardziej.

— Jesteś pani „kuta na cztery kopyta” — rzekła z uznaniem. — Ano, koleżanko, wyłóżmy karty na stół.

Przed miesiącem, zaraz po objęciu przez panią posady, brakło w okienku dewiz zagranicznych banknotu stufuntowego.

— I cóż? — spytała Talia.

— Wiem, przypadkowo, że pani go miała i że banknot ten został rozmieniony u Billburego na Strandzie. Jeśli pani chce, mogę wymienić numer.

Talia zmarszczyła brwi:

— Kogóż mam przed sobą? — spytała, udając przerażenie. — Agentkę policji kryminalnej? Źle ze mną, w takim razie.

Wyraźne szyderstwo zawarte w tych słowach zmieszało Milly.

— Chyba mózg pani zamarł — powiedziała, kładąc dłoń na ramieniu Talii. — Ta sprawka z Sellingerem może mieć jeszcze niemiłe skutki i trzeba pani będzie pomocy życzliwych osób.

— I pani nie najlepiej wyjdzie na tym — odparła Talia chłodno. — Miałaś przecież pieniądze w ręku.

— Ale pani je wzięła — oświadczyła Milly niedbale. — Zresztą nie spierajmy się. Idąc ręką w rękę, zatuszujemy rzecz. Ja gotowa jestem przysięgać,

że w moich oczach została zalakowana koperta i że były w niej pieniądze.

Talia uśmiechnęła się wesoło.

— Zgoda, nie mówmy już o tym. Ale sądzę, że wyratowawszy mnie z toni, zechcesz czegoś w zamian. Co do tych pieniędzy mogę panią uspokoić. Znalazłam na nie doskonałe miejsce. Potrzebuję często pieniędzy, a na poczcie mnożą się, wszakże, kradzieże. Przed kilku dniami czytałam długi artykuł na ten temat. Ano, więc mów, czego chcesz?

Milly Macroy zostająca w dość bliskich stosunkach z klasą złoczyńców, spojrziała z większym jeszcze podziwem na Talię.

— Jesteś pani „kuta”. Ale trzeba dać pokój drobnym manipulacjom, gdyż to może popsuć rzecz naprawdę wielką, a tego ścierpieć nie mogę. Jeśli pani chce otrzymać udział w wielkiej flocie, powinnaś się zwać z ludźmi, co pracują en gros.

— Oczywiście — przyznała Talia — a jacyż to są współpracownicy pani?

Milly, nie zrozumiawszy dobrze słów Talii, odparła tajemniczo:

— Znam pewnego pana...

— Powiedzmy... człowieka — przerwała Talia. —
Słowo pan przypomina ogłoszenie krawca.

— No dobrze — zgodziła się cierpliwa Milly —
otóż znam pewnego człowieka, mojego przyjaciela,
który panią od pewnego czasu obserwuje i on
oświadczył, że dzielna z pani dziewczyna, która by
mogła dużo zarabiać. Chciałby się z panią poznać.

— Jeszcze jeden wielbiciel? — spytała Talia,
unosząc brwi, a Milly zaraz się zasepiła.

— Nic z tego, Drummond — rzekła stanowczo. —
Rozumie pani. Człowiek ten jest, jak się to mówi, moim
narzeczonym.

— Niechże mnie Bóg strzeże, bym miała rozdzielać
dwa kochające się serca! — zawołała Talia z niewinną
miną.

— Nie kpj — odparła Milly czerwieniejąc.
— Powtarzam, nie jest to skrobanie patyka tępym
kozikiem ale prawdziwy interes en gros!

Talia rzekła, bawiąc się nożykiem do otwierania
kopert.

— A jeśli bym nie przystała do waszej kompanii?

Milly spojrzała na nią podejrzliwie.

— Wyjdziemy razem po służbie i zjemy kolację.

— Same zaproszenia na kolację — mruknęła Talia, a Milly, zorientowawszy się, rzekła:

— A więc ten stary piernik zaprosił panią? A to dopiero szczęście!

Zagwizdała z podziwu, potem zaś widoczne było, że się chce z czymś wywnętrzyć, ale dała pokój.

— On dużo zarobił przez pożyczanie na lichwę. Założyłabym się, moja droga, że za jakieś dwa tygodnie będziesz paradowała w brylantach.

Talia wyprostowała się, ujmując pióro.

— Przepadam za perłami — odrzekła. — Dobrze Macroy, spotkamy się dziś wieczór.

— Potem wzięła się do roboty.

Milly stała przez chwilę jeszcze.

— Proszę pamiętać, że ten pan nie śmie wiedzieć, iż wspomniałam o narzeczeństwie.

— Brab dzwoni! — zawołała Talia, biorąc notatnik stenograficzny. — O nie. Nawet nie wspomnę o tym. Nie lubię bajek.

Milly Macroy patrzyła za odchodzącą, z wyrazem

wcale nie przyjacielskim.

Mister Brabazon siedział przy biurku, a gdy weszła, podał jej kopertę zapieczętowaną lakiem.

— Proszę to doręczyć osobiście — powiedział.

Talia skinęła głową, a spojrzawszy na adres, jąła patrzeć na bankiera z wielkim zainteresowaniem. Czerwony Krag miał wielu współpracowników, wśród przeróżnych sfer.

Talia zostaje członkinią bandy

Talia wyszła tego wieczoru ostatnia niemal z biura. Stała na stopniach przed domem i rozglądała się, wdziewając rękawiczki. Jeśli spostrzegła mężczyznę obserwującego ją z przeciwległego chodnika, to nie zdradziła się z tym. Po chwili ujrzała Milly, czekającą o kilka kroków i podeszła ku niej.

— Jakże to długo trwało — mruknęła Milly. — Mój przyjaciel nie lubi wyczekiwać.

— Tak? Niech się tedy przyzwyczai. Gdy idzie o mężczyzn, nie zwykłam trzymać się rozkładu jazdy.

Przeszła wraz z Milly około stu jardów ożywioną ulicą, potem zaś skręciły w Reeder Street. Restauracje tej ulicy nosiły nazwy, naśladujące paryskie przybytki wesela. „Moulin gris” był to mały, czworokątny lokalik, w którym przy pomocy zwierciadeł stworzono coś, co miało wyobrażać przepych.

Stoły nakryte do kolacji były jeszcze puste, gdyż dopiero za dwie godziny miano podawać, a zwyczaj

five o'clocku nie był tu, widać, znany. Dziewczęta poszły wąskimi schodami na piętro do innej sali. Mężczyzna siedzący przy jednym ze stolików wstał na ich widok i podszedł ku nim.

Był to smagły młodzieniec o włosach odczesanych z czoła, mocno nasmarowanych pomadą, zaś ubranie, niezbyt modne, odpowiadało widocznie jego upodobaniom.

Słaby zapach oregano, miękka, duża dłoń i jasne nieruchome oczy, takie odniosła pierwsze wrażenia Talia.

— Proszę siadać, miss Drummond — rzekł wesoło.

— Kelner, herbaty!

— To jest Talia Drummond — powiedziała Milly, całkiem bezpotrzebnie.

— Nie potrzebujemy przedstawienia — roześmiał się młodzieniec. — Dużo słyszałem o pani. Nazywam się Barnet.

— Flush Barnet — podkreśliła, on zaś się zdziwił, ale nie był mile dotknięty.

— Słyszała pani o mnie zapewne?

— Ona wie wszystko — rzekła Milly, a co więcej zna Marla i idzie dziś z nim na kolację. Barnet spojrział po kolei na obie, potem zaś zapytał groźnie Milly:

— Czy jej coś mówiłaś?

— Nie potrzebujesz jej nic opowiadać! Ona wie wszystko.

— Czy mówiłaś? — powtórzył.

— O Marlu? Nie. Sądziłam, że powiesz sam.

Kelner przyniósł herbatę i dopóki nie odszedł, milczeli.

— Lubię mówić prosto z mostu — rzekł Flush Barnet. — Czy wie pani, jak ją nazywam?

— Bardzo ciekawa — rzekła, nie spuszczać zeń oczu.

— Nazywam panią „kutą Talią”. A co, czy nie dobrze? — spytał, obserwując ją. — Jest pani złą dziewczyną. Byłem niedawno na rozprawie, kiedy to stary Froyant oskarżał panią o kradzież.

Uczyniła swawolny gest głową.

— Ma pan mnóstwo informacji z zeszłorocznego kalendarza — odparła chłodno. — Sądzę, że nie zaprosił mnie pan tu, by mi prawić komplementy.

— Oczywiście, że nie po to — przyznał, a zazdrosna Milly spostrzegła po pewnych oznakach, że Talia zajęła jej kochanka. Zaprosiłem panią dla pomówienia o interesach.

Jesteśmy wszyscy troje przyjaciółmi i mamy te same interesy. Od razu powiem, że nie zaliczam się do marnych złodziei, którzy biedują. Mam za sobą ludzi, którzy położą na stole każdą kwotę, byleby interes był dobry, ale pani właśnie mi przeszkadza.

— Przeszkadzam? — zdziwiła się. — Przypuśćmy nawet, że jestem tym, za co mnie pan uważa, w jaki sposób mogę przeszkadzać?

Barnet pokiwał głową.

— Moja panienko — rzekł z dobrotliwym wyrzutem. — Czy pani sądzi, że długo można wojować, wpychając miast pieniędzy papier do koperty. Gdyby mój przyjaciel Brabazon nie uroił sobie, że kradzież zaszła na pocztę, dawno by pani miała w biurze policję. Jeśli mówię, że Brabazon jest moim przyjacielem, to wcale nie przesadzam..

Przesadził widocznie, ale nie mógł jakoś pominąć kwestii swej przyjaźni z bankierem.

Naciskany, byłby zapewne powiedział więcej, ale Talia nie uczyniła tego.

— Otóż powiem pani — rzekł cicho, pochylając się przez stół, że oboje z Milly obrabiamy bank już od dwóch miesięcy. Można tam złapać dużo pieniędzy, ale nie w samym banku, mimo przyjaźni mej z Brabazonem.. tylko interes ten da się załatwić z człowiekiem, który ma tam największą należytość, to jest z Marlem,

Talia skrzywiła usta w uśmiechu.

— Myli się pan bardzo — powiedziała spokojnie — Za należytość Marła nie można kupić garści bobu.

Spojrzał na nią ze zdziwieniem, potem zaś marszcząc brwi wbił oczy w Milly.

— Wszakże powiedziałas mi, że ma blisko sto tysięcy.

— I tak jest rzeczywiście — potwierdziła dziewczyna.

— Tak było — rzekła Talia — ale dziś po południu Brabazon pojechał.. zdaje się, do Banku Angielskiego, bo banknoty były nowe. Zawezwał mnie. Na biurku leżały całe sterty. Powiedział, że zamyka konto Marła i

nie chce mieć za klienta człowieka takiego jak on. Potem zabrał pieniądze i pojechał, jak myślę, do Marla, gdy bowiem wrócił tuż przed zamknięciem biura, oddał mi jego pokwitowanie. — Załatwiłem to konto — powiedział. — Sądzę, że ten szantażysta nie wejdzie nam już w drogę.

— Czy wiedział, że Marl zaprosił panią na kolację? — spytała Milly, a Talia zaprzeczyła ruchem głowy.

Barnet milczał, siedząc rozparty w fotelu i gładząc podbródek. Był myślami daleko.

— Ile to wynosiło? — spytał.

— Sześćdziesiąt dwa tysiące — odparła Milly.

— I on ma w domu tę sumę! — powiedział Barnet, zaróżowiony ze wzruszenia. — Słyszysz, Milly? Sześćdziesiąt dwa tysiące! A pani, Miss Drummond, będzie dziś z nim na kolacji.. No, co pani na to? — zakończył z naciskiem.

Wytrzymała jego spojrzenie bez drgnienia.

— Cóż mam powiedzieć?

— To okazja, jaka się może nie nadarzyć przez całe życie — powiedział chrypliwie.

— Pójdzie pani do niego, trzeba tedy trochę

powodź za nos starego durnia.

Milczała.

— Znam dom — objaśnił Barnet — jest to jeden z tych małych specjalnych budynków Kensingtonu, gdzie płacić trzeba olbrzymie sumy za najem. Marisbury Place, Bayswater Road.

— Znam ten adres — przyznała.

— Ma trzech służących, ale ile razy przyjmuje kobiety, zwalnia ich na cały wieczór. Pani rozumie?

— Nie będzie mnie gościł w domu.

— To nic. Po teatrze można wstąpić na małą przekąskę. Jeśli zaprosi, zgodzi się pani.

Zaręczam, że nikogo ze służby nie będzie. Znam Marla na wylot.

— I co mam robić? Obrabować go? — spytała.

— Czy podsunąć mu pod nos rewolwer i kazać sobie wydać pieniądze?

— Nie gadaj bredni — oświadczył Barnet, wypadając z roli gentlemana. — Ma pani tylko coś przekąsić i odejść. Trzeba go podochocić, rozweselić. Nie bój się. Niedługo po waszym powrocie będę tam i gdyby się stawał zbyt natarczywy, pospieszę z pomocą.

Talia bawiła się łyżeczką, patrząc na obrus.

— A jeśli nie odprawi służby?

— Bądź pewna — zawołał. — U wszystkich diabłów! Nie zdarzyła mi się jeszcze tak przepyszna sposobność. Działajmy razem!

Talia potrząsnęła głową.

— To zbyt wielka rzecz dla mnie. Ma pan pewnie rację i wciągnę się w to z czasem, ale dotąd moją specjalnością były drobne kradzieże.

— Ba! — rzekł wzgardliwie. — Zwariowałaś chyba. Teraz masz, panienko, żniwo przed sobą. Policja nie zna pani jak mnie, który zawsze stoję w pełnym świetle. No co, chcesz, czy nie?

Znowu spuściła oczy na obrus i jęła się bawić łyżeczką,

— Zgoda — zdecydowała w końcu, wzruszając ramionami. — Powieszają mnie tak samo za owcę jak za jagnię.

— Albo za dobry udział w sześćdziesięciu tysiącach — powiedział Barnet wesoło i skinał na płatniczego.

Talia wyszła, kierując się w stronę domu.

Zmuszona przechodzić koło banku, nie wzięła taksówki, gdyż bystre oczy Brabazona mogły wysledzić tę rozrzutność. Szła z falą przechodniów i nagle, muśnięta z lekka ramieniem, obróciła się.

Obok niej kroczył młodzieniec, nie darzący jej uśmiechem, jak inni w Regent Street.

Nie spytał także, czy idą w jednym kierunku.

— Talio! — rozebrzmiało koło niej.

Na dźwięk tego głosu obróciła się, tracąc na moment panowanie nad sobą.

— Mister Beardmore — szepnęła. — Jack zarumienił się z zakłopotania.

— Chciałbym przez chwilę tylko pomówić z panią. Przez cały tydzień czekałem daremnie na sposobność — rzekł spiesźnie.

— Wie pan zatem, że pracuję u Brabazona... kto panu powiedział?

— Inspektor Parr — odparł po krótkim wahaniu.

— Stary Parr, to naprawdę zacny człowiek. Nie powiedział już potem o pani jednego złego słowa.

— Już potem? — zdziwiła się. — Czy zależy od tego w ogóle coś jeszcze? A teraz, mister Beardmore,

muszę spieszyc na pewne spotkanie.

Przytrzymał ją za ramię.

— Talio, proszę mi powiedzieć, czemu pani to robi? — spytał spokojnie. — Ktoś jest za panią, czuje to dobrze.

Roześmiała się.

— Cóż za powód skłania panią do przebywania w tak niezwykłym towarzystwie? — powiedział.

— Niezwykłym towarzystwie? — zdziwiła się.

— Wyszła pani z restauracji — zauważył — gdzie miało miejsce spotkanie z Flushem Barnetem, znanym złodziejem, który odsiedział długą karę więzienia, oraz z Milly Macroy, jego pomocnicą karaną również za współudział w kradzieży kooperatywy Darlingtona. Zatrudniona jest obecnie w banku Brabazona.

— I cóż z tego? — spytała.

Nie zna pani pewnie tych ludzi.

— A skąd pan ich zna? — rzekła spokojnie. — Sądzę, że nie sam jeden czyniłeś pan te spostrzeżenia. Musiał być gdzieś w pobliżu podziwu godny inspektor Parr. Oczywiście. Panie Beardmore, kształcisz się pan, widzę, na urzędnika policyjnego.

Jack był zdumiony.

— Obowiązkiem Parra — powiedział — jest zawiadomić chlebodawców pani o przestawianiu z ludźmi tego rodzaju. Na miłość boską, Talio! Pomyśl w końcu rozsądnie, jaką sobie stwarzasz sytuację.

Talia śmiała się.

— Nie chcę wkraczać w pełne odpowiedzialności obowiązki urzędnika policyjnego, wołałabym jednak, by tego nie czynił. Byłby to znak jego łaskawości. Nie mam nic przeciw policji, o ile mnie nakłania do normalnego trybu życia, ale chlebodawca, który by się uwziął nawracać zbłąkaną owieczkę, byłby bardzo nudny... nieprawdaż?

Roześmiał się, chociaż nie był w wesołym nastroju.

— Talio — powiedział — jest pani zbyt rozumna, by wieść takie życie... i zmierzać do katastrofy — dodał po chwili z powagą. — Nie mam prawa mieszać się w to, ale mógłbym może dopomóc. Może coś zaszło, co panią oddało w ręce tej pary?

Podawała mu z uśmiechem dłoń, mówiąc serdecznie:

— Do widzenia.

Został sam na ulicy jak głupi.

Talia przeszła szybko arkady Burlingtonu, w kierunku Piccadilly i wzięła tam auto.

Wysiadła przed domem przy Marylebone Road, co stanowiło w porównaniu do Lexington Street wielką poprawę.

Portier w uniformie zaprowadził ją do windy i weszła do kosztownie umeblowanego mieszkania na trzecim piętrze.

Na odgłos dzwonka weszła stateczna kobieta w średnim wieku.

— Marto — powiedziała Talia — dzisiaj nie będę na kolacji w domu. Proszę przysposobić niebieską suknię wieczorową i zatelefonować do garażu Welthama, by przysłano auto, punktualnie dwadzieścia pięć minut po siódmej.

Pensja Miss Drummond w banku wynosiła dokładnie cztery funty tygodniowo.

Mister Marl wychodzi

— A więc przyszła pani — zawołał Marl, wstając na powitanie. — Wyglądasz ślicznie, droga moja!

Ujawszy ją za obie ręce wprowadził do małego saloniku białe i złoto urządzonego.

— Wprost prześlicznie — powtórzył ciszej. — Wyznam szczerze, iż bałem się iść z panią do Carltonu. Wszak nie ma pani za złe, że to mówię? A może papierosa?

Dobrył z poły fraka złotą papierośnicę i podał.

— Sądził pan, że przyjdę ubrana w suknię za sześć gwinei od firmy Morne & Gillingsworth? — zaśmiała się, paląc.

— Tak myślałem, droga pani. Niejedno mam za sobą doświadczenie — rzekł, siadając. — Wiem, w jak dziwnych toaletach mogą przybywać kobiety.

— A więc przyjmuje pan młode kobietki — odparła, siadając wygodnie u kominka i patrząc nań przymrużonymi oczyma.

— Ano — powiedział, zacierając ręce z zadowoleniem — nie jestem jeszcze tak stary, by mi nie sprawiało przyjemności towarzystwo dam. Prześlicznie pani wygląda.

Miał czerwoną twarz, ciemne włosy i niezwykle regularne zęby. Tego wieczoru nie był także nienaturalnie opasły.

— Naprzód zjemy coś, potem zaś pójdziemy do teatru na przedstawienie „Chłopców i dziewcząt”, a po teatrze — dodał z wahaniem — przekąsimy jeszcze coś.

— Przekąsimy? — zdziwiła się. — Nie jadam nigdy o tak późnej godzinie. Zresztą wszystko będzie już zamknięte o tej porze.

— Możemy wrócić do mnie. Nie jest pani chyba skromniśią?

— O nie — przyznała.

— Odwiozę panią własnym autem do domu.

— Dziękuję. Mój wóz czeka przed bramą — powiedziała.

Mister Marl wytrzeszczył oczy i zaczął się śmiać, najpierw cicho, potem zaś coraz głośniej, aż zakończył

napadem astmy.

— Szelma z pani — wyjęknał wreszcie z trudem.

Wieczór ten bardzo zainteresował Talię, zwłaszcza że ujrzała w wielkiej hali hotelu Flusha Barneta.

Po przedstawieniu, stojąc w hali teatralnej i czekając na auto, okazała Talia pewne wahanie, ale wymowny mister Marl przewyciężył rychło jej opór i punktualnie o pół do dwunastej weszli do jego mieszkania. Spostrzegła zaraz, że nie zadzwonił na służbę, ale otworzył drzwi własnoręcznie.

W jadalni o boazerii z różanego drzewa zastawiono przekąskę.

— Pomogę pani się rozebrać — rzekł Marl. — Zbyteczna nam jest usługa... nieprawdaż?

Potrząsnęła głową.

— Nie będę nic jadła i najlepiej zrobię, jadąc do domu.

— Zaraz... zaraz — prosił. — Chciałbym pomówić jeszcze o szefie pani. Mogę we firmie, to znaczy w banku, oddać znaczne przysługi. Kto pani wymyślił imię Talia?

— Moi chrzestni rodzice, pan N. i pani N. odparła

uroczyście, a Marla rozradował jej humor. Stanął poza nią i udał, że sięga do zastawy, by wziąć przekąskę i gdyby nie nagły gest, byłby ją pocałował w kark.

— Jadę do domu! — oświadczyła stanowczo.

— Głupstwo! — burknął, wypadając z roli dobrze wychowanego człowieka, do czego miał pretensje. — Chodź tu i usiądź przy mnie.

Spojrzała nań przeciągle, potem nagle podeszła do drzwi, naciskając klamkę. Były zamknięte na klucz.

— Lepiej by było otworzyć, mister Marl — powiedziała spokojnie.

— Ja sędzę, że nie — rzekł wesoło. — No, droga Talio, bądźże ową słodką dziewczynką, za jaką panią uważam.

— Nie lubię niweczyć urojeń odnośnie do mego charakteru — powiedziała chłodno. — Proszę, zechciej pan otworzyć.

— Dobrze.

To rzekłszy przystąpił do drzwi, szukając w kieszeni klucza, zanim tego jednak dokonał, wziął ją w ramiona.

Był o głowę wyższy i silny, toteż nie mogła się

wyswobodzić z żelaznego uścisku.

— Puść mnie pan — rzekła spokojnie, opanowana całkiem i nie okazując strachu.

Nagle uczuła, że mięśnie jej osłabły, on zaś zwyciężył.

Dysząc ciężko, puścił broniącą się dziewczynę.

— Teraz przekazuję coś — powiedziała, a Marl rozpromienił się.

— Kochana Talio! Teraz jesteś ową słodką dziewczynką, o jakiej marzyłem. Ach!... Cóż to znaczy? — wykrzyknął nagle.

Podeszła do stołu i wzięła swoją torebkę z brokatu. Pewny był, że szuka chustki do nosa. Ona zaś ujęła w dłoń mały, czarny przedmiot, kształtu jaja i wysunęła zeń małą igłę, rzucając ją na stół. Marl poznał od razu małą śmiertelnie działającą bombę Milla.

— Połóż to pani! — jęknął. — Proszę zaraz włożyć z powrotem igłę! Nerozsądna dziewczyno... połóż to zaraz!

— Nie bój się pan — oświadczyła chłodno. — Mam w torebce jedną jeszcze igłę. Proszę otworzyć drzwi!

Drżącą ręką przekręcił klucz, a potem obejrzał się na nią.

— Bomba Milla — mruknął, oparty o boazerię ściany.

Potwierdziła gestem i wyszła niosąc morderczy przedmiot, on zaś zamknął za nią i dygocąc jeszcze, udał się do sypialni na górze.

Flush Barnet stał ukryty za szafą z ubraniami. Marl wszedł do siebie, zamknął drzwi i zasunął rygiel.

W domu ucichło wszystko. Przez grube drzwi sypialni nie przenikał najmniejszy szelest. Ponad drzwiami nie było jak zazwyczaj okienka i tylko odblask światła na suficie padającego przez wentylator świadczył o obecności Marla.

Dom w czasie wojny służył za schronisko chorym oficerom i wprowadzono wewnątrz pewne higieniczne urządzenia bardziej pożyteczne niż piękne.

Flush podszedł cicho pod drzwi i jał nasłuchiwać. Marl mówił sam do siebie. Flush rozejrzał się za czymś, co by mu umożliwiło zajrzeć do pokoju. Dostrzegł mały dębowy stolik, podstawił go pod ścianę, wszedł i zobaczył, że Marl chodzi bez surduta po sypialni czymś

bardzo zaniepokojony. Zaraz posłyszał koło siebie szmer stóp po dywanie. Co prędzej zeszedł ze stolika i wysunął się do korytarza, stając tuż nad schodami.

Ciemno było zupełnie, tak że tylko domyślać się mógł czyjejś obecności. Nie wiedział, czy jest to kobieta, czy mężczyzna. Może wrócił po kryjomu któryś ze służących, bowiem wiadomo, że służący nie zawsze korzystają z urlopu. Czekał, ale ponieważ nikt nie przeszedł koło niego, wrócił pod sypialnię. Mogąc nawet wyważyć drzwi, nic by na tym nie zyskał. Ponieważ więc sypialnię trzeba było wyłączyć z planu, postanowił zoperować małą kasę w bibliotece.

Pracował przez całe dwie godziny z wielką wprawą i posługując się doskonałymi narzędziami. Ale wynik był smętny, nie znalazł bowiem dużej kwoty. Noc postąpiła już zbyt daleko, by móc ryzykować napad na sypialnię. Spakował tedy narzędzia i zdobycz i wylał ponownie na stolik. W sypialni panowała cisza, ale jeszcze ciągle się świeciło. Zajrzał przez dziurkę, ale klucz tkwił w zamku. Marl mógł mieć pieniądze przy sobie, albo w żelaznej szkatułce, gdzieś w pobliżu. I to przewidział Flush.

Przeszedł cicho przedsionek, śpizarnię i wy dostał się bocznymi drzwiami, gdzie zostawił trzewiki (chodził w skarpetkach przez cały czas), płaszcz oraz cylinder, bowiem był we fraku. Następnie minął chyłkiem kryty chodnik, wiodący wzdłuż domu i wyszedł małą furtką do ogrodu. W tej chwili ktoś go dotknął z lekka, a Flush obejrzał się.

— Potrzebuję pana — zaszemrał znany głos. — Jestem inspektor Parr. Pan pamięta mnie zapewne.

— Parr! — jęknął, wyrwał się, zaklął i przeskoczył furtkę ogrodową. Ale wpadł zaraz w objęcia trzech policjantów i pełen troski został odprowadzony na najbliższy posterunek.

Tymczasem Parr przeszukał dom na własną rękę. W towarzystwie detektywa minął korytarz i schody.

— To jest jedyny, widocznie, zamieszka ny pokój — powiedział, pukając de drzwi sypialni.

Nikt się nie ozwał.

— Proszę obudzić służbę! — polecił.

Ale policjant wrócił z dziwną wieścią, że służby w domu nie ma.

— Ktoś jest jednak wewnątrz — zauważył

inspektor i poświeciwszy lampką kieszonkową, zobaczył stolik. Nad podziw zręcznie wskoczył nań i zajrzał przez wentylator.

— Ktoś tu śpi — zawiadomił. — He, he! Zbudź się pan! — zawołał, ale odpowiedzi nie było.

Dobijanie się nie dało także żadnego rezultatu.

— Proszę wyszukać gdzieś siekiere — polecił. — Wylamiemy drzwi. Nie podoba mi się to wszystko.

Siekiery nie znaleziono tylko spory młotek.

— Proszę poświecić tu, panie inspektorze — rzekł detektyw, a Parr skierował lampkę na drzwi. — Były białe, a pośrodku widniało czerwone kółko odbite gumowym stemplem.

— Wylałam pan drzwi! — powiedział inspektor, dysząc ciężko.

Przez pięć minut musieli tłuc w drzwi, zanim kwatera poddała się. Śpiący nie dawał znaku życia.

Parr wsunął przez otwór rękę, przekręcił klucz i odsunął z trudem rygiel. Światło oblało twarz mężczyzny, który leżał na wznak, lekko skrzywiony i martwy.

Bańki mydlane

Dobrze już po północy siedział Derrick Yale w swojej ładnej, małej pracowni, skąd widać było park. Nagle zapukano i wszedł inspektor Parr.

Opowiedział nocne wydarzenie.

— Czemu mnie pan nie zawiadomił? — spytał Derrick z wyrzutem, potem zaś roześmiał się. — Przykro mi, naprawdę, że ciągle wtrącam się w pańskie sprawy. Ale jakże zdołał umknąć morderca? Przecież przez całe dwie godziny dom był obstawiony policją. Czy dziewczyna wyszła?

— Tak jest. Wyszła i odjechała do domu.

— I nikt nie wszedł?

— Za to nie ręczę — rzekł Parr. — Ale jeśli ktoś tam był, musiał się dostać przed powrotem Marla z teatru. Wybadałem zresztą, że istnieje wejście przez garaż, poza domem.

Mówiąc, iż dom był obstawiony, przesadziłem. Było, jak się okazało, wejście od tyłu, przez ogród, o

czym nie wiedziałem, nie domyślając się nawet, że istnieje ogród. Musiał umknąć właśnie tamtędy.

— Czy pan podejrzewa Miss Drummond?

Inspektor zaprzeczył .

— Czemuż atoli obstawił pan w ogóle mieszkanie Marla. — zapytał Derrick z powagą. Odpowiedź była zgoła niespodziewana.

— Policja śledziła Marla od chwili jego powrotu do Londynu. Zwiększyłem nadzór od czasu znalezienia części jego listu, którego autorstwo stwierdziłem w ten sposób, że poprosiłem go o adres krawca. Pismo było to samo,

— A więc Marla? — powiedział Yale z niedowierzaniem.

Inspektor skinął potwierdzająco.

— Nie wiem, co zaszło pomiędzy starym Beardmore'em a Marlem i dlaczego człowiek ten przybył do domu zamordowanego. Próbowałem zrekonstruować sobie tę scenę.

Wszakże pamięta pan przestrach Marla w chwili przybycia do Beardmore'a.

— Tak, przypominam sobie — potwierdził

detektyw. — Jack Beardmore opowiadał mi o tym. I co?

— Nie chciał zostać u niego na noc i wrócił do miasta — ciągnął Parr dalej. — Ale faktycznie dojechał tylko do Kingside, stacji oddalonej o kilka tylko mil. Torbę wysłał do Londynu i wrócił pieszo. Jego to zapewne widział morderca w lesie. Czemuż atoli wrócił, skoro przestraszywszy się, umknął zrazu? Czemu także napisał list doręczony nocą, skoro mógł opowiedzieć wszystko Beardmore'owi za dnia osobiście.

Nastąpiło długie milczenie.

— W jaki sposób został zamordowany Marl? — spytał Yale.

Inspektor potrząsnął głową.

— Jest to dla mnie tajemnica. Morderca nie mógł się dostać do sypialni. Rozmawiałem z Barnetem, który nie wie jeszcze o morderstwie. Przyznał, że włamał się w celach rabunkowych. Słyszał, że ktoś chodzi po domu i ukrył się oczywiście. Doleciał go także jakiś syk podobny do odgłosu rury, z której wypuszczano powietrze. Drugi fakt to okrągła mokra plama tuż przy ręce nieboszczyka. Zrazu myślałem, że jest to znak

Czerwonego Kręgu, ale odnalazłem drugą taką plamę na kołdrze. Lekarz nie mógł stwierdzić przyczyny śmierci. Bankier Brabazon, z którym mówiłem telefonicznie, oświadczył, że Marl podjął wczoraj znaczną kwotę, którą konto jego zostało zamknięte. Posprzeczali się o coś. Kasę otworzył, oczywiście, Flush Barnet, ale podczas rewizji nie znaleziono przy nim gotówki. Były tam tylko drobiazgi. Kto atoli wziął pieniądze, nie wiadomo.

Derrick Yale przeszedł się po pokoju, mając ręce na plecach, a brodę zwieszoną na piersi.

— Czy wie pan coś o Brabazonie? — spytał.

— Wiem tyle tylko, że jest bankierem i prowadzi interesy z zagranicą.

— Czy jest wypłacalny? — rzekł Yale wprost, a inspektor podniósł nań zamglone oczy.

— Nie — odparł — mamy nawet parę zażaleń odnośnie do jego postępowania.

— Czy Marl i Brabazon byli dobrymi przyjaciółmi?

— Dość dobrymi — oświadczył Parr z wahaniem.

— O ile mogłem wywnioskować z urzędowych relacji, Marl posiadał jakąś władzę nad Brabazonem.

— A więc Brabazon nie jest wypłacalny — powiedział Derrick z zadumą. — Marl zamyka swoje konto. W jakich warunkach? Czy był w banku?

Inspektor opowiedział pokrótce, co zaszło, a znane mu było, widocznie, wszystko, co się tam dzieje.

Derrick Yale nabrał szacunku dla tego człowieka, którego uważał dotąd za ograniczonego.

— Czy mógłbym tej jeszcze nocy być w domu Marla?

— To właśnie chciałem panu zaproponować. Mam nawet auto pod bramą.

Przez cały czas jazdy do Bayswater nie rzekł Yale słowa, dopiero w przedsiönku domu przy Marisbury Place, powiedział niespodzianie:

— Gdzieś musi być cylinder stalowy.

Będący na posterunku policjant, zsalutowawszy, oświadczył:

— W garażu znaleźliśmy flaszkę żelazną.

— Ach! — wykrzyknął triumfalnie Derrick. — Właśnie o tym myślałem.

Pobiegł na schody, wyprzedzając wszystkich i zatrzymał się w oświetlonym teraz korytarzu.

Przyklękawszy, jął wachać, zakrzuszył się, a twarz mu poczerwieniała.

— Proszę mi przynieść cylinder stalowy! — polecił.

Policjant opisał przyrząd dokładnie. Była to istotnie flaszka żelazna, opatrzona u wylotu małą rurką z zatraskiem.

— Musi być gdzieś jeszcze filizanka albo flaszka szklana — powiedział Yale.

— Obok tej żelaznej flaszki leżała istotnie flaszeczka szklana, ale jest rozbita — zameldował policjant.

— To nic — oświadczył Yale. — Sądzę, że zostało w niej bodaj trochę płynu.

Grubaśny Parr patrzył nań ponuro.

— Cóż to znaczy? — spytał, a detektyw się roześmiał.

— Nowy sposób dokonania mordu, drogi inspektorze — rzekł niedbale. — A teraz chodźmy do sypialni.

Ciało Marla przykryte prześcieradłem leżało na łóżku, a plama dotąd nie wyschła.

Okna były otwarte i wiatr poruszał firanki.

— Teraz nie czuć, oczywiście, nic — rzekł Yale, jakby do siebie i znowu przyklęknął nad dywanem. Zakaszłał i wstał spiesźnie.

Tymczasem policjant wrócił z dolną częścią flaszki. Było tam na dnie kilka kropel płynu, który Yale wylał sobie na dłoń.

— Woda z mydłem — powiedział. — Oczekiwałem tego. A teraz mogę powiedzieć, w jaki sposób Marl został zamordowany. Oto złodziej pański, Flush Barnet, słyszał syk. Był to odgłos trującego gazu, który wypuszczono z flaszki żelaznej. Było tam chyba dość materiału na kilku ludzi. Gaz unosi się jeszcze nad podłogą, jest ciężki, przeto opada.

— Jakże tym zdołano zamordować Marla? Czy mu to pompowano na głowę?

Derrick Yale potrząsnął głową.

Czerwony Krag posiada metody prostsze i skuteczniejsze — powiedział spokojnie. — Puszczano bańki mydlane.

— Bańki mydlane?

— Koniec flaszki, jak pan to może do tej pory

stwierdzić, zanurzono w roztwór mydła w wodzie i przetknięto przez wylot wentylatora. Po uchyleniu zatrasku utworzyła się bańka, którą strzepnięto na śpiącego. Kilka tych baniek pękło na stole, kołdrze i ścianie, gdzie dotąd są plamy. Ale sądzę, że nastąpiło to już po jego śmierci, bowiem bańki musiały też paść mu na twarz, a w takim razie skon nastąpił natychmiast.

Parr słuchał z otwartymi ustami.

— Wszystko to skombinowałem sobie, jadąc tu. Krągła plama na poduszce obudziła wspomnienia młodości, kiedy to puszczałem banki mydlane, a posłyszawszy o owym syku, byłem już pewny swego.

— Wszedłszy do pokoju nie poczuł pan jednak gazu — zarzucił Parr.

— Wiatr go musiał zwiać, ale jako ciężki opadł na posadzkę i zalał ją jednolitą warstwą. Spójrz pan, proszę.

Potaął zapalną i zaczekawszy, aż rozleje, zbliżył ją do dywanu. W odległości cała zapalnik zgasła nagle.

— Teraz rozumiem — zgodził się inspektor.

— Może warto by przetrząsnąć mieszkanie? — spytał Yale, ale oferta jego nie została mile przyjęta.

Mała grupka policjantów, którzy z całym szacunkiem słuchali wywodów detektywa, rozumiała uczucia inspektora. Zrozumiał to zaraz i on i uśmiechnąwszy się, odszedł do domu. Są chwile, kiedy policję trzeba zostawić samej sobie. Derrick Yale Wiedział to doskonale.

Opowieść Flusha Barneta

Dokonawszy rewizji mieszkania Marla, inspektor wrócił, by przesłuchać Flusha Barneta.

Był on wielce przygnębiony i nie mógł dać wielkiej wagi informacji.

Cały łup leżał na stole. Było tam kilka pierścionków, zegarków, srebrna flaszeczka kieszonkowa oraz książeczka bankowa nie przedstawiająca dlań żadnej wartości. Co dziwniejsze jednak znaleziono w kieszeni Flusha dwa całkiem nowe stufuntowe banknoty, odnośnie do których twierdził, że są jego własnością.

Włamywacze typu takiego są to ludzie nierozumni i nie „pracują” wcale, czując w kieszeni dwieście funtów.

— Powiadam, że to są moje pieniądze — upierał się. — Po co bym miał kłamać?

— Oczywiście, nie miałyby to wcale sensu — przyświadczył inspektor Parr chłodno.

— Skąd je pan ma?

— Dostałem od przyjaciela.

— Z jakiego powodu rozpałił pan w bibliotece ogień w kominku? — spytał niespodzianie, a Flush drgnął.

— Było mi zimno — rzekł po chwili.

— Hm... — mruknął inspektor jakby do siebie — ma dwieście funtów, włamuje się, rozbija kasę i pali w kominku. Oczywiście, chciał pan coś spalić... Nieprawdaż?

Flush milczał, wijąc się atoli na dźwięk tych słów.

— Zapłacono panu, byś się włamał i spalił coś, co było w kasie... Prawda?

— Niech bym umarł w tej chwili... .

— Poszedłby pan prosto do piekła — zauważył spokojnie inspektor. — Tam siedzą wszyscy kłamcy, Barnet. Kto był owym przyjacielem? Lepiej powiedz mi, gdyż nie wiem, czy nie obwinić cię o morderstwo?

— Morderstwo? — wrzasnął Barnet, zrywając się. — Cóż to znaczy? Nie popełniłem wcale morderstwa!

— Marł nie żyje. Znalezione go martwego w łóżku.

Opuścił więźnia w stanie wielkiego przygnębienia, a gdy nazajutrz rano wrócił celem dokończenia

przesłuchania, Flush opowiedział wszystko.

— Nie wiem nic o Czerwonym Kręgu, panie inspektorze — zaręczył, dodając pod adresem Opatrzności wezwanie, by go ostro ukarała, jeśli kłamie. — Znam tylko pewną młodą damę z banku Brabazona. Pewnego dnia czekałem na nią, a było już późno. Wtem z bocznych drzwi wyszedł człowiek, na widok którego omal nie padłem trupem, gdyż poznałem go, on zaś zawołał mnie po nazwisku.

— Czy to był Brabazon?

— Tak jest. Poprosił mnie do swego biura... sądziłem, że ma coś przeciw Milly...

— Dalej, dalej — zachęcał inspektor, gdy urwał.

— Otóż najlepiej będzie, jeśli dla własnego ratunku powiem wszystko. Brabazon oświadczył, że Marl dopuszcza się na nim ciągłych wymuszeń, gdyż ma w kasie kompromitujące go dokumenty, on zaś dałby tysiąc funtów, gdybym mu je dostarczył. To jest pełna prawda. Ponadto dał mi do poznania, że Marl przechowuje w domu bardzo dużo pieniędzy. Wiedział, że siedział za włamanie i zasięgnąwszy informacji uznał, że mu jestem potrzebny. Przyjrzałem się tedy

dobrze, ale sprawa była trudna, gdyż płatało się po mieszkaniu ciągle trzech służących. Marl odprawiał ich tylko wówczas, gdy przyjmował kobiety. Chciałem już zrezygnować, ale Marl oszalał nagle dla pewnej panny pracującej w banku.

— Dla miss Talii Drummond?

— Tak, panie inspektorze. Było to istotnie zrządzenie Opatrzności. Dowiedziawszy się, że ją zaprosił na kolację, uznałem rzecz za znakomitą sposobność, a gdy mi powiedziano jeszcze, że zamknął swe konto w banku i ma całą gotówkę w domu, miałem wrażenie, że nie pracuję za darmo po prostu dla Brabazona. Otwarłem kasę, co poszło łatwo, ale nie było w niej dokumentów tylko fotografia. Wyobrażała na tle wysokich gór, jakby gdzieś za granicą, mężczyznę i kobietę. Mężczyzna spychał ją w przepaść, ona zaś trzymała się małego drzewka.

— Rozumiem — rzekł inspektor. — I na tym koniec?

— Tak jest. Pieniądzy nie znalazłem.

O siódmej rano, mając rozkaz aresztowania w kieszeni, złożył inspektor i dwaj detektywi wizytę

Brabazonowi.

Służący w białej nocnej wskazał im sypialnię bankiera, Parr wyłamał zamknięte drzwi, ale pokój był pusty. Otwarte okno i żelazne schody używane w razie pożaru wskazały drogę ucieczki. Nietknięte łóżko i brak wszelkiego nieładu, świadczyły, że znikł kilka godzin przed przybyciem policji.

Przy łóżku był telefon i Parr zadzwonił.

— Czy może pan zbadać, kto rozmawiał w ciągu nocy z tym numerem? — zapytał.

— Jestem inspektor Parr z prezydium policji.

— Były dwie rozmowy — powiedział urzędnik i ja sam łączyłem. Jedna z Bayswater...

— To moja, a jakaż druga?

— Z Western Exchange... o pół do trzeciej.

— Bardzo dziękuję — powiedział ze złością, odkładając słuchawkę.

Popatrzył na towarzyszy, potarł z podrażnieniem wielki nos i powiedział:

— Talia Drummond otrzyma nową posadę.

Talia przyjmuje ofertę

Przez cały tydzień trwały przygotowania do ogłoszenia upadłości Brabazona. Potem Talia opuściła bank, mając w torebce tygodniową pensję i żadnych widoków na inną jakąś posadę. Mówiąc do niej wobec licznych słuchaczy, nie owijał inspektor Parr niczego w bawełnę.

— Tylko ta okoliczność, że wyszła pani z domu Marla, a on sam, jak to widziałem, zamknął drzwi, chroni panią przed ciężkim oskarżeniem.

— Szkoda, że nie ochroniło mnie także przed kazaniem — zauważyła chłodno.

Gdy opuściła biuro, spytał inspektor Derricka Yale'a:

— Cóż z nią teraz zrobić?

— Jest mi ona istną i coraz to większą zagadką — odparł detektyw. — Macroy zeznała, że dopuszczała się w ciągu pobytu w biurze drobnych kradzieży, zresztą nie ma na to dowodów, a jedynym świadkiem

mógłby tu być nasz nieobecny przyjaciel Brabazon.

Czemu nie wziął jej pan za świadka w sprawie Barneta?

— W tym wypadku — odparł inspektor, potrząsając głową — tylko zeznanie Barneta przeciwstawić by można jej świadectwu. A zresztą sprawa Barneta jest nad wyraz jasna, gdyż sam widziałem wszystko.

Yale zachmurzył się.

— Radbym wiedzieć... — zaczął.

— Co takiego? — podchwycił Parr.

— Radbym wiedzieć, czy ta dziewczyna może nam powiedzieć coś bliższego o Czerwonym Kręgu. Mam zamiar wziąć ją do swego biura.

Parr coś mruknął.

— Wiem, że pan mnie uważa za szaleńca, ale w tym tkwi metoda. U mnie nic skraść nie może, natomiast, jeśli jest na służbie Czerwonego Kręgu, zostając pod moim bezpośrednim nadzorem, zdradzi się niezawodnie. Poza tym bardzo mnie interesuje.

— Czemu jej pan pomaga?

— Bo mnie interesuje — uśmiechnął się Yale. —

Czuję poza nią jakąś tajemniczą siłę... Ona nie działa samoistnie... Poza nią jest...

— Czerwony Krag? — dokończył Parr szyderczo.

— Bardzo możliwe — odparł Yale z powagą. —

W każdym razie pomówię z nią o tym.

Jeszcze tego samego popołudnia odwiedził ją w mieszkaniu, służąca wprowadziła go do ślicznego, małego saloniku, a zaraz potem zjawiała się uśmiechnięta Talia.

— Panie Yale — spytała — czy przybywa pan, by mnie obdarować kilku dobrymi radami?

— O, nie! — rzekł ze śmiechem. — Przyjeżdżam ofiarować pani posadę u siebie.

Uniosła brwi.

— Potrzebuje pan pomocnicy? — spytała ironicznie — Czy wychodzi pan z zasady, że szczury łapie się na myszy? A może też chce mnie pan poprawić? Znam ludzi, którzy się tym ładują. Usiadłszy przy fortepianie, założyła ręce na plecy, on zaś uczuł wyraźnie, że mu uraga.

— Dlaczego pani kradnie, miss Drummond?

— Jest to moją naturą — odparła bez wahania. —

Czemu by kleptomania miała być przywilejem samych tylko bogaczy?

— Czy daje to pani pewne zadowolenie? Pytam nie z ciekawości, ale jako baczny badacz natury ludzkiej.

Gestem wskazała mieszkanie.

— Mam przytulne mieszkanko, dobrą służącą i nadzieję, że nie zginę z głodu.

Wszystko to daje mi zadowolenie. A teraz proszę mi coś powiedzieć o posiadzie. Czy mam zostać agentką policyjną?

— Nie — odrzekł z uśmiechem. — Potrzebuję zaufanej sekretarki. Roboty coraz to więcej i nie mogę podolać korespondencji. Dodaję, że w moim biurze mało znajdzie pani sposobności do oddawania się umiłowanemu sportowi — rzucił wesoło. — Ale to ryzyko biorę na siebie.

Patrzyła nań przez chwilę bacznie.

— Jeśli pan przyjmuje ryzyko, to i ja zaryzykuję — odparła po chwili. Gdzie jest pańskie biuro?

Podał adres.

— Przybędę jutro o dziesiątej — powiedziała. —

Niech pan schowa książkę czekową i drobne pieniądze.

— Dziwna dziewczyna — myślał, wracając do siebie.

Mówiąc Parrowi, że jest dlań zagadką, był całkiem szczery. Znał przecież najróżniejsze typy zbrodniarzy nierównie lepiej od inspektora.

Jał dumać teraz o owym nieszczęśniku, który popadł w niełaskę. Trzecie niepowodzenie z Czerwonym Kręgiem musiało silnie zachwiać jego karierę i pewnie nie pobędzie długo w prezydium policji.

Inspektor rozstrząsał tego wieczora tę samą kwestię. Znalazł w biurze krótką urzędową wiadomość, a czuł, że coś jeszcze gorszego niebawem nastąpi.

Nazajutrz wezwano go do Froyanta, gdzie zastał już Derricka Yale'a.

Mimo łączących ich stosunków, sprawa Czerwonego Kręgu przeistoczyła się w pojedynek. W prasie wiadano, że bliską dymisję Parra przypisać należy nie tyle jego niepowodzeniu w śledzeniu tych straszliwych zbrodni, ile niezwykłym zdolnościom

nieoficjalnego rywala. Przyznać jednak trzeba po sprawiedliwości, że Yale starał się na każdym kroku rozwiązać tę opinię, ale niewiele to pomagało.

Mimo skąpstwa i wielkiego honorarium detektywa Froyant oddał sprawę swą Derrickowi zaraz po otrzymaniu ostrzeżenia. Zważył całkiem w policję i nie ukrywał tego wcale.

— Pan Froyant postanowił zapłacić — oświadczył detektyw na wstępie.

— Oczywiście — sarknął wzburzony Froyant.

Parr zauważył, że w dniach ostatnich postarzał o dziesięć lat. Twarz mu wychudła i stała się węższa, a cała postać była jakby złamana.

— Jeśli prezydium pozwala tym zbrodniarzom zagrażać uczciwym ludziom, nie gwarantując im nawet życia, nie mam innego wyjścia prócz zapłaty. Mój przyjaciel Pindle zapłacił. Nie mogę znieść dłużej tego niepokoju.

Zaczął jak szalony biegać po bibliotece.

— Pan Froyant zapłaci — powiedział Yale z wolna.

— Ale tym razem sędzę, Czerwony Krąg posunął się zbyt daleko.

— Co masz pan na myśli? — spytał Parr.

— Poproszę o ten list, sir — rzekł detektyw, a Froyant wysunął szufladę i gestem wściekłości cisnął kartkę na biurko.

— Kiedy nadszedł? — spytał Parr, biorąc list do ręki.

— Dziś rano, pierwszą pocztą.

Inspektor przeczytał słowa wpisane w czerwone kółko.

W PIĄTEK O PÓŁ DO CZWARTEJ
PRZYBĘDZIEMY PO PIENIĄDZE DO BIURA
DERRICKA YALE'A. BANKNOTY NIE MOGĄ
OPIEWAĆ CAŁYMI SERIAMI. JEŚLI GOTÓWKI
NIE BĘDZIE, UMRZE PAN JESZCZE TEJ NOCY.

Inspektor westchnął.

— To rzecz bardzo upraszcza — powiedział. — Oczywiście nie przyjdą wcale.

— Ja sędzę, że przyjdą — oświadczył detektyw spokojnie. — Ale będę ich oczekiwał i chciałbym mieć pana w pobliżu, inspektorze.

— Bardzo dobrze — zgodził się flegmatyczny Parr.

— Jestem atoli pewny, że nie przyjdą.

— Nie zgadzam się z panem. Ktokolwiek jest kierownikiem Czerwonego Kręgu, męstwa mu nie brak. Poza tym zastanie pan w moim biurze dawną znajomą — dodał ciszej.

Parr zauważył wesołość detektywa.

— Drummond? — spytał.

Yale skinął głową.

— Przyjął ją pan?

— Interesuje mnie, a ponadto sądzę, że nam dopomoże w odkryciu tajemnicy Czerwonego Kręgu.

W tej chwili wrócił Froyant i rozmowa zesłała na inne tory.

Klucz od domu nad rzeką

Postanowiono, że Froyant podejmie we czwartek rano pieniądze z banku i wręczy je Derrickowi Yale'owi, tenże zaś uda się do Parra i wróca razem poczynić przygotowania na przyjęcie gości.

Parr musiał w drodze do prezydium policji przechodzić koło wielkiego, samotnego obecnie domu, gdzie mieszkał Jack Beardmore.

Wydarzenia ostatnich tygodni zmieniły młodzieńca, nagle w dojrzałego męża, pełnego spokoju i świadomości. Odziedziczywszy wielki majątek, utracił część dawnej energii i inicjatywy. Nie mógł się też wyzbyć myśli o Talii i miał ją zawsze przed sobą, na jawie czy we śnie. Przeżywał się sam błądnem, usiłował wybić ją sobie z głowy, ale wszystkie względy rozumowe pierzchały przed jej obrazem. Dziwna przyjaźń złączyła go z inspektorem. Chwilami nienawidził wprost małego grubaska, ale te względy uczuciowe nie mogły być podstawą oceny działalności

urzędnika policyjnego.

Parr zatrzymał się przed domem, mając już zamiar iść dalej, ale powolny wewnętrzny impulsowi wszedł i zadzwonił. Liczna służba podkreślała jeszcze samotność.

Jack siedział przy spóźnionym śniadaniu.

— A to pan, inspektorze — rzekł wstając na przyjęcie. — Proszę siadać. Od kilku godzin nic pan nie miał, zapewne, w ustach. Co nowego słysząc?

— Nic prócz tego, że Froyant godzi się zapłacić.

— Tak? — spytał Jack i roześmiał się po raz pierwszy od dawna. — Nie chciałbym być wobec tego w skórze Czerwonego Kręgu.

— Czemu to? — rzucił pytanie Parr, także rozweselony, gdyż przeczuwał odpowiedź.

— Biedny mój ojciec mawiał często, że Froyant nie spocznie dopóki nie odzyska każdego straconego grosza. Gdy się pozbędzie niepokoju, zacznie niewątpliwie śledzić i wydrze spod ziemi bodaj każdy wymuszony banknot.

— To możliwe. Ale oni nie mają jeszcze pieniędzy. Opowiedział Jackowi o liście, jaki Froyant

otrzymał, a młodzieniec zdziwił się wielce.

— Ryzykują niemało — rzekł. — Któż się zdoła zmierzyć z takim Derrickiem Yale'em?

— I ja tak sędzę — przyznał inspektor, zakładając nogę na nogę. — Mam wielką cześć i podziw dla jego przedziwnych zdolności.

— Na przykład dla jego psychometrii? — uśmiechnął się Jack, ale inspektor zaprzeczył.

— Nie znam się na tym tak dobrze, bym mógł wyrazić sąd. Mimo to, że zresztą rozumiem to po trosze, myślę o czymś całkiem innym.

Umilkł nagle i Jack zauważył jego przygnębienie.

— Niemile przeżywa pan chyba chwile w prezydium policji — zauważył Jack. — Coraz to nowe zbrodnie Czerwonego Kręgu muszą tych panów wyprowadzić z równowagi.

Parr potwierdził skinieniem.

— Nie śpię obecnie na różach — przyznał. — Ale mniejsza z tym! Wie pan — spytał, bacznie patrząc Jacka — że pańska przyjaciółka ma nową posadę?

— Moja przyjaciółka, powiada pan... czy może miss...

— Tak właśnie, miss Drummond. Derrick Yale umieścił ją w swoim biurze — odparł, rozweselony zdumieniem młodzieńca.

— Pan chyba żartuje — powiedział on.

— Ja także wziąłem za żart, gdy mi to oznajmił. Ale Yale to dziwny człowiek.

— Wielu twierdzi, że powinien być w prezydium policji — wyrwało się Jackowi.

Ale inspektor Parr nie okazał urazy.

— Nie każdego przyjmują — zauważył z uśmiechem, co było u niego rzadkością. — Inaczej wzięlibyśmy niezawodnie pana. Yale jest dzielny, niezawodnie. Prezydium nie lubi zasadniczo tak zwanych detektywów-amatorów, ale Yale jest niezaprzeczalnie bardzo zdolny. Podeszli obaj do okna, spoglądając na spokojną ulicę, przy której stał dom Beardmore'a.

— O, tam... — powiedział Jack nagle. — Czy to miss Drummond?

Parr spostrzegł ją wcześniej. Patrzyła z przeciwległego chodnika po numerach domów, potem zaś przeszła ulicę w poprzek.

— Tutaj zmierza — powiedział Jack zdumiony. —
Ciekawym co...

Nie dokończywszy, pospieszył do drzwi wchodowych i otworzył w chwili, kiedy miała dotknąć dzwonka.

— Jakże się cieszę, miss Talio — zawołał, ujmując serdecznie jej dłoń. — Proszę, proszę, zastanie pani w jadalni dawnego znajomego.

Uniosła brwi.

— Wszakże chyba nie inspektora Parra?

— Odgadła pani świetnie — powiedział, zamykając za nią. Ale może pani chce pomówić ze mną bez świadków? — spytał nagle.

Potrząsnęła przecząco głowę.

— Mam tylko wykonać zlecenie pana Yale, który prosi o użyczenie mu klucza od pańskiego domu nad rzeką.

Rozmawiając zaszli do jadalni, a Talia skinęła chłodno głową inspektorowi.

Widocznie go nie lubi, pomyślał Jack i objaśnił zaraz powód tych odwiedzin.

— Mój biedny ojciec miał opuszczoną od całych

lat posiadłość nad rzeką, w połowie dom mieszkalny, a w połowie magazyn, jak to bywało w dawnych czasach, kiedy przemysłowiec i kupiec mieścił się tuż obok swych zapasów. Dom grozi zawaleniem, ale rzeczoznawcy ocenili, że koszt przebudowy równałby się pełnej wartości. Yale przypuszcza, że mógł się tam schronić Brabazon, który przez czas pewien administrował częścią majątku mego ojca.

Inspektor wydał grube wargi i łypnął oczyma.

— Tyle tylko wiem, że dotąd nie przekroczył granic kraju — oświadczył. — Wątpię, czy kryłby się w miejscu, które musi przecież zostać zrewidowane. A jednak wszystko możliwe.

Zapewne posiada klucz od tego domu.

Jack wysunął szufladę biurka i podał Talii jeden z rozlicznych kluczy, opatrzonych tabliczkami. — A jak się pani podoba nowa posada? — spytał.

— Jest interesująca — oświadczyła z uśmiechem. — Ale ponieważ ją objęłam dopiero dziś rano, nie mogę jeszcze nic powiedzieć. Panie inspektorze — zwróciła się do Parra — nie będę pana chyba fatygować. Jedynym przedmiotem niejakiej wartości w

biurze jest srebrny przycisk do listów. W dodatku , niestety, nie noszę nawet listów na pocztę — dodała drwiąco. — Dom posiada urządzenia amerykańskie, tak że listy wrzucone w biurze, automatycznie dostają się do skrzynki pocztowej w hallu. To mnie bardzo rozczarowało.

Mimo poważnego tonu, oczy jej błyskały swawolnie.

— Miss Drummond — zauważył inspektor. — Jest pani osobą dziwną, sędzę atoli, że tkwi w pani coś dobrego.

Ta uwaga rozradowała ją tak, że ze śmiechu łzy jej spływać po twarzy, a Jack śmiał się także.

Jeden tylko Parr nie objawiał wesołości.

— Niech pani będzie ostrożna — powiedział, a rysy jej przybrały zaraz wyraz powagi.

— Proszę wierzyć, inspektorze, iż będę bardzo ostrożna — powiedziała — a w razie jakiejś przeciwności zwrócę się do pana niezwłocznie.

— Mam nadzieję — odparł. — Chociaż żywię także wątpliwości.

Dom nad wodą

Talia wróciła zaraz do biura i zastała Derricka Yale'a nad stosem niezakończonych korespondencji.

— Czy to ten klucz? — powiedział. — Dziękuję. Proszę go ot tam położyć. Będzie pani zmuszona sama odpowiedzieć na większość tych listów. Jest tu dużo próśb ze strony różnych młokosów, chcących się kształcić na detektywów. Znajdzie pani schemat odpowiedzi i proszę je podpisać. A tutaj — podał jej jeden list — zechce pani donieść tej damie, że jestem na razie przepracowany i nie biorę nowych zleceń.

Wziąwszy klucz, patrzył nań przez chwilę, a potem spytał:

— Widziała się pani z inspektorem Parrem?

— Panie Yale — odparła ze śmiechem. — Jest pan wprost strasznym człowiekiem.

Skąd ta wiadomość?

— To nic — powiedział. — Rzecz nader łatwa i nie jestem zarozumiały na tę zdolność, podobnie jak

pani na swą piękną postać oraz talent. . powiedzmy...
chwytania, co się nawinie pod rękę.

— O, ja się już poprawiłam! — oświadczyła po chwili z powagą.

— Sądzę, że z czasem poprawi się pani istotnie...
Interesuje mnie pani i to nawet bardzo — dodał,
odprawiając ją skinieniem głowy.

Kiedy z całym zapalem bębniła na maszynie, zjawił się w drzwiach biura.

— Proszę się postarać o połączenie z mister Parrem — rzekł — Jego numer znajdzie pani w spisie.

Inspektora Parra nie było w biurze, ale pół godziny potem uzyskała połączenie.

— Parr, to pan?

Słyszała głos telefonującego przez uchylone drzwi.

— Chcę jechać do posiadłości Beardmore'a nad rzeką i zrobić rewizję. Mam wrażenie, że tam się ukrywa Brabazon. . A więc po śniadaniu.. dobrze ?
Proszę przybyć o pół do trzeciej..

Talia zanotowała to na podkładce znakami stenograficznymi.

O pół do trzeciej przybył Parr, ale go nie widziała,

gdyż do biura detektywa wiodły drugie drzwi, wprost z korytarza. Dochodziły ją tylko głosy obu mężczyzn, którzy niebawem wyszli. Gdy kroki przebrzmiały, wzięła formularz telegraficzny i napisała do Johnsona, Mildred Street 23, City:

Derrick Yale pojechał rewidować dom Beardmore'a nad rzeką.

Można było dużo zarzucić Tali Drummond, ale nie zaniebdywała nigdy swoich obowiązków.

* * *

Dom stał obok niewielkiej przystani, był opuszczony i zanedbany. Kamienny cokół się rozpadał, bariera nad brzegiem popekała, a zielska i wysokie osty zastąpiły im drogę dziką gęstwą, gdy otwarli bramę. Ongiś mogło to wyglądać malowniczo, ale teraz powybijane okna parteru, zniszczone belkowanie i odrapane ściany dawały całokształt zupełnego rozpadu.

Z boku połączony był z domem magazyn, tuż nad

wodą. Podczas wojny bomba zrzucona z aeroplanu, urwała kawałek ściany i dachu, tak że teraz było widać niezakryte niczym wnętrze.

— Miłe to, zaiste, miejsce — powiedział Yale. — Trudno tu sobie wyobrazić eleganckiego Brabazona.

Korytarz pokrywała gruba warstwa kurzu, ze stropów zwisała pajęczyna, a dom przepajało milczenie i bezruch. Przeszli prędko pokoje, nie znajdując nigdzie śladu zbiega.

— Jest tu jeszcze poddasze — powiedział Yale, wskazując schody, wznoszące się pod powałą. Wskoczył na nie, uniósł drzwi zapadające się i znikł. Po chwili wrócił, mówiąc:

— Tam nie ma nikogo.

— Nie miałem zgoła nadziei, byś go pan tu mógł odnaleźć — powiedział Parr, gdy wyszli.

Kroczyli ku bramie poprzez zielsko, a zakurczonym okienkiem mansardy patrzył na nich człowiek o bladej twarzy. Jego zarost świadczył, że co najmniej od tygodnia się nie golił, tak iż nawet najbliżsi przyjaciele nie poznaliby bankiera Brabazona.

Posłaniec Czerwonego Kręgu

— Jesteś pan błazen, idiota! Omyliłem się, sądząc, że jesteś pan dzielnym detektywem.

Froyant dyszał pasją, patrząc na stosy banknotów leżących na biurku. Poczucie, że takie mnóstwo dobrych pieniędzy zostanie mu zabrane, sprawiało mu ból nieznośny, a nie mógł oderwać od nich oczu.

Derrick Yale nie obrażał się o byle co.

— Być może — odparł. — Ma pan zapewne rację, ale ja muszę prowadzić interes wedle pewnych zasad. Nabywszy raz przekonania, że ta dziewczyna zaprowadzi mnie do Czerwonego Kręgu, musiałem ją wziąć do biura.

— Pamiętaj pan, co mówię — ozwał się Froyant, machając mu pod nosem palcem. — Ta dziewczyna jest współniczką morderców i ona to właśnie będzie posłańcem, który zabierze pieniądze.

— Aresztuję ją w takim razie natychmiast. Proszę być pewnym, panie Froyant, że nie stracę z oczu tych

pieniędzy, choćby je wziął Czerwony Krąg. Moja tu odpowiedzialność, a przecież, ratując pana od śmierci, na siebie samego ściągam zemstę tych ludzi.

— Doskonale, doskonale — przyznał żywo. — Tak właśnie trzeba traktować sprawę. Widzę, że jest pan mądrzejszy niż przypuszczałem. Postępuj pan więc wedle swego uznania.

Pogłaskał miłośnie banknoty, wetknął je do ogromnej koperty i oddał z niechęcią detektywowi, który ten pakiet schował w kieszeni.

— O Brabazonie ani słycho — powiedział Froyant. — Ten łotr okradł mnie na więcej niż dwa tysiące funtów, które włożył jak dureń w głupie interesy Marlu.

— Czy wie pan coś bliższego o Marlu? — spytał Yale, stojąc już w drzwiach.

— Tyle tylko, że był szantażystą,

— Ale coś może mniej znanego? — badał detektyw cierpliwie. — Na przykład, skąd się wziął tutaj?

— Przybył, zdaje się, z Francji. Mało wiem o tym człowieku, z którym zresztą zapoznał mnie stary Beardmore. Podobno siedział za matactwa parcelami

gruntowymi w więzieniu. Ale mniejsza o plotki. Mnie był on użyteczny i osiągnąłem nawet znaczny zysk z obrotów, jakie czynił moim kapitałem.

Yale uśmiechnął się. W takim razie mógł obrzydliwy skapiec spokojnie przebaczyć Marlowi tę drobną stratę.

W biurze zastał Parra i Jacka Beardmore'a, który to ostatni przybył widocznie dla Talii. Toteż uzasadnił jej nieobecność tym, że może dojść do scen gwałtownych.

— Jesteś pan chyba na to przygotowany? — spytał, patrząc ostro na młodzieńca.

— Oczywiście — odparł Jack, wesoło niemal.

— Jaki tedy plan? — informował się inspektor.

— Na kilka minut przed spodziewanym przybyciem posłańca pójdę do swego pokoju, zamykając oboje zewnętrzne drzwi. Klucze zostaną po stronie panów i poproszę, byście mnie zamknęli sami. W ten sposób chcę uniknąć zaskoczenia. W chwili, gdy przybysz zapuka, a ja wstanę, by go wpuścić trzecimi drzwiami, panowie ustawicie się w korytarzu.

Parr skinął głową.

— Chyba dość tego będzie.

Rzekłszy to, podszedł do okna i powiał chustką.

— Widzę, że podjął pan środki bezpieczeństwa —
rzekł Yale z uśmiechem. — Ilu ma pan ludzi?

— Około osiemdziesięciu. Otoczą plac.

Yale pochwalił skinieniem.

— Musimy się liczyć z tym, że Czerwony Krag przyśle zwyczajnego posłańca publicznego. W takim razie trzeba go będzie śledzić. Chcę, by pieniądze dostały się do rąk przywódcy bandy. To rzecz najważniejsza.

— Oczywiście — rzekł Parr. — Ale mam przecucie, że ta osobistość główna sama nie przybędzie. Czy mogę obejrzeć biuro?

Wszedł i jął obszukiwać pokój o jednym oknie. W rogu stała szafa nie zawierająca nic oprócz płaszcza.

— Jeśli pan pozwoli — rzekł Parr pokornie niemal — rad byłbym, gdyby pan zatrzymał się przez chwilę w biurze zewnętrznym. Dziękuję, zamknę za panem. Przeszkadza mi zawsze, gdy ktoś drugi patrzy na to co robię.

Yale wyszedł, uśmiechając się, a Parr zamknął za

nim. Potem otworzył drzwi na korytarz wiodące i wyjrzał. Za chwilę usłyszeli, jak je zamyka.

— Proszę wejść! — powiedział. — Widziałem już wszystko, co trzeba.

Biuro Yale'a było urządzone z prostotą ale wygodnie. W wielkim kominku mimo chłodu nie było ognia.

— Nie spodziewam się, by posłaniec umknął przez komin — rzekł Yale wesoło, patrząc na badanie inspektora. — Nigdy nie każę palić w tym biurze, bowiem zaliczam się do istot ciepłokrwistych, którym zimno wcale nie dokucza.

Jack, zainteresowany wielce badaniem, wziął w rękę mały rewolwer, leżący na biurku detektywa.

— Ostrożnie! — rzekł Yale. — Kurek łatwo spada.

Dobył pakiet z banknotami i położył obok rewolweru. Potem spojrział na zegarek.

— Teraz, dla wszelkiej pewności, pójdziemy do biura zewnętrznego i zamkniemy drzwi. Mówiąc to, zamknął drzwi korytarzowe.

— To podnieca niezgorzej — szepnął Jack,

któremu się wydało, że należy szeptem mówić w takiej sytuacji.

— Nie doznaję tego uczucia — odparł Yale.

Parr i Jack zamknęli Derricka w biurze zewnętrznym i usiedli, Jack zajął krzesło Talii, co stwierdził dopiero po chwili.

Myślał, czy istotnie jest ona współniczką Czerwonego Kręgu. Zagryzł usta, nie chcąc wierzyć świadectwu własnych oczu i zdrowego rozsądku. Wpływ jej na niego jeszcze wzrósł. Była istotą niezwykłą, a gdyby nawet dopuściła się przestępstwa...

Spojrzał na Parra, który patrzył nań bacznie.

— Nie jestem psychometrą — powiedział inspektor — ale sądzę, że myślałeś pan o Talii Drummond?

— Tak — przyznał. — Czy sądzi pan, że jest tak zła, jak się wydaje?

— Pyta pan, czy wierzę, iż skradła Froyantowi posążek Buddy? Jeśli o to idzie, nie mam potrzeby wierzyć, gdyż wiem bez wątpliwości.

Jack umilkł, nie mając nadziei przekonać tego upartego człowieka o niewinności dziewczyny. Sam

zresztą czuł, że jest szaleńcem, wobec jej własnego zeznania.

— Ciszej... ciszej! — zabrzmiał głos Yale'a, oni zaś siedzieli już bez słowa.

Yale poruszał się z początku, potem wszystko ucichło, gdyż nadszedł umówiony czas.

Parr spojrział na zegarek. Teraz musiał przybyć posłaniec. Ale z pokoju nie dochodził odgłos walki. Nagle rozległ się jakiś łoskot głuchy, jakby Yale padł ciężko na fotel.

Parr skoczył na równe nogi.

— Co się stało?

— Wszystko w porządku — odrzekł Yale. — Potknąłem się tylko. Bądźcie cicho.

Przesiedzieli jeszcze pięć minut, potem spytał Parr:

— Yale, czy wszystko w porządku?

Nie było odpowiedzi.

— Yale! — krzyknął głośniejszym głosem. — Czy słyszy mnie pan?

Znowu cisza. Parr przyskoczył do drzwi, otworzył i wszedł, a Jack za nim.

Widok, jaki mieli przed oczyma, obezwładniłby

najbardziej doświadczonego funkcjonariusza policji.

Yale leżał na ziemi w kajdankach na rękach, ze skrepowanymi nogami i chustką na twarzy. Okno stało otworem, a silny odór eteru i chloroformu przesycił powietrze. Znikł pakiet, leżący na biurku. W trzy minuty później budynek, pilnowany przez policję, opuścił stary listonosz, dźwigający wypchaną torbę i został bez przeszkód wypuszczony.

Kobieta w szafie

Parr zerwał przepojoną chloroformem chustkę z twarzy detektywa, a Yale otworzył oczy i spojrzał wokół oszołomiony.

— Co się stało? — spytał.

Ale inspektor milczał, zdejmując z jego rąk kajdanki, a Jack rozwiązywał drżącymi rękami jego nogi.

Potem zaprowadzili go do fotelu, na który padł ciężko, przecierając dłonią oczy.

— Co się stało? — powtórzył.

— Chciałbym właśnie to wiedzieć — odrzekł inspektor. — W jakim kierunku umknęli?

Detektyw potrząsnął głową.

— Nie wiem. Nie pamiętam. — powiedział. — Czy drzwi są zamknięte?

Jack podbiegł. Były zamknięte od wewnątrz. Tędy nie mogli ujść napastnicy. Ale okno stało otworem i Parr zauważył to od razu. Podszedł i wyjrzał. Przed

sobą miał przepaść osiemdziesięciu stóp i ani śladu drabiny, która by mogła posłużyć do ucieczki.

— Nie wiem, co się stało — rzekł Yale po chwili.

— Siedziałem w fotelu, gdy nagle zarzucono mi na twarz chustkę i silne, nadludzko wprost silne, ramiona pochwyciły mnie, tak że nie mogłem stawić oporu. Zanim zdołałem krzyknąć, utraciłem widocznie przytomność.

— Wołałem. Czy pan słyszał?

Yale zaprzeczył.

— Ależ, panie Yale — rzekł Jack — usłyszawszy łoskot jakby upadku, inspektor spytał, a pan odpowiedział, że wszystko w porządku i że się pan tylko o coś potknął.

— To nie ja odpowiedziałem — rzekł detektyw.

— Od chwili zarzucenia chustki na twarz aż do czasu, kiedyście mnie znaleźli, nic a nic nie pamiętam.

Inspektor zamykał i otwierał okno, potem obejrzał parapet, a kiedy się zwrócił ku pokojowi, na twarzy miał uśmiech podziwu.

— Jest to najzręczniejszy figiel, jaki widziałem w życiu — oświadczył.

Jack uczył nawrót dawnej niechęci do Parra i rzekł:
— Ładny figiel! Omal nie zamordowali Yale'a i uciekli.

— To figiel niezrównany — upierał się inspektor.
— Teraz rozmówię się z ludźmi pilnującymi domu.

Ale nie podali oni żadnego szczegółu. Z wyjątkiem starego listonosza nie wypuszczono nikogo.

— Z wyjątkiem listonosza? — rzekł zadumany. — Ależ oczywiście... — i dodał: — Sierzancie, proszę odprawić ludzi.

Potem, wsiadłszy do windy, znalazł się z powrotem w biurze Derricka Yale'a.

— Pieniądze znikły — powiedział. — Możemy tylko zawiadomić prezydium policji.

Yale przyszedł już do siebie. Siedział przy biurku, oparłszy głowę na rękach.

— Tym razem ja jestem winny — przyznał — ale trudno mnie potępiać, inspektorze.

Staram się wymiarkować, w jaki sposób zdołali wejść oknem i napaść mnie bez żadnego szmeru.

— Pan siedział tyłem do okna?

— Tak jest. Nie pomyślałem o tym oknie. Miałem

na oczach drzwi.

— Plecami był pan zatem zwrócony do kominka?

— Tamtędy wejść nie mogli — zaprzeczył. — O tak, to rzecz najdziwniejsza, jaką przeżyłem, i niczym jest wobec niej sam nawet Czerwony Krąg. Muszę wszystko opowiedzieć Froyantowi — dodał wstając — a proszę panów, byście zechcieli towarzyszyć mi celem moralnego poparcia. Będzie się pewnie wściekał stary dusigrosz.

Wściekłość, było to wyrażenie bardzo słabe wobec szalu, jaki ogarnął Froyanta.

— Przyrzekł mi pan nieledwie, że pieniądze będą zwrócone — zaryczał — a teraz prawisz bajdy, że pana oszołomiono? Gdzież pan był, inspektorze?

— W pokoju sąsiednim — odparł. — Wszystko co mister Yale opowiada, jest bezwzględną prawdą.

Nagle nastąpiła zupełna zmiana w nastroju Froyanta i to z niepojętą szybkością.

— Ano, trudno — powiedział. — Nie ma rady. Czerwony Krąg dostał pieniądze i awantura skończona. Bardzo dziękuję, mister Yale. Proszę mi przysłać rachunek.

To rzekłszy, pożegnał ich, a oni wyszli do Jacka, czekającego na ulicy.

— Dziwna rzecz, jak nagle zgasła jego wściekłość. Zauważył to pan?

Yale skinął głową zamyślony.

W chwili, gdy Froyant zmienił swe zachowanie, błysnęła mu myśl wielka, podejrzenie dziwne, które by przerazić musiało każdego.

— A teraz zechciej mi pan, mister Yale, odwzajemnić przysługę — rzekł inspektor. — W prezydium policji nie jestem już persona grata. Chodź pan i opowiedz, co się stało.

* * *

Biuro Derricka Yale'a było ciche i opuszczone. Po dziesięciu minutach, gdy umilkł szmer windy, rozległo się ciche skrzypnięcie, uchylono drzwi wielkiej szafy i wyszła z niej Talia Drummond. Zamknęła szafę i obejrzała przelotnie pokój, potem kluczem dobytym z

kieszeni otworzyła drzwi na korytarz, wyszła i zamknęła z powrotem.

Nie zadzwoniła na windę. W końcu korytarza były schody, wiodące do stróża domu.

Zeszła nimi i dostawszy się na podwórze, wsiąkła w tłum ludzi snujących się wszędzie o tej porze.

Dziesięć tysięcy funtów nagrody

Associated Merchants Bank jest upoważniony wypłacić 10.000 funtów tytułem nagrody temu, kto złoży dowody pozwalające na uchwycenie i ukaranie przywódcy bandy szantażystów i morderców zwanych się „Czerwonym Kręgiem”. Prócz tego minister spraw wewnętrznych zobowiązuje się zwolnić z kary każdego członka tej bandy, o ile nie zostanie mu udowodnione rozmyślne morderstwo, pod warunkiem, że dostarczy wspomnianych powyżej dowodów.

Ogłoszenie to zjawilo się na wszystkich tablicach plakatowych, w każdym okienku urzędów pocztowych oraz na czarnych deskach mieszczących obwieszczenia policji.

Derrick Yale przeczytał to, wracając do biura, i zadumał się nad kwestią, jakie może wywołać wrażenie na drobniejszych agentach bandy.

Talia odczytała także ogłoszenie z omnibusu, który

stanał właśnie obok tablicy i uśmiechnęła się. Ale najbardziej wzruszony był Harvey Froyant, a twarz jego oblał rumieniec młodzieńczy. Miał jechać do biura, wrócił do domu i dobył z szuflady biurka listę numerów zrabowanych mu banknotów, którą zestawił z wielką starannością, z uмиłowaniem niemal.

Własnoręcznie przepisał ją, co mu zajęło czas niemal do białego rana. Skończywszy, wystosował list do pewnego biura adwokackiego zajmującego się wyszukiwaniem skradzionych i zgubionych rzeczy, włożył listę do koperty i sam zaniósł na pocztę.

Biuro Heggittów oddało mu już nieraz znaczne usługi. Nazajutrz rano przybył starszy szef, mister James Heggitt we własnej osobie, mały, sucherlawy człowieczek, pociągający nieustannie nosem.

Firma Heggittów nie cieszyła się wielkim szacunkiem ani uznaniem współkolegów, ale miała mnóstwo roboty, a chociaż klienci znajdowali się przeważnie w konflikcie z prawem, nieraz także ludzie uczciwi udawali się tu celem odzyskania cennych rzeczy „ściągniętych” przez długopalcych specjalistów. Dziwnym zbiegiem okoliczności udawało się bardzo

często Heggittom położyć dłoń na ramieniu tego czy owego, który „słyszał” o rzeczy straconej i w większości wypadków, Właściciele odzyskiwali... za pewną opłatą... swą własność.

— Otrzymałem pańskie zawiadomienie — rzekł mały adwokat — i od razu mogę powiedzieć, że żaden z tych banknotów nie pójdzie drogą normalną. — Tu przerwał, śliniąc wargi i patrząc ponad głowę Froyanta. — Największy paser zniknął.

— Któż to taki?

— Brabazon — odrzekł zniecka adwokat, a Froyant spojrział na niego zdumiony.

— Czy ma pan na myśli właściciela banku? — spytał.

— Tak — potwierdził Heggitt. — Robił on największe w mieście obroty skradzionymi pieniędzmi. Przez jego bank przechodziły bez zwrócenia uwagi ogromne sumy, gdyż miał stosunki z zagranicą i nieustannie zmieniał pieniądze dla celów eksportu, tak że wyśledzenie było wprost niemożliwością. Wiedzieliśmy o tym. To znaczy mieliśmy pewne podejrzenia. Mając pewność, jako adwokaci

zawiadomilibyśmy, oczywiście, władze.

Przybywam z wieścią, że będzie bardzo trudno odzyskać te pieniądze. Większość skradzionych banknotów wymienia się na placach wyścigowych, ale bardzo dużo wędruje za granicę, gdzie łatwiej wymienić skutkiem niedostatecznej kontroli. Powiada pan, że to sprawka „Czerwonego Kręgu”?

— Czy zna pan tę bandę?

Adwokat potrząsnął głową.

— Nie miałem z tymi ludźmi nigdy do czynienia — odparł — ale słyszałem i wiem, co to za ziółka. Jest możliwe, że Brabazon pracował dla nich świadomie lub nie wiedząc o tym, a w takim razie będą oni mieli wielką trudność w wyszukaniu innego pasera. Co mam uczynić, jeśli natrafię na ślad banknotów i człowieka, który je puszcza w obieg?

— Proszę mnie niezwłocznie zawiadomić, nie wspominając o tym nikomu — powiedział Froyant. — Idzie tu, jak pan wie, o życie, bowiem jeśli „Czerwony Krąg” się dowie, że chcę odzyskać pieniądze, może być ze mną źle.

Adwokat potwierdził.

Czerwony Krag zainteresował go widocznie, gdyż pozostał przy tym temacie, zadając pytania, a Froyant nie spostrzegł, że go wzięto na spytki.

— To zupełna nowość w świecie zbrodniarzy — powiedział. — Nie dziwi mnie, że we Włoszech „Czarna Ręka” czyni wymuszenia pod grozą śmierci, ale nie przypuszczałem, by coś takiego było możliwe u nas. Najdziwniejsze, iż Czerwony Krag jest niedosięgalny.

Sądzę, że całą tak zwaną bandę stanowi jeden tylko człowiek, któremu służą liczni pomocnicy nie znający się wzajem. Spełniają oni częściowe zlecenia. Inaczej dawno by wszystko wyszło na jaw. To, że się nie znają, daje trwałość bandzie.

Wziął kapelusz.

— Czy znał pan Feliksa Marla? — spytał jeszcze adwokat. — Jeden z naszych klientów obwiniony jest o włamanie do niego. To mister Barnet. Musiał pan słyszeć o nim.

Froyant nie słyszał o Barnecie, ale Marl interesował go tak niemal, jak Czerwony Krag adwokata.

— Znałem Marla — rzekł. — Dlaczego pan pyta?

Adwokat uśmiechnął się.

— Dziwny to był człowiek, wprost zdumiewający w niektórych wypadkach. Jako członek bandy okradał banki francuskie. Był u mnie dziś jego adwokat. Zgłosiła się jakaś pani Marl po spadek i opowiedziała całą historię. On i niejaki Lightman zrobili we Francji majątek, zanim ich przyłapano. Marl poszedłby pod gilotynę, ale zdradziwszy współnika, zeznawał po myśli prokuratora i to go ocaliło. Lightman, o ile wiem, został ścięty.

— Pyszny był tedy człowiek mister Marl — uśmiechnął się Froyant z ironią.

— Wszyscy jesteśmy jemu podobni — powiedział adwokat — gdy z życia naszego spadnie maska.

Ale mister Froyant oświadczył, że jego życie jest otwartą księgą.

Brabazon był więc paserem kradzionych pieniędzy, a Marl skazanym na śmierć mordercą. Froyant dziwił się, że Marl przetrzymał długie, a ciężkie więzienie, jednocześnie wielce rozradowany, iż jego interesy z nieboszczykiem nie wypadły gorzej.

Pojechał do klubu na posiłek wieczorny i oto nagle

w świetle reflektorów własnego auta ujrzał ponownie ogłoszenie przypominające, że jest obecnie uboższy o pięćdziesiąt tysięcy funtów, niż mu się to wydawało rano.

— Dziesięć tysięcy nagrody! — mruknął. — Ba! Któż zechce świadczyć w tej sprawie? Nawet Brabazon, sądzą, nie śmiałyby tego uczynić.

Ale nie znał dobrze Brabazona.

Mieszkaniec domu nad rzeką

Brabazon siedział na poddaszu domu nad rzeką, jedząc chciwie duży kawał chleba ze serem. Był jeszcze we fraku, gdyż tak zaskoczyło go ostrzeżenie, i dziwnie teraz wyglądał, brudny, okryty kurzem. Biała koszula poszarzała, nie miał kołnierzyka, a szczecina nieogolonego zarostu okrywała mu policzki i brodę.

Posiliwszy się, uchylił ostrożnie okienko i wyrzucił okruszyny. Potem zeszedł do dużej kuchni, położonej w tylnej części domu. A chociaż mu brakło mydła i ręcznika, umył się przy pomocy zabranych dwu chustek do nosa. Z wyjątkiem ubrania, jakie miał na sobie, płaszcza i miękkiego kapelusza pochwyconego spieszenie w chwili ucieczki nie był zgoła w nic wyposażony na tego rodzaju przygodę.

Zjadł już niemal wszystko z zapasów, które mu przyniósł nocą człowiek tajemniczy, a pod wrażeniem strachu przez całą dobę nie miał nic w ustach i zdziwił się na widok kosza z wiktuałami. Nerwy jego były w

zupełności zszarpane. Świadomość, że go policja szuka i ma przed sobą długoletnie więzienie, a także tydzień zupełnej samotności i nieustanne oczekiwanie rewizji zmieniły go nie do poznania.

Podczas gdy detektyw chodził po całym domu, Brabazon siedział skulony w zagródkce strychu. Przypuszczenie odwiedzin Derricka Yale'a przejmowało go dreszczem.

Teraz siedział, drzemiąc w wielkim fotelu przyniesionym z dołu, w którym miał spędzić noc. Nagle usłyszał zgrzyt klucza i skoczył na równe nogi. Podchodząc do drzwi zapadłych, uniósł je. W tej chwili zahuczał z dołu tętniący głos przybysza.

— Zejdź pan na dół! — A on usłuchał.

Poprzednia rozmowa odbyła się w ciemnym korytarzu. Brabazon, nawykłszy już do mroku, zeszedł śmiało po schodach.

— Zostań pan, gdzie jesteś! — rozkazał nieznajomy. — Przyniosłem jedzenie, ubranie i wszystko, czego na razie potrzeba. Ogól się pan, byś wyglądał przyzwoicie.

— Gdzie się podzieję? — spytał.

— Kupiłem panu miejsce na parowcu, który jutro wyrusza z doku Victoria do Nowej Zelandii. W torebce jest paszport i bilet. A teraz słuchaj pan. Trzeba zostawić wąsy, a zgolić brwi, gdyż to jest dla pana najcharakterystyczniejsze.

Brabazon się zdziwił, ale podniósłszy rękę do brwi, musiał przyznać rację.

— Nie przyniosłem pieniędzy — ciągnął dalej przybysz. — Ma pan przy sobie sześćdziesiąt tysięcy Marla. Zamknął pan jego konto i sfalszował podpis na kwicie w nadziei, że ja z nim załatwię porachunki. I tak się też stało.

— Kim pan jest? — zapytał.

— Jestem Czerwony Krag — odparł nieznajomy. — Po co to pytanie? Wszakże widywaliśmy się już nieraz.

— Oczywiście — mruknął bankier. — To miejsce doprowadza mnie do szaleństwa. Kiedy mogę stąd wyjść?

— Jutro o zmierzchu. Statek wyrusza, ściśle biorąc, dopiero pojutrze, ale już wieczór może pan być na pokładzie.

— Będą pilnować statku — wyjąknął. — Jest to rzecz niebezpieczna.

— Dla pana nie ma już niebezpieczeństwa — brzmiała odpowiedź. A teraz daj mi pan swe pieniądze.

— Moje pieniądze? — spytał pobladły.

— Tak jest — zatętniło rozgłosnie w ciemni, a drżący Brabazon usłuchał.

Dwie duże paczki przeszły w okrytą rękawiczką dłoń przybysza.

— Bierz pan to — powiedział.

Jedna i to dużo cieńsza paczka przeszła w rękę Brabazona, który uczuł zaraz, że banknoty są całkiem nowe.

— Wymienisz pan to za granicą.

— Czy mógłbym już dziś wieczór wyjść stąd? — spytał Brabazon, szcękając zębami. — Oszaleję chyba.

Po chwili dopiero usłyszał odpowiedź.

— Owszem, ale niebezpieczeństwo dziś jest znacznie większe. A teraz wracaj pan na górę! Rozkaz był surowy i dobitny, toteż Brabazon wykonał go bez słowa.

Usłyszał zamykanie drzwi a przez zakurzone okienko dostrzegł na ścieżce ciemną postać, która zaraz znikła. Potem zatrzaśnięto furtkę. Nieznajomy odszedł.

Bankier odnalazł w ciemku torebkę i zaniósł ją na górę, gdzie mógł bez niebezpieczeństwa zaświecić ogarek świecy, znaleziony w kuchni.

Nieznajomy nie przesadził wcale. W torebce było wszystko, co trzeba. Przede wszystkim jednak zbadał otrzymane pieniądze. Były to banknoty różnych serii i numerów, całkiem nowe. Jego pieniądze były także nowe, ale wszystkie jednej serii. Patrzył z zaciekawieniem. Pieniądze te wymuszono pewnie na kimś. Wiedział, że nowe banknoty niełatwo od razu wymienić i dlatego właśnie dał mu je nieznajomy.

Odłożył je na bok i zaczął się przebierać.

W godzinę potem wyświeżony bankier wyszedł ostrożnie furtką niosąc torebkę.

Zgolone brwi zmieniły go tak bardzo że minął kilku znajomych szukających go funkcjonariuszy policji, bez zwrócenia ich uwagi.

Zajął mały pokój w pobliżu dworca Euston i

położył się spać. Była to od tygodnia pierwsza spokojna noc.

Dzień spędził w pokoju, a wieczór, po samotnej wieczerzy, wyszedł zaczerpnąć powietrza. Zaufanie jego wzrastało coraz bardziej i miał teraz nadzieję ujścia oczu detektywów na pokładzie statku. Krocząc mniej ruchliwymi ulicami zobaczył ogłoszenie i stanął, by je przeczytać.

Powziął pewną myśl. Dziesięć tysięcy funtów i bezkarność! Niepewny, czy mu się nazajutrz uda uciec, jął rozważać, czym będzie odtąd życie jego. Ciągłe ścigany, jak wściekły pies nie miał nawet przeświadczenia, że zdoła skorzystać z posiadanych pieniędzy. Dziesięć tysięcy i wolność! W dodatku, nikt nie wiedział, na ile oszukał spadkobierców Feliksa Marla.

Postanowił, że rano umieści w skrytce, a potem uda się wprost do prezydium policji i złoży zeznanie, które niewątpliwie zniweczy Czerwony Krąg.

— Tak uczynię! — powiedział głośno.

— Bardzo rozsądna decyzja — rzekł ktoś tuż obok niego.

— Inspektor Parr! — zawołał na widok przysadzistego mężczyzny, który kroczył za nim bezgłośnie, ubrany w trzewiki o gumowych podeszwach.

— Tak, to ja — przyświadczył urzędnik. — Chodźmy się trochę przejść i niech pan nie robi trudności.

Gdy podeszli pod posterunek policji, wyszła właśnie i drzwi młoda kobieta, ale przerażony bankier nie poznał swej byłej sekretarki.

— Może pan sobie oszczędzić mnóstwa przykrości — rzekł Parr — jeśli powie całą prawdę. Wiem, gdzie pan mieszka... W hotelu Brighta przy Euston Road. Przybył pan tam wczoraj późnym wieczorem, a jedziesz pan jutro rano statkiem „Itinga”, wyruszającym z Victoria Docku pod nazwiskiem Thomsona.

— Boże wielki! — powiedział zdumiony Brabazon. — Skądże pan to wie?

Inspektor nie dał wyjaśnień.

Bankier, nie kłamiąc wcale, powiedział wszystko, co mu było wiadome, począwszy od otrzymania przestrogi aż do aresztowania.

— Był pan więc przez cały czas w domu nad rzeką? — spytał inspektor w zadumie. — Yale miał znowu rację. Jakże uszedł pan jego oku?

— Czy to był Yale? Myślałem, że to pan. Schowałem się za przegrodę strychu w magazynie, omal nie umarłszy ze strachu.

— Tak, tak. Cóż pan teraz uczynisz?

— Powiem wszystko, co może doprowadzić do ujęcia bandy. Ale musisz pan być chytry, inspektorze.

W tonie bankiera była resztką dawniejszej bufonady.

— Powiedziałem już, że nieznamy człowiek zamienił ze mną banknoty i pewny jestem, że uczynił to nie mając odwagi wymieniać tych pieniędzy. Bał się, że są zanotowane. Moje banknoty opiewały wszystkie na serię E.19 i mogę podać każdy numer. Zaś jego pieniądze są rozmaite.

— Zdaje mi się, że może to być własność Froyanta — zauważył Parr. — Ale mów pan dalej.

— Otóż tych by nie wymienił, natomiast moje wymieni na pewno. Widzi więc pan, inspektorze, jaka się tu nadarza sposobność.

Inspektor nie był pewny, ale po zamknięciu w celi Brabazona, zatelefonował zaraz do Froyanta i powiedział mu tyle, ile należało.

— Ma pan pieniądze? — spytał żarłocznie Froyant. — Proszę zaraz przyjechać.

— Chętnie bym to uczynił — odpowiedział — ale podkreślam, że te pieniądze nie są już własnością pańską, mimo że stanowią banknoty, wypłacone do rąk Czerwonego Kręgu.

Potem wyjaśnił rzecz osobiście, a rozczarowany skąpiec długo nie mógł zrozumieć, dlaczego nie oddadzą mu jego oczywistej własności. Z wielkim mozołem przekonał go inspektor, że idzie o jego życie, potem zaś skąpiec spytał nagle:

— Czy ma pan numery banknotów, oddanych owemu, nieznanemu przez Brabazona?

— Łatwo sobie przypomnę — odrzekł Parr. — Wszystkie są z jednej serii. — Jał wymieniać numery, a Froyant notował je na podkładce biurka.

Flaszka chloformu

Talia pisała właśnie list, gdy weszła Milly Macroy, której wcale nie oczekiwała.

Dziewczyna była blada, jak schorowana, mimo to jednak rozglądnęła się ciekawie po pięknym saloniku. Służąca odeszła już na noc do siebie.

— Ależ to pałac, moja droga! — wykrzyknęła, patrząc na Talię z niechętnym podziwem. — Wie pani lepiej co robić, niż biedny Flush.

— Jakże się powodzi eleganckiemu Flushowi? — spytała Talia chłodno.

Milly się nasrożyła.

— Moja pani! — wykrzyknęła. — Nie chcę, byś mówiła w ten sposób o Flushu. Jest tam, gdzie pani siedzieć powinna. Wszakże, byliście w spółce.

— Nie bądźże głupia, Milly. Proszę zdjąć kapelusz i usiąść. Przypomina mi to dawne czasy.

Dziewczyna burknęła coś, ale przyjęła zaproszenie.

— Chciałabym pomówić o Flushu — rzekła. —

Słyszałam, że chcą weń wmówić zamordowanie Marla, a pani wie chyba, że tak nie było.

— Ja? Skąd mam to wiedzieć? — zdziwiła się Talia. — Dopiero w porannych dziennikach wyczytałam, że w ogóle był tam Flush. Istotnie, podziwiam te, zawsze jak bulki świeże, wiadomości prasy.

Milly nie przyszła w celu podziwiania prasy i skierowała rozmowę, co było do przewidzenia, na uwięzionego Flusha.

— Drummond — rzekła po dawnemu. — Nie chcę się z panią kłócić.

— Cieszy mnie to — odparła Talia. — Nie ma zresztą żadnego powodu do kłótni.

— Tak? — spytała Milly z ironią. — Zresztą mniejsza. Chcę wiedzieć, co pani zamierza uczynić dla Flusha? Zna pani ludzi z lepszych sfer i pracujesz u tego przekłętego Yale'a — syknęła przez zęby. — To właśnie Yale naprowadził Parra na tę sprawę przy Marisburg Place, gdyż ten safandula nigdy by się nie domyślił. Czy przez cały czas pracowała pani razem z Yale'em?

— Śmieszne rzeczy — odparła Talia wzgardliwie.
— Ja piszę dla Yale'a tylko listy i trzymam w porządku biuro. Nie pracuję wcale razem z nim, ani też nie znam tak zwanych ludzi „lepszyc sfer”. Cóż bym zresztą mogła uczynić dla Flusha?

— Mogłaby pani opowiedzieć inspektorowi historyjkę, którą wymyśliłam. Oto zakochany w pani Flush pod wpływem zazdrości wszedł do Marla i nie mógł się już wydostać.

— A co się stanie ze moją czią i dobrą opinią? — spytała chłodno. — Nie, Milly Macroy. Musisz sobie wymyślić coś piękniejszego. Chociaż nie zachodzi wcale obawa oskarżenia Flusha o morderstwo. Wywnioskowałam to ze słów Derricka Yale'a.

Wstała i założywszy ręce na plecy, przeszła się po pokoju.

— Poza tym z jakiego powodu ma mnie interesować ten młody człowiek?

— Zaraz powiem — rzekła szorstko Milly, biorąc się pod boki. — Oto podczas rozprawy Brabazona nic mi nie przeszkodzi zeznać, co wiem o sprawkach miss Talii podczas jej urzędowania w banku.

— Jak to? Czyż uwięziono Brabazona? — spytała spokojnie.

— Tak jest — oświadczyła Milly z triumfem. — Złapał go stary Parr. Byłam właśnie na posterunku policji po pieniądze, złożone dla mnie przez Flusha i dowiedziałam się.

— Biedny, biedny Brab w więzieniu! — rzekła Talia powoli.

Milly patrzyła na nią spod oka. Zawsze niechętna Talii teraz nienawidziła jej wprost, bojąc się jednocześnie dziwnego chłodu oraz panowania nad sobą.

Nagle Talia rzekła:

— Uczynię co się da dla tego biednego Flusha. Nie ze strachu przed zeznaniem pani Macroy, gdyż ręczę, że w tej części rozprawy będziesz się czuła bardzo nieswojo, ale dlatego, że ten szubrawiec istotnie jest niewinny.

Milly przelknęła gorzką pigułkę, słysząc tę nazwę nadaną kochankowi.

Pomówię zaraz jutro z Yale'em. Nie ręczę wprowadzić za skutek, ale skorzystam ze sposobności,

gdy się tylko nadarzy.

— Dziękuję bardzo! — powiedziała Milly życzliwiej, potem zaś, chodząc z Talią z pokoju do pokoju, podziwiała mieszkanie. — A co tu jest?

— Kuchnia — odparła Talia, nie zabierając się do otwierania.

Dziewczyna spojrzała podejrzliwie.

— Czy ukrywa tam pani przyjaciela? — spytała, biorąc za klamkę, zanim Talia mogła jej przeszkodzić.

Kuchnia była mała, pusta i oświetlona elektrycznie.

Talia uśmiechnęła się na widok rozczerowania Milly. Ale zaraz zmienił się jej wyraz, gdy Milly, podszedłszy do zlewu, podniosła w górę sporą flaszkę.

— Cóż to jest? — spytała, czytając etykietę.

Nie było potrzeby wyjmować korka. Przezroczysty płyn oznaczony był, jako mieszanina eteru i chloroformu.

— Co pani z tym robiła? — spytała Milly.

Talia osłupiała na moment, potem zaś rzekła, przeciągając wyrazy.

— Ilekroć wspomnę sobie biednego Flusha Barneta w więzieniu brikstońskim, muszę coś

powąchać dla orzeźwienia.

Milly stuknęła flaszką w stół.

— Talio Drummond, źle się to skończy, i pewnego dnia zbudzą panią pytaniem, co chcesz jeszcze powiedzieć swoim przyjaciołom.

— Ja zaś powiem — odparła Talia uprzejmie — pochowajcie mnie obok słynnego zbrodniarza Flusha Barneta.

Milly znalazła stosowną odpowiedź dopiero w Marylebone Road i zaraz uświadomiła sobie z niepokojem, że nie uzyskała od Tali właściwie żadnego przyrzeczenia.

Matka inspektora Parra

Dowiedziawszy się o uwięzieniu Brabazona, Jack pojechał zaraz do prezydium policji, by się zobaczyć z Parrem, ale powiedziano mu, że inspektor poszedł do domu.

— Jeśli to coś ważnego, mister Beardmore — zawiadomił go dyżurny funkcjonariusz — zastanie go pan w prywatnym mieszkaniu przy Stamford Avenue.

Prócz zainteresowania Czerwonym Kręgiem miał Jack coś jeszcze do samego inspektora. Derrick Yale doniósł mu o całym zajściu telefonicznie.

— Inspektor Parr sądzi, że dobędzie z więźnia nader ważne zeznanie — powiedział.

— Nie widziałem dotąd Brabazona, ale wybiorę się jutro z Parrem do niego.

Yale był także niewidzialny. Zaznaczył tylko, że zaproszono go na wieczór do teatru. Toteż Jack skierował się ku domowi pieszo, chcąc zażyć ruchu. By skrócić drogę, ruszył przez park i przyszło mu na myśl

nagle, jakie jest życie domowe Parra. Nie wspomniał nigdy o rodzinie, a co robił poza urzędowaniem, stanowiło niemal tak wielką tajemnicę, jak ta, którą usiłował odkryć.

Jack nie wiedział wcale, gdzie jest Stamford Avenue. Dotarł właśnie do odległej części parku, gdy mu się wydało, że słyszy za sobą kroki. Nie był wcale nerwowy, i fakt taki nie obszedłby go nawet w normalnych okolicznościach. Ścieżka ujęta była w gęstwę rododendronów. Nie dostrzegł nikogo i ruszył spieszniej.

Już nie słyszał kroków, natomiast ujrzał, obejrawszy się, jakąś postać, kroczącą trawnikiem obok ścieżki. Przystanął, a nieznajomy uczynił to samo. Zakłopotał się, co czynić. Nie mógł bez śmieszności zawołać na tego człowieka, gdyż każdemu obywatelowi wolno było przecież spacerować późnym wieczorem po parku.

W tej chwili ujrzał idącego naprzeciw człowieka i rozpoznawszy po kroku policjanta, doznał wielkiej ulgi. Postać zniknęła. Był to człowieczek mały, tak że wziął go zrazu za wyrostka. Może biedak jakiś chciał go

prosić o pieniądze na nocleg? Wydało mu się to głupie, ale rozradowało go, gdy wkroczył na jasno oświetloną ulicę.

Zapytał policjanta.

— Stamford Avenue? Może pan dojechać tamtym oto omnibusem, albo taksówką w ciągu dziesięciu minut.

Długo się namyślał, czy jechać. Inspektor mógł mu słusznie wziąć za złe wciskanie się do domu, a cóż miał na usprawiedliwienie swego postępku? Nagle zdecydowany wsiadł w auto. Dojeżdżając, znowu uczuł te same skrupuły.

Parr otworzył drzwi sam.

— Proszę, proszę! — powiedział. — Dopiero co wróciłem i właśnie jestem przy kolacji. Myślę, że pan dawno już jadł i coś przekąsi.

— Nie chcę przeszkadzać, inspektorze — odparł Jack. — Dowiedziałem się o aresztowaniu Brabazona i dlatego przybyłem.

Inspektor wziął go pod rękę, chcąc zaprowadzić do jadalni, ale nagle stanął, wydając okrzyk:

— Boże wielki!

Jack zdumiał się, gdyż po raz pierwszy spostrzegł zakłopotanie u Parra.

— Proszę, racz pan tu chwilkę zaczekać — powiedział inspektor. — Muszę uprzedzić ciotkę, która u mnie mieszka, o pańskiej wizycie. Nie widuje nikogo w domu. Jestem, jak pan może wie, wdowcem, a ciotka prowadzi mi gospodarstwo.

Wszedł do jadalni, zamykając za sobą drzwi, a Jack widział dobrze jego zmieszanie.

W jadalni powstał ruch, krzątania jakaś, a w kilka minut potem inspektor wrócił.

— Proszę bardzo — powiedział, czerwieńszy, niż zazwyczaj. — Niech pan raczy usiąść i przebaczyć zwłokę.

Pokój był urządzony ze smakiem, a Jack zdziwił się, że mógł oczekiwać czegoś innego. Ciotka inspektora była starą, roztargnioną damą, co Parra kłopotalo wyraźnie. Nie spuszczał z niej oka, gdy chodziła po pokoju i przerywał, gdy tylko zaczynała mówić, co prawda grzecznie, ale z niezadowoleniem.

Kończyła właśnie jeść, w chwili przybycia gościa.

— Raczy pan przebaczyć nieporządek... panie...

eh?

— Beardmore — poddał Jack.

— Nie zapamięta na pewno — mruknął inspektor.

— Nie umiem utrzymywać domu w takim ładzie, jak matka — powiedziała dama.

— Oczywiście, cioteczko — przerwał śpiesznie, dodając z cicha: — Jest nieco roztargniona. I cóż pan chce wiedzieć?

Jack usprawiedliwił z uśmiechem swe przybycie.

— Czerwony Krąg, to rzecz tak skomplikowana, że każdego agenta można uważać za główną osobę — powiedział. — Czy z Brabazona będzie można wyciągnąć coś poważnego?

— Nie wiem, czy nam wiele pomoże — odparł Parr. — Na wszelki jednak wypadek posłałem ludzi swoich, nakazując, by dozorca pod żadnym warunkiem nie wchodził do celi.

— Ma pan na myśli marynarza Sibły, którego struto?

Parr potwierdził skinieniem.

— Przyzna pan chyba — rzekł z naciskiem — że tamto było jedną z największych tajemnic Czerwonego

Kręgu.

W jego oczach zamigotał błysk.

— Śmieje się pan? — spytał Jack. — I ja także tamtą sprawę uważam za nader tajemniczą.

— Nie ulega kwestii, że otrucie Sibly'ego będzie nierównie ważniejszym czynnikiem w schwytaniu bandy, niż wszystko co może powiedzieć Brabazon.

— Ach — powiedziała stara dama. — Czemu ciągle mówicie panowie o zbrodniach i złoczyńcach. To mnie strasznie denerwuje. Matka byłaby natomiast bardzo zadowolona..

— Oczywiście, cioteczko. Przykro mi, że jej tu niema.

Stara dama wyszła z pokoju, a Jack powiedział z uśmiechem:

— Matka pańska jest, widzę, pod każdym względem wzorowa.

W tej chwili uczuł, że popełnił faux pas, ale uspokoił go zaraz uśmiech inspektora.

— Istotnie, jest wzorowa. Na razie nie mieszka tutaj.

— Czy to istotnie matka pańska? — wyrwało się

Jackowi bezwiednie.

— Nie. — odparł Parr. — To moja babka.
Jack wytrzeszczył oczy zdziwiony.

Strzał wśród nocy

Inspektor miał około pięćdziesiątki, ileż tedy lat liczyć mogła jego babka? Jakim dziwnym sposobem okazywała jeszcze zainteresowanie kryminalistyką, utrzymując jednocześnie dom w tak wielkim porządku?

— Musi być bardzo stara — powiedział Jack. — Pewny jestem, że bardzo by ją zajęła sprawa Czerwonego Kręgu.

— Zajęłaby, powiadasz pan? Ach, gdyby ona posiadała takie jak ja pełnomocnictwa, wszyscy członkowie bandy siedzieliby już dziś zamknięci w więzieniu. Ale tak nie jest. — dodał z wahaniem.

Przez cały ciąg rozmowy doznawał Jack dziwnego uczucia. W pokoju panował porządek, ale jakiś dorywczy, tak że czynił wrażenie nieładu. Nie mógł atoli snuć dalej myśli, gdyż inspektor był wyjątkowo rozmowny. Powiedział nawet kilka zgoła niepotrzebnych rzeczy na temat przykrości, jakie miał w prezydium.

— Oni się niecierpliwią, rzecz prosta, z powodu coraz to nowych morderstw. Od lat pięćdziesięciu nie przeżywaliśmy czegoś takiego. Sam nawet Kuba Rozpruwacz nie dokonał tylu zbrodni w tak krótkim czasie. Zainteresuje pana pewnie, jeśli powiem, że Czerwony Krąg jest pierwszą naprawdę zorganizowaną bandą. Zazwyczaj tego rodzaju spiski są dość luźne i oparte o to, co ogólnie zowie się honorem zbrodniarza, czego ja atoli nie odkryłem w ciągu całej swojej działalności. Czerwony Krąg jest niewątpliwie jednym tylko człowiekiem, który nikomu nie dowierza. Nikt go nie zdradza, bowiem uczynić tego nie może. Nawet podrzędni agenci nie zdradzają się nawzajem, gdyż nie znają się i nie znają „wodza” ani z widzenia, ani z nazwiska.

Jał rozpowiadać o różnych nader ciekawych sprawach, w których pracował i było już pół do dwunastej, gdy Jack wstał, by odejść.

— Odprowadzę pana do bramy — rzekł Parr. — Pewnie pańskie auto czeka?

— Nie. Przyjechałem taksówką.

— Hm.. — powiedział inspektor. — Mam

wrażenie, że przed bramą stoi auto.

Pewnie przyjechał do kogoś lekarz. W pobliżu nie ma stacji taksówek.

Otwarł bramę i rzeczywiście, tuż pod domem czekało auto.

— Widziałem już ten wóz! — zauważył inspektor, stojąc na ulicy.

W tej chwili z ciemnego wnętrza auta buchnął płomień i rozległ się strzał ogłuszający.

Inspektor padł w ramiona Jacka. Auto ruszyło z miejsca w szalonym tempie. Latarnie były pogaszone. Znikło na zakręcie ulicy, w chwili kiedy w bramie ukazali się przestraszeni mieszkańcy domu.

Podbiegł policjant. Razem z Jackiem zanieśli inspektora z powrotem do jadalni. Na szczęście ciotka spała już i nie dosłyszała strzału.

Parr otworzył po chwili oczy.

— To była niezbyt przyjemna chwila — powiedział, a twarz drgnęła mu boleśnie.

Obmacał starannie kamizelkę i wydobył spłaszczoną ołowianą kulę. — Dzięki Bogu strzelał ze zwykłego rewolweru, a nie z browninga — dodał,

patrząc na zdumionego Jacka. — Ten pan z Czerwonego Kręgu jest jedną z trzech osób noszących stalową koszulę ochronną. Ja jestem drugą, a trzecią jest, jak to wy badałem... Talia Drummond.

Milczał przez chwilę, potem poprosił:

— Racz pan zadzwonić do Derricka Yale'a. Będzie zdumiony, sądzę.

Przewidywanie to istotnie się sprawdziło.

W pół godziny potem przyjechał detektyw i to tak spiesźnie, że musiał chyba wdziać ubranie na nocną pidżamę.

Wysłuchawszy opowieści, zauważył:

— Nie chcę być niegrzeczny, ale zamach na takiego człowieka jak pan uważam za rzecz wprost niepojętą.

— Dziękuję uprzejmie — odparł inspektor, przykładając ostrożnie wacik do tłuczonej rany.

— Nie twierdzę — wyjaśnił — by pana nie było warto uśmiercać, ale właśnie podkreślam zuchwalstwo dokonane wobec policji - nachmurzony ciągnął dalej jakby samego siebie. — Nie wiem dlaczego o to pytała? Mam na myśli Talię Drummond. Dziś rano

chciała się dowiedzieć pańskiego adresu. O ile wiem, nie ma go ani w spisie telefonów, ani w książce adresowej,

— Co pan odpowiedział?

— Wymyślałem to jakoś, dziwiąc się jednocześnie, że pyta, bowiem ma przecież mój prywatny wykaz adresów.

Jack westchnął niby znudzony tą rozmową.

— Nie sądzi pan chyba — powiedział — że Talia Drummond strzelała. Przypuszczenie takie byłoby wprost śmieszne. Powie pan, wiem o tym, że jest zła i dopuściła się kilku drobnych przewinień, ale nie czyni jej to jeszcze morderczynią.

— Racja — odrzekł Yale po chwili. — Jestem niesprawiedliwy wobec niej i źle postępuję, chcąc ją poprawić. Poza tym chciałem się i tak widzieć dziś wieczór z panem, inspektorze. Cóż pan powie na taką bezczelność?

Dobył z kieszeni kartkę ze znanym znakiem i podał Parrowi.

— Kiedy nadeszła?

— Znalazłem ją w skrzynce listowej w chwili,

gdym wybiegł zawołać auto, by jechać do pana. To przekracza już chyba wszystko.

Na kartce, wokoło czerwonego kręgu widniał napis:

Pracujesz pan na rzecz strony przegrywającej. Pracując dla nas, osiągniesz pan zysk dziesięciokrotny. Jeśli działalność pańska nie ustanie, śmierć nastąpi czwartego przyszłego miesiąca.

— To znaczy niespełna dziesięć dni — rzekł z powagą inspektor i pobałdł jakby z bólu. — Dziesięć dni tylko...

— Oczywiście zbagatelizuję tę pogrózkę — powiedział detektyw — ale po niemiłych doświadczeniach w biurze muszę przyznać, że Talia posiada zdolności wprost nadludzkie.

— Dziesięć dni... — powtórzył inspektor. — Czy ma pan plan jakiś? Gdzie zamierzasz pan być czwartego następnego miesiąca?

— Dziwi mnie, że pan pyta o to — odrzekł Yale. — Istotnie umyśliłem wyjechać do Deal i łowić ryby.

Pewien znajomy przyrzekł mi łódź motorową. Chcę noc spędzić na wodzie. Poczynilem nawet kroki, by wyruszyć niebawem na odpoczynek.

— Czyń pan co chcesz — oświadczył Parr z naciskiem — sam atoli nie pojedziesz. Dzięki Bogu, cioteczka się nie zbudziła, a matki nie ma. — dodał zwrócony do Jacka, który przyjął te słowa uśmiechem porozumienia.

Czerwony Krąg

Harvey Froyant chlubił się tym, że nie dowierza nikomu, i tak było rzeczywiście w stosunku do adwokata oraz wielu niepewnych ludzi.

W dwa dni po zamachu na inspektora Parra zjawił się adwokat u swego klienta, drżąc od wzburzenia, bowiem wyszperał jeden z banknotów odebranych przez Czerwony Krąg Brabazonowi.

— Mamy teraz doskonały punkt wyjścia do dalszej akcji — powiedział. — Jeśli będziemy się trzymali tego tropu, wymiarkujemy niedługo, kto pierwszy wymienił pieniądze.

Harvey Froyant jako człowiek konsekwentny nie miał zamiaru oddawać całej sprawy w ręce tego człowieka. Firma Heggittów oddała mu zrazu pewną przysługę, jednak resztę postanowił załatwić sam i to w sposób całkiem odmienny. Powiedział to krótko i wężłowato adwokatowi.

— Bardzo mi przykro, że nie mogę działać dalej —

powiedział, rozczarowany wielce Heggitt — bowiem z pewnością, iż pomiędzy człowiekiem, którego wysłedziłem, a rzeczywistym sprawcą jest bardzo mało stopni.

Froyant wiedział to równie dobrze jak adwokat.

Jack miał rację, mówiąc, że skapiec nie spocznie, dopóki będzie miał jakąkolwiek szansę odzyskania pieniędzy. Ta strata go podniecała, nie dając spać.

Miał teraz pole działania. Zgromadził duży, siedmiocyfrowy majątek, szachrując parcelami gruntowymi w różnych krajach. Nie siedział w biurze, zdając się na swych urzędników, ale podobnie jak stary Beardmore odbył mnóstwo uciążliwych podróży celem zaznajomienia się ze sprawą na miejscu.

Wziął się ostro do rzeczy. Łatwo mu przyszło, idąc śladem Heggitta, wymyszkować jeszcze dwa dalsze banknoty. Jeden z nich został wymieniony w wielkim banku, którego filia zawiadywała jego kapitałami.

Przez trzy dni, badając księgi, doszedł do pewnego wniosku i zaraz nazajutrz wyjechał do Francji.

W Paryżu zabawił tylko dwie godziny i ruszył dalej, do Tuluzy, gdzie szczęśliwym trafem natknął się na

pewnego urzędnika miejskiego, który był swego czasu agentem sprzedaży parcel gruntowych.

Monsieur Brossard powitał go radośnie, sądząc, że nadarza się sposobność ubicia nowego interesu. Zaraz jednak doznał rozczarowania.

— Nie wdaję się w sprawy kryminalne — powiedział, muskając brodę. — Pamiętam doskonale Marla i innego jeszcze człowieka, który był, zdaje się, Anglikiem.

— Nazwiskiem Lightman?

— Tak, rzeczywiście! Boże wielki! — wykrzyknął z odrazą. — Rzecz jest znana ogólnie. Obaj z Marlem byli szubrawcami. Któryś z nich zastrzelił kasjera i stróża banku w Nimes. Potem popełnili na spółkę dwa jeszcze morderstwa. Pamiętam to dobrze... a w dodatku to straszne wydarzenie...

— Co za wydarzenie? — spytał Froyant z zaciekawieniem.

— Zaprowadzono Lightmana na plac stracenia. Kat musiał być pijany, bowiem nóż gilotyny nie spadł, jak trzeba. Trzy razy dotknął jeno karku delikwenta. Wmieszali się w sprawę widzowie. Wiesz pan jak

pobudliwa jest publiczność francuska. Toteż, aby uniknąć ruchawki, odprowadzono zbrodniarza do więzienia. W ten sposób uniknął śmierci Czerwony Krag. Froyant, który pił właśnie kawę, skoczył na równe nogi.

— Kto? — spytał porywczo.

Monsieur Brossard otworzył ze zdumienia usta.

— Cóż to panu? — powiedział, spoglądając na splamiony kawą obrus.

— Czerwony Krag? — wrzasnął Froyant, drżąc całym ciałem.

— Tak zwano ogólnie Lightmana — oświadczył Brossard, ponownie zdumiony wrażeniem słów swoich.

— Ja osobiście nie interesowałem się tą sprawą, ale jeden z moich funkcjonariuszy był ogromnie tą sprawą zajęty.

Nacisnął dzwonek i zaraz wszedł starszy jegomość.

— Panie Juliuszu — spytał go. — Czy przypomina pan sobie sprawę Czerwonego Kręgu?

— Oczywiście, panie szefie — potwierdził urzędnik. — Było to wprost straszne.

Asystowałem przy nieudanym ścięciu.

— Dlaczego tego zbrodniarza nazywano Czerwonym Kręgiem?

— Miał znamię w kształcie czerwonego paska wokół szyi i długo przed straceniem mówiono, że nie tknie go nóż gilotyny, bowiem jest to znak czarodziejski. Ja jednak przypisuję to pijaństwu kata, który źle nastawił przyrząd.

Froyant dyszał ciężko. Teraz zrozumiał wszystko.

— Co się potem stało z Czerwonym Kręgiem? — spytał.

— Dokładnie nie wiem — odparł urzędnik. — Zesłano go podobno na jakąś wyspę, natomiast Marl został zwolniony, bowiem, zdradziwszy współnika, zeznawał po myśli prokuratora. — Słyszałem, że Lightman uciekł z zesłania, ale ile w tym prawdy, nie wiadomo.

Froyant odgadł dawno, że zbrodniarz musiał uciec. Cały dzień spędził na poszukiwaniu dowodów, był u prokuratora i u dyrektora więzienia, gdzie mu pokazano fotografie.

Po tej zmudnej pracy położył się z wielkim zadowoleniem do łóżka w „Hotel Anglais”, dumny ze

swych sukcesów, które zapędziły w kozi róg londyńską policję.

Tajemnica Czerwonego Kręgu została wyświetlona.

W jaki sposób Froyant został zmuszony do milczenia

Wyjazd Froyanta do Francji doszedł rychło do wiadomości Parra i Derricka Yale'a. Dowiedział się także o tym Czerwony Krąg z telegramu Talii Drummond.

Te właśnie wiadomości przez nią posyłane, dziwnym trafem powodowały zawsze wizyty Derricka Yale'a w prezydium policji. Przybył tam także w sam dzień triumfalnego powrotu Froyanta.

Parr zastał go w swym biurze. Siedział przy maszynie, zdumiewając zebranych policjantów swą przedziwną wiedzą psychometryczną.

Było to wprost zdumiewające. Na podstawie wręczonego pierścionka opowiedział nie tylko wszystko o nim, ale także ku wielkiemu przerażeniu właściciela, tajemne jego sprawy.

Gdy Parr wszedł, wręczył mu urzędnik zapieczętowaną kopertę. Adres był napisany na maszynie. Inspektor położył list, nie otwierając go, na

dłoni detektywa.

— Powiedz mi pan, kto to pisał?

— Mały człowieczek z rudą brodą — odpowiedział Yale z uśmiechem. — Mówi przez nos i ma sklep. Nie jest to jednak psychometria — dodał zaraz — wiem bowiem, że list wysłał Johnson, zamieszkały przy Mildred Street.

Roześmiał się, widząc zdumienie inspektora i objaśnił, gdy zostali sami.

— Dowiedziałem się przypadkowo, że pan wymyszkował, gdzie przesyłane są listy, adresowane do Czerwonego Kręgu. Ja dawno już wiem o tym i czytuję każdą tego rodzaju wiadomość.

— A więc wiedział pan to przez cały czas? — spytał z naciskiem Parr.

Derrick Yale potwierdził.

— Wiedziałem, że listy skierowane do Czerwonego Kręgu zostają oddawane w tej małej firmie reklamowej i że je odnosi każdego wieczoru pewien wyrostek. Natomiast wyznaję z upokorzeniem, iż nie udało mi się zbadać, kto mu wypróżnia kieszenie.

— Wypróżnia kieszenie? — zdumiał się inspektor.

— Chłopiec — powiedział dumny z nowości Yale — ma rozkaz wkładać listy w kieszenie surduta i chodzić po bardzo ożywionej High Street. Podczas tej przechadzki ktoś mu zabiera listy, o czym on nawet nie wie.

Inspektor opadł ciężko na krzesło i jał trzecią podbródek.

— Pan jesteś wprost zdumiewający — powiedział.

— Od dawna podejrzewałem także, iż Talia Drummond jest w bliskich stosunkach z Czerwonym Kręgiem i wszystko mu donosi.

Parr zaprzeczył gestem głowy.

— Cóż pan zamierzasz teraz? — spytał.

— Nieraz mówiłem panu, że ona właśnie doprowadzi nas do tej bandy - ciągnął dalej detektyw spokojnie. — Przepowiednia moja ziści się niedługo. Minęło dwa miesiące, od kiedy przekonałem Johnsona, właściciela małego zakładu reklamy, że powinienem czytać listy doń skierowane. Jak każdy człowiek uczciwy popełnił zdradę zaufania, gdy mu wmówiłem, że służy w ten sposób sprawiedliwości. Powiedziałem mu zresztą, że jestem urzędnikiem policji, co pan raczy

łaskawie przebaczyć.

— Dawno już mam przekonanie — powiedział Parr — że pan powinieneś zostać wysokim dygnitarzem policji. Sądzi pan tedy, iż Talia Drummond jest współniczką Czerwonego Kręgu?

— Oczywiście, zatrzymam ją u siebie — odrzekł Yale — bowiem im bliżej ją mam, tym jest mniej niebezpieczna.

— Po co wyjeżdżał Froyant za granicę?

Yale wzruszył ramionami.

— Ma tam rozliczne interesy i pewnie mu się znowu coś trafiło. Posiada, o ile wiem, poza kapitałami jedną trzecią winnic szampańskich. Czerwony Krąg oszacował go zbyt nisko.

Obydwaj umilkli, a inspektor dumiał nad tym, po co Froyant jeździł aż do Tuluzy.

— Skąd pan wiesz, że jeździł do Tuluzy? — spytał z nagłą Yale.

Pytanie to, będące dalszym ciągiem myśli inspektora, porwało go na równe nogi.

— Na miły Bóg! — wykrzyknął. — Pan czyta ludzkie myśli!

— Czasem... — odparł Yale z uśmiechem. — Sądziłem jednak, że był tylko w Paryżu.

— Był w Tuluzie — oświadczył Parr, nadmieniając, skąd o tym wie.

Oszłomiło go to bardziej, niż wszystkie dotychczasowe dowody dziwnych zdolności detektywa.

Po chwili zadzwonił telefon.

— Czy to pan, inspektorze? — spytał Froyant. — Proszę przybyć do mnie niezwłocznie i zabrać ze sobą Yale'a. Mam nader ważne wiadomości.

Parr odłożył słuchawkę, zamyślony.

* * *

Talia zajęła się po kolacji cerowaniem pończoch, jednocześnie oddalając od siebie myśl o Jacku Beardmorze, co nie było rzeczą łatwą.

Nagle zapukano i posłaniec wręczył jej pudełko, wyglądające tak, jakby zeń wyjęto przed chwilą parę trzewików.

Otworzyła przesyłkę w sypialni.

— Zna pani — przeczytała tekst napisany drukowanymi literami — wejście do domu Froyanta przez sklepione podziemie aż do pracowni. Proszę tam poczekać z zawartością pudełka, aż dam dalsze zlecenia.

W pudełku była leworęczna rękawica szoferska, sięgająca jej do łokcia i sztylet o krągłej gardzie, ostry jak brzytwa.

Spróbowała porozumieć się telefonicznie, ale powiedziano jej, że niema nikogo.

Nie było dużo czasu. Włożyła przesłane przedmioty do torebki i wyszła.

W pół godziny potem przybyli do Froyanta Yale i Parr. Uderzyło obu, że cały dom był jaskrawo oświetlony, co stało w wielkiej sprzeczności ze skąpstwem gospodarza.

Froyant przyjął gości siedząc w fotelu, a mimo znużenia był rozpromieniony i zacierał ręce.

— Łaskawi panowie — powiedział. — Powiem wam coś zdumiewającego. W tej chwili zadzwoniłem do komisarza. W takiej sytuacji trzeba być całkiem zabezpieczonym.

Każdemu z panów może się w drodze powrotnej coś przydarzyć, przeto należy wtajemniczyć możliwie dużo ludzi. Rozbierzcie się, proszę, bo opowieść moja potrwa dość długo.

W tej chwili ozwał się telefon, a oni obserwowali twarz rozmawiającego Froyanta.

— Tak, pułkowniku! Mam ważną dla pana wiadomość. Zadzwońię za jakieś dwie minuty... dobrze ?

Odłożył słuchawkę niepewny, co czynić. Po chwili zaś powiedział gościom:

— Panowie, podczas mej rozmowy z pułkownikiem bądźcie łaskawi czekać w przyległym pokoju i zamknąć drzwi, nie chcę bowiem uprzedzać sensacji, jaką przygotowałem.

— Doskonale — powiedział Parr i wyszedł, a Yale zawahał się na moment.

— Czy to dotyczy Czerwonego Kręgu? — spytał.

— Powiem to panu potem. Zanim upłynie pięć minut, przeżyjecie obaj wstrząsającą sensację — powiedział Froyant.

— Dużo trzeba, by mną wstrząsnąć — zauważył

Derrick.

Wyszedł, ale w progu obrócił się, dodając:

— A potem ja ze swej strony opowiem coś o wspólnej naszej znajomej miss Drummond. Wiem, że ona sama pana, panie Froyant, niezbyt interesuje, to jednak co powiem, zaciekawia na pewno.

Parr spostrzegł, że się uśmiecha i usłyszał, że Froyant mruknął coś niepoehlebnego o Talii. Derrick zamknął powoli drzwi.

— Radbym wiedzieć, inspektorze, co to za sensacja i co ma Froyant do gadania z pańskim pułkownikiem.

Znaleźli się w salonie rzeświście oświetlonym.

— To coś niezwykłego, Steere — zwrócił się Yale do znanego sobie lokaja.

— Tak, sir, istotnie — odparł Steere. — Mister Froyant ma zwyczaj szzczędzić prądu.

Dziś jednak kazał zaświecić wszystkie lampy dla uniknięcia niebezpieczeństwa. Nie wiadomo, co to znaczy. Nie zdarzyło mi się to jeszcze w życiu. A także dziwi mnie wielce, iż ma w kieszeniach dwa nabite rewolwery. Zazwyczaj nie cierpi broni palnej.

— Skąd pan wie, że są to rewolwery? — spytał Parr.

— Sam je nabijałem — odrzekł służący. — Służyłem ongiś w kawalerii i znam się na broni. Jeden z tych rewolwerów jest nawet moją własnością.

Derrick Yale gwizdnał i spojrzał na inspektora.

— Zdaje się, że zna doskonale Czerwony Krag, a nawet oczekuje jego wizyty. Sądzę, że ma pan kilku ludzi pod ręką?

Parr potwierdził.

— Mam kilku detektywów na ulicy na wszelki wypadek.

Nie mogli słyszeć głosu Froyanta rozmawiającego przez telefon, gdyż dom był zbudowany solidnie i miał grube ściany.

Minęło pół godziny i Yale się zaniepokoił.

— Steere — powiedział, — proszę wejść do gabinetu i spytać, co mamy robić.

Stary służący potrząsnął głową.

— Nie wolno mi tego uczynić, sir. Może któryś z panów zajrzy. Nie wchodzę nigdy, zanim zadzwoni.

Parr uchylił drzwi. Lampy świeciły. W fotelu

siedział skulony dziwnie Froyant i inspektor domyślił się zaraz, że nie żyje.

Z lewej jego piersi sterczała mająca kształt talerza rękojeść noża, a na wąskim biurku leżała zakrwawiona rękawica szoferska.

Na okrzyk Parra wszedł Derrick Yale. Patrzyli obaj na zamordowanego, bladzi, bez słowa.

— Zwołaj pan moich ludzi — rzekł wreszcie Parr.

— Nie wolno nikomu opuścić domu. Niech lokaj zgromadzi wszystkich domowników w kuchni.

Rozejrzał się bacznie po gabinecie. Wielkie okna wychodzące na mały trawnik zasłonięte były ciężkimi portierami. Odsunął jedną i zobaczył grubą okiennicę.

W jakim sposobie zamordowano Harveya Froyanta?

Biurko stało naprzeciw kominka. Było bardzo wąskie i pochodziło z epoki jakobińskiej. Każdego innego jego wąskość raziłaby niezawodnie, ale Froyant był przywiązany do tego mebla.

Z której strony podszedł doń morderca? Może od tyłu? Nóż pchnięty został z góry w dół, co jednak wcale nie dowodziło, by napastnik mógł zbliżyć się bez szmeru. Cóż miała za znaczenie rękawiczka? Inspektor

obejrzał ją ostrożnie. Była to rękawiczka o długim manszecie, jakich zwykle używają szoferzy i dość już podniszczona.

Inspektor zwrócił się telefonicznie do komisarza. Jak było do przewidzenia, pułkownik czekał na dzwonek Froyanta.

— Nie wezwał pana?

— Nie.

Parr opowiedział co zaszło i wysłuchał bez wrażenia wybuchu wściekłości przełożonego, potem udał się do przedsionka, gdzie czekali już zebrani funkcjonariusze policji.

— Muszę przetrząsnąć każdy pokój z osobna — powiedział.

W pół godziny potem wrócił do czekającego nań Derricka.

— I co? — spytał zaciekawiony detektyw.

Parr potrząsnął głową.

— Nic. Nie było tu nikogo obcego. W jaki więc sposób dostał się morderca. W przedsionku był ciągle ktoś z wyjątkiem chwili, gdy stary Steere przyszedł do salonu.

— Muszą istnieć w posadzce drzwi tajemne — zauważył Yale.

— Skąd by się wzięły drzwi tajemne w podłodze gmachu najbogatszej dzielnicy Londynu? — rzekł Parr wzgardliwie.

Ale przeprowadzone badanie dało wynik zadziwiający.

Podniósłszy skraj dywanu, ujrzeli małą zapadnię, a służący objaśnił, że w czasie wojny, wobec częstych rajdów aeroplanowych, Froyant kazał sobie wybudować w piwnicy z winem bezpieczną od bomb kryjówkę. Wiodły do niej drzwi zapadnie i schody wprost z gabinetu.

Parr zszedł z płonąca świecą i znalazł się w małej wybetonowanej celce opatrzonej zamkniętymi drzwiami. W kieszeniach Froyanta znaleziono klucze do tych drzwi i do drugich jeszcze, z grubej stali, wiodących na zewnątrz.

Ten dom i sąsiedni miały wspólny pas trawnika.

— Bardzo łatwo dostać się tędy z ulicy i pewny jestem, że morderca użył tego właśnie przejścia.

Oświecił podłogę lampką ręczną i przykląkł zaraz.

— Mamy oto całkiem świeży ślad — powiedział.

— I to ślad kobiecego trzewika.

Parr patrzył z góry.

— Rzeczywiście, jest całkiem świeży — przyznał.

Potem cofnął się.

— Boże! — jęknął. — Cóż za szatański plan!

Nasunęło mu się przypuszczenie, że może to być ślad trzewika Talii Drummond.

Talia odpowiada na kilka pytań

Derrick Yale siedział z głową opartą na dłoni, czytając i odrzucając mnóstwo dzienników, jeden po drugim.

— W oczach policji — czytał. — Bezsilność prezydium policji. — Potrząsnął głową. — Nic dobrego nie ma prasa do powiedzenia o biednym naszym inspektorze. A przecież nie mógł zapobiec zbrodni, równie dobrze jak na przykład pani, miss Drummond.

Wyglądała tego dnia niezbyt dobrze, oczy były podkrążone, a cała postać dawała wrażenie wyczerpania i znużenia, co kontrastowało ze zwyczajną rzeźkością.

— W takim interesie trzeba być przygotowanym zawsze na kilka kulaków — odparła chłodno. — Policja nie może dokonać wszystkiego.

Spojrzał na nią z zacięciem.

— Jest pani, widzę, wielbicieleką policji? — rzekł

powoli.

— Nie bardzo — powiedziała, kładąc przed nim stos listów. — Nie mam zamiaru wystawiać prezydium policji świadectwa niezwykłego uzdolnienia.

Zaśmiał się spokojnie.

— Dziwna z pani osoba — powiedział. — Czasem mam wrażenie, że pani jest niezdolna do współczucia. Wszakże dawniej była pani zatrudniona u Froyanta?

— Tak — rzekła krótko.

— Mieszkała pani dość długo w jego domu.

— Tak — potwierdziła, wytrzymując jego spojrzenie.

— Zapewne wiadomo pani było, że istnieją drzwi w podłodze gabinetu i schody do piwnicy? — rzucił niedbale.

— Oczywiście wiedziałam o tym. Biedny mister Froyant nie krył się wcale z brakiem odwagi. Nieraz mi mówił, ile to „kosztowało” — dodała z uśmiechem.

Yale spytał po chwili:

— Gdzie były zazwyczaj klucze od tego podziemnego schowka?

— W jego biurku — odrzekła. — Widzę że mnie

pan podejrzewa o to morderstwo, mister Yale?

Roześmiał się.

— Nie podejrzewam wcale, tylko pytam pewny, że jako mieszkanka domu wie pani niejedno, co mnie interesuje. Radbym na przykład wiedzieć, czy te drzwi zapadnie można podnieść bez wywołania szmeru.

— Tak jest — odparła stanowczo. — Obracają się na precyzyjnych łożyskach kulkowych. Czy mam odpowiedzieć na te listy?

Odsunął stos korespondencji

— Jak spędziła pani, miss Talio, wczorajszy wieczór?

— Byłam w domu — odparła, a jej ramiona cofnęły się wstecz, co wywołało pewne zeszywnienie, które zauważył.

— Przez cały wieczór?

Nie odpowiedziała.

— Wszak o pół do dziewiątej wyszłaś pani, niosąc torebkę ręczną?

Znowu milczała.

— Jeden z moich ludzi widział panią przelotnie, a potem stracił z oczu. Gdzie spędziła pani ten czas aż do

jedenastej mniej więcej, kiedy nastąpił powrót do domu?

— Spacerowałam — rzekła chłodno. — Jeśli ma pan pod ręką plan Londynu, wskażę odbytą drogę.

— Przypuśćmy, że śledzono panią..

Przymknęła oczy.

— W takim razie zbyteczne jest mi mówić o tym.

— Posłuchaj mnie pani — powiedział przez biurko.

— Mam pewność zupełną, że w głębi serca nie jesteś morderczynią. Straszne to słowo. . nieprawdaż? Ale wieczór wczorajszy budzi pewne wątpliwości, których nie opowiedziałem jeszcze Parrowi.

— Podejrzenie, to mój chleb codzienny — odrzekła. — Ponieważ zaś wiesz pan już tyle, nie mam potrzeby opowiadać reszty.

Patrzył na nią przez chwilę, ona zaś nie mrugnęła nawet okiem. Potem Yale wzruszył ramionami i rzekł:

— Zresztą rzecz obojętna, gdzie pani była wczoraj.

— Zupełna racja — odparła urągliwie, wracając do swojej maszyny.

Dziwna osoba — pomyślał.

Kobiety nie interesowały go zazwyczaj, ale Talia

Drummond stanowiła wyjątek. Nie wrażliwy zgoła na jej piękność, wiedział że tak jest, podobnie jak wiedział, że drzwi jego pokoju są brunatne, a znaczek za jednego pensa ma kolor czerwony.

Zagłębił się ponownie w gazety, stwierdzające niemoc policji, gdy nadszedł Parr. Był ożywiony i padł we fotel.

— Komisarz prosił, bym się podał do dymisji — rzekł dziwnie wesoło. — Doskonale! Chciałem to uczynić jeszcze przed trzema laty, gdy zmarły brat zostawił mi wcale pokaźny mająteczek.

Po raz pierwszy Yale się dowiedział, że inspektor jest człowiekiem względnie zamożnym.

— Cóż pan uczyni? — spytał.

— Oczywiście spełnię życzenie władzy. Ale ustąpię ze służby dopiero z końcem przyszłego miesiąca, by chronić pana wedle możliwości.

— Mnie? — spytał Yale zdumiony. — Ach, ma pan na myśli tę głupią pogroźkę? Hm... zostaje mi tedy tylko dwa czy trzy dni życia — zaśmiał się ironicznie, spoglądając na kalendarz. — Niedługo pan będzie tedy czekał. Ale mówiąc serio, po co podawać o dymisję.

Może bym ja powiedział coś komisarzowi...

— Nie zwróci na to większej uwagi jak na ziarno bobu — odparł Inspektor. — Zresztą nie odbiera mi sprawy Czerwonego Kręgu aż do odejścia, a panu to właśnie zawdzięczam.

— Jak to mnie?

— Wyjaśniłem mu, że życie pańskie jest nader cenne dla całego państwa i że muszę go strzec, aż poza złowrogą datę.

W tej chwili weszła Talia Drummond ze stosem listów, a inspektor spojrział na nią bacznie.

— Czytałam dziś dużo o panu — rzekła chłodno. — Istotnie staje się pan wielce popularną osobistością komiczną.

— Ach! Czegóż człowiek nie robi dla miłej reklamy — odparł bez gniewu. — Ja zaś przeciwnie, dawno już nie znajduję w dziennikach pani nazwiska.

Ta wzmianka o rozprawę policyjnej widocznie ją rozradowała.

— Przyjdzie czas, że i ja stanę się osobą znaną — rzekła. — Jakież są najświeższe wiadomości o Czerwonym Kręgu?

— Najnowsza wiadomość — odparł spokojnie — jest, że cała korespondencja, wysyłana dotąd na Mildred Street, będzie teraz miała inny adres.

Zauważył błyskawiczną zmianę w jej twarzy i bardzo go to zadowoliło.

— Czy Czerwony Krag otwiera biura w śródmieściu? — spytała, opanowując się prędko. — Rzecz zupełnie zrozumiała. Wszakże panowie ci robią, co tylko chcą. Możliwe jest tedy, że najmą wielki lokal i urządzą na dachu reklamę świetlną.. — zresztą nie, tego chyba nie uczynią, gdyż reklamę świetlną dostrzegłaby nawet policja.

— Sarkazm u młodej damy jest nie tylko rzeczą niewłaściwą, ale także niemoralną.

Yale przysłuchiwał się tej sprzeczce z uśmiechem. Tym razem dziwił się nie tylko Tali ale także Parrowi. Ten grubas zdobywał się chwilami na wielką złośliwość.

— Gdzie pani była wczoraj wieczór, miss Drummond? — spytał inspektor spoglądając na podłogę.

— W łóżku... śniłam rozkosznie.

— Przez sen tedy spacerowała pani około pół do

dziesiątej pod domem Froyanta?

— A, oto panu idzie? Zapewne znalazły się tam odciski moich misternych nóżek.

Mister Yale nadmienił mi już coś w tym guście. Tak, tak, spacerowałam istotnie. Samotność działa tak kojąco.

Parr nie odrywał oczu od dywanu.

— Łaskawa pani — rzekł — następnym razem zechciej pani trzymać się w pewnej odległości od Jacka Beardmore'a. Ostatnio przestraszył się wielce, spostrzegłszy panią za sobą. Trafił w samo sedno. Zaczerwieniła się, ściągnęła brwi i odparła:

— Pan Beardmore nie jest tak bardzo płochliwy, a zresztą... zresztą...

Obróciła się porywczo i wyszła. Gdy inspektor w kilka minut później przechodził przez jej biuro, spojrzała nań z niechęcią.

— Chwilami nienawidzę pana, inspektorze — rzekła gniewnie.

— Zdziwiał mnie pani — odrzekł mimochodem.

Wycieczka na wieś

Ciężkie nastały czasy dla prezydium policji. Dzienniki zamieszczały całe szpalty o ostatniej tragedii, w parlamencie jawiły się ciągle interpelacje, odbywano ciągle tajemne konferencje, a znajomi stronili od nieszczęsnego Parra.

Każde niemal pismo drukowało długą listę zbrodni Czerwonego Kręgu, czyniąc ostre uwagi i podkreślając złośliwie, że inspektor Parr miał wszystko w swym ręku od samego początku działalności bandy.

Wziął on urlop celem poszukiwań we Francji, a w ciągu kilkudniowej zaledwie nieobecności naznaczono mu następcę. Miał w całym prezydium jednego tylko przyjaciela, a był nim, niewiadomo dlaczego, właśnie pułkownik Morton, komisarz prowadzący jego wydział.

Trzymał stale stronę Parra, wiedząc, że jest to nadaremne, a pomagał mu w tym Derrick Yale, który zjawiał się w urzędzie i złożył bardzo szczegółowe zeznanie odciążające.

— Sam fakt — podkreślił z naciskiem — że byłem na miejscu i miałem za zadanie chronić Froyanta zdejmując znaczną część odpowiedzialności z inspektora Parra.

Komisarz rozparł się w fotelu, skrzyżował ramiona i rzekł:

— Panie Yale, nie chcę pana dotknąć, ale zauważyć muszę, że urzędowo nie istniejesz dla mnie wcale, toteż to wszystko, co pan mówisz na korzyść inspektora, nic a nic mu nie pomoże. Miał wielkie pole do okazania swych zdolności i... zawiódł, niestety.

Gdy Yale zabierał się do odejścia, skinął nań, a detektyw zajął z powrotem krzesło.

— Radbym zasięgnąć zdania pańskiego w jednej sprawie. Pewnie pamięta pan marynarza Sibly'ego, mordercę Beardmora? Kto był obecny w celi, gdy pan przesłuchiwał tego człowieka?

— Ja sam, inspektor Parr i oficjalny stenograf.

— Mężczyzna czy kobieta?

— Mężczyzna. A nawet, zdaje mi się, funkcjonariusz panów. Poza tym nie było nikogo. Kilka razy wchodził co prawda dozorca, który przyniósł

wodę, w której potem odkryto truciznę.

Komisarz otworzył tekę i wziął z niej arkusz papieru.

— Tutaj oto jest zeznanie dozorca. Pomijam wstęp. — Wsadził okulary i jął czytać.

— Więzień siedział na łóżku, pan inspektor Parr naprzeciw niego, a mister Yale stał, oparty plecami o drzwi, które nie były zamknięte. Natoczyłem z wodociągu pół kubka blaszanego, zmuszony przerwać, gdyż zadzwoniono na mnie z innej celi. O ile wiem, nic się z tym kubkiem stać nie mogło, mimo że drzwi na podwórze były otwarte. Gdym wrócił do celi Sibły'ego z wodą, pan inspektor Parr wziął mi kubek z ręki, postawił go na paczce w pobliżu drzwi i rozkazał, bym już nie wchodził bez zawołania.

Skończywszy zauważył:

— W całym tym zeznaniu nie ma wzmianki o stenografie. Czy pan jest pewny tego człowieka

— Wiem prawie na pewno, że jest to funkcjonariusz prezydium.

— Muszę zapytać Parra — oświadczył Morton.

Parr, który właśnie wrócił z Francji, przyznał telefonicznie, że przyjął po zasięgnięciu informacji

stenografą, który pochodzi z małego miasteczka. Wśród zamętu, wywołanego otruciem więźnia, nie śledził dalej tego człowieka. Otrzymał pisane na maszynie zeznanie Sibly'ego i pamięta, że stenografowi za pracę sam zapłacił. Tyle tylko dowiedział się komisarz, a wiadomości jego nie zostały wcale wzbogacone.

Derrick Yale poznał z samej miny komisarza, że nic nie uzyskał.

— Czy pan może pamięta tego człowieka? — spytał.

Yale potrząsnął głową.

Siedział przez cały czas obok Parra, zwrócony do mnie plecami.

Komisarz mruknął coś na temat karygodnego niedbalstwa, potem zaś oświadczył:

— Nie dziwiłoby mnie wcale, gdyby ów stenograf był agentem bandy. Nie mogę darować Parrowi niedbalstwa. Jakże angażować człowieka, którego personalia stwierdzić się potem nie dają? O, tak, Parr zawiódł zupełnie — westchnął. — Osobiście bardzo go lubię, jest to dzielny urzędnik starszej szkoły i

sprawował się dobrze, mimo niezbyt wielkich zdolności. Ale teraz koniec.. musi odejść. Mówię to panu, co już dałem do poznania inspektorowi. Przykro mi bardzo, ale tak się stanie.

Yale wiedział to doskonale, na równi z wszystkimi funkcjonariuszami prezydium.

Najmniejsze wrażenie odniósł sam Parr. Pełnił dalej skrupulatnie obowiązki swoje, niebacznym na rychłą, wielką zmianę, a powitał wprost wesoło, następcę swego, który przybył obejrzyć biuro.

Pewnego dnia napotkał w parku Jacka, którego zdumiało rozradowanie grubaska.

— No cóż, inspektorze? — spytał. — Czy zbliżamy się do rozwiązania?

Skinął głową.

— O tak, coraz bliżej mego rozwiązania. Odchodzę.

— Niemożliwe! — wykrzyknął Jack, który po raz pierwszy dopiero otrzymał wiadomość realną. — Wszakże ma pan wszystkie nici w ręku? Jakim sposobem odmawiasz pan usług w takiej właśnie chwili? Chyba nie ma już zgola nadziei schwytania

zbrodniarza?

Parrowi przyszło na myśl, że tylko prezydium straciło tę nadzieję, ale zmilczał.

Jack miał zamiar jechać do swej posiadłości wiejskiej, gdzie nie był od śmierci ojca.

Było to potrzebne dla zmiany niektórych kontraktów z dzierżawcami pól. Nie mogąc sprawy załatwić w mieście, umyślił spędzić jedną noc w domu, który oprócz tragedii ojca krył inne, także przykre, wspomnienia.

— Jedzie pan tedy i to sam? — spytał inspektor w zadumie.

— Tak — odparł, zaraz atoli, chwytając w lot myśli Parra, dorzucił: — A może pan pojechać raczy ze mną? Bardzo bym rad, mieć pana u siebie, o ile ten przekłety Czerwony Krąg nie zmusza do pobytu w stolicy.

— Zdaje mi się, że oni sobie dadzą radę beze mnie — zauważył z goryczą. — Dobrze by było jechać z panem. Nie byłem w tym domu od śmierci biednego ojca pańskiego i radbym raz jeszcze obejrzeć wszystko starannie.

Przedłużył o dwa dni swój urlop, na co dostał łatwo przyzwolenie ze strony prezydium.

Jack chciał jechać tegoż jeszcze wieczoru, przeto inspektor wrócił do domu, spakował podręczną torbę i spotkali się na dworcu.

Ani pogoda, ani stan dróg nie zachęcały do dłuższej jazdy autem, toteż obrali tę wygodniejszą lokomocję.

Komisarz zostawił dla Derricka Yale'a zawiadomienie o miejscu swego pobytu, zakończone takimi słowy:

Może zajść coś, co będzie wymagało mego powrotu do miasta. W takim razie racz pan donieść mi o tym niezwłocznie.

Dalsza działalność inspektora nie była wcale dziwna, jeśli uwzględnimy przytoczony dopisek.

Plakaty

Inspektor nie był bardzo miłym towarzyszem podróży. Przeglądał troskliwie stos dzienników, szukając wzmianek o Czerwonym Kręgu, a Jack, który widział co czyta, zdumiewał się wielce, że może go interesować mnóstwo arcyniepochlebnych wzmianek pod jego adresem. Powiedział mu to wprost.

— Nigdy krytyka nie zaszkodziła jeszcze nikomu — odparł. — Tylko świadomość, że się nie ma racji, może przeszkadzać. Ja wiem, że rację mam, przeto wszyscy mogą sobie gadać, co im się podoba.

— A więc ma pan rację? — spytał zaciekawiony Jack.

Ale inspektor nie chciał dać na to odpowiedzi.

Wysiedli na małej stacyjce i dojechali powozem do posiadłości.

Zaraz w progu podał inspektorowi zaufany służący Jacka zamknięty telegram.

— Jak długo tu leżał?

— Poślaniec na rowerze przywiózł go przed pięciu minutami ze wsi.

Inspektor rozerwał kopertę i przeczytał depeszę, podpisaną nazwiskiem Derricka Yale'a.

Wracać natychmiast, ważne nowości.

Podał Jacków depeszę bez słowa.

— Musi pan oczywiście jechać. Niestety aż do dziewiątej niema pociągu.

Jack był niemile dotknięty utraceniem towarzysza.

— Nie pojedę — rzekł Parr spokojnie. — Nikt na świecie nie zmusi mnie, bym ponownie odbył dzisiaj jazdę koleją. Niech zaczekają.

Takie postępowanie, wobec nagłego wezwania nie licowało z charakterem inspektora. Jack uczył rozczarowanie, chociaż jednocześnie rad był, że nie spędzi sam pierwszej nocy w niesamowitym dlań teraz domu.

Parr obejrzał raz jeszcze telegram.

— Nadano go w niespełna pół godziny po naszym odjeździe! — zauważył. — Chyba ma pan telefon?

Jack potwierdził, a inspektor zgłosił zaraz rozmowę zamiejscową. Dopiero po kwadransie dano sygnał dokonanego połączenia.

Jack słyszał głos inspektora z przedsionka i zaraz potem tenże wrócił.

— Telegram, jak to przeczulem, został sfalszowany. Mówiłem z Yale'em.

— A więc pan to odgadł.

Inspektor potwierdził.

— Czasem odgaduję różności, jak nasz cudotwory przyjaciel.

Wieczór spędził na uczeniu młodzieńca kunsztu gry w pikiet, w czym był mistrzem.

Pikiet jest istotnie najbardziej zajmującą grą dla dwu osób. Toteż Jack zdumiał się wielce, spojrzawszy na zegarek.

Inspektor dostał na noc pokój nieboszczyka Beardmore'a, wielki, bardzo wysoki, o trzech oknach, oświetlony, jak cały dom, acetylenem.

— A gdzie pan śpi? — spytał w chwili rozstania z gospodarzem.

— Tuż obok — odparł Jack, i rozeszli się.

Inspektor zamknął się na klucz i usłyszał, że to samo czyni młodzieniec. Potem zdjął część ubrania, dobył z wytartej torby stary jedwabny szlafrok, pogasił światła i podciągnął w górę żaluzje wszystkich trzech okien.

Noc była dość jasna, tak że trafił do łóżka i naciągnął na siebie puchową kołdrę.

Drzemał przez chwilę, ale zaraz po północy wstał, uchylił okna i wyjrzał.

Wśród ciszy nocnej doleciało go lekkie brzęczenie idącego normalnie motoru automobilowego. Po chwili ucichło. Podeszedłszy do umywalni, przetarł twarz zimną wodą, potem wrócił do okna i usiadł na krześle w ten sposób, że widział całą drogę aż do bramy wjazdowej.

Przeczekawszy około pół godziny, ujrzał ciemną postać, wyłaniającą się z gęstwy drzew. Trwało to moment tylko, po czym postać wsiąkła w cień, padający od domu.

Inspektor wyszedł cicho z pokoju i zstąpił ze schodów. Brama była zamknięta i upłynęła chwila, zanim znalazł i poodsuwał rygle. Wyszedszy, nie znalazł nikogo. Obszedł ostrożnie dom wokół, nie odkrywwszy

nigdzie przybysza. W chwili, gdy dotarł z powrotem pod bramę, zabręczętało auto. Nocny gość odjechał.

Zamknął i zaryglował bramę, potem zaś wrócił do swego pokoju. Dziwiła go nieznana osobistość, pewny był jednak, że przybysz nie widział go i nie spostrzegł, że był obserwowany.

Rano, gdy zszedł na śniadanie, wiedziano już o tych odwiedzinach.

Jack stał przy kominku z pogniecionym papierem w rękę, a inspektor domyślił się niezwłocznie, że jest sprawna Czerwonego Kręgu.

— Co pan na to? — powiedział Jack, podając mu kartkę. — Sześć takich ogłoszeń znaleziono na drzewach parku, a jedno pod moim oknem.

Inspektor przeczytał.

Dług ojca pańskiego nie został dotąd wyrównany. Możesz go pan nie płacić, o ile zdołasz nakłonić przyjaciół swych, inspektora Parra oraz Derricka Yale'a, by zaprzestali swej działalności.

Pod spodem widniał dopisek mniejszymi literami:

Nie będziemy już stawiać żądań osobom prywatnym.

— Więc to on pozawieszał ogłoszenia — zauważył Parr w zadumie. — Dziwiłem się, dlaczego odjechał tak szybko.

— Widział go pan?

— Przelotnie tylko. Spodziewałem się go zresztą, sądząc jednak, że wyniknie z tego coś więcej.

Milczał przez cały ciąg śniadania, odpowiadając tylko bardzo oschle na pytania Jacka.

Gdy wyszli potem do ogrodu, spytał znienacka:

— Czy on wie o pańskiej sympatii dla Talii Drummond?

Jack poczerwieniał.

— Z jakiegoż powodu pan pyta? — powiedział z zakłopotaniem. — Czy zachodzi obawa zemsty na niej z jego strony?

— Nie zawahałby się na chwilę, gdyby mu to było potrzebne — oświadczył, zwracając ku domowi. — Dość mi tego.

— Myślałem, że zechcesz pan przejrzeć całą drogę, jaką Marl przeszedł owego ranka?

Parr wstrząsnął głowę.

— Nie — powiedział. — Chciałem tylko stwierdzić, w jaki sposób zbliżył się do domu. Czy możesz mi pan pokazać miejsce, gdzie doznał tak wielkiego przestrawu?

— Oczywiście — zgodził się ze zdziwieniem. — Było to nieco bliżej. Pamiętam, że uskoczywszy, nastąpił na młody pęd róży, łamiąc go. W tym miejscu zasadził ogrodnik drzewko.

Parr skinął kilka razy głową.

— To bardzo ważne — powiedział, oglądając starannie to miejsce. — Byłem z góry pewny, że skłamał I — dodał cicho: — Nie widać stąd wcale tarasu, a Marl powiedział mi, że ujrzał ojca pańskiego na tarasie w chwili, kiedy dostał napadu sercowego. W pierwszej chwili sądziłem, że ten właśnie widok spowodował zasłabnięcie.

Opowiedział szczegółowo swą ostatnią rozmowę z Marłem.

— Tę rzecz ja mogłem sprostować — oświadczył

Jack. — Ojciec spędził cały ranek w bibliotece i wyszedł dopiero, gdyśmy stanęli w przedsionku.

Parr sporządził pobieżny szkic sytuacyjny.

— Wszędzie tu dużo krzewów — rzekł Jack. — Ojciec je lubił z powodu, że dają cień i nieraz spędzał pośród nich długie godziny.

Parr rozglądał się długo, w końcu zaś oświadczył:

— Obejrzałem już, zdaje się, wszystko co trzeba.

Gdy byli pod domem, wspomniał o nocnym gościu i rzekł:

— To był jedyny krok fałszywy Czerwonego Kręgu. Pewny jestem, że go uczyniono pod wrażeniem chwili, bez wielkiej rozwagi.

Siadł na stopniach tarasu, spoglądając w dal. Jack zauważył, że niedobrze wygląda w tym romantycznym środowisku ów człowiek gruby, czerwony, spokojny, zupełnie niepodobny do typu wybitnych kryminologów.

— Już wiem — powiedział Parr. — Pierwsza moja idea była słuszna. Przybył, by wymusić pieniądze, których ojciec nie chciał zapłacić. Ale w drodze przyszedł mu pomysł, zawarty w dopisku. Zdecydował się na jakąś rzecz w wielkim stylu. Chce po prostu

wyłączyć mnie i Yale'a ze sprawy, chociaż wie dobrze, iż to jest niemożliwe. Pokaż mi pan, proszę, ogłoszenie.

Rozpostarł na kamiennym stopniu przyniesiony przez Jacka papier.

— Tak — przytaknął sobie samemu. — To było pisane w pośpiechu, zapewne w aucie, zamiast zawiadomienia pierwotnego, jakie przywiózł ze sobą. Jakież to nowy plan?

Miał się o tym zaraz dowiedzieć, gdy nadbiegły spiesznie służący zawiadomił, że telefon w bibliotece dzwoni natarczywie, od pięciu już minut.

— Proszę pana — rzekł Jack, podając inspektorowi słuchawkę.

Mister Parr poznał niezwłocznie głos pułkownika Mortona.

— Wracaj pan natychmiast! Dziś popołudniu weźmie pan udział w nadzwyczajnym posiedzeniu rządu.

— Co się stało? — spytał Jack.

— Wchodzę do rządu — odrzekł, śmiejąc się, jak nigdy dotąd jeszcze.

Próba wymuszenia na rządzie

Gdy przybyli do Londynu, wszystkie dzienniki podawały niezwykle nowinę.

Czerwony Krąg uczynił istotnie stanowczy krok.

Krótki komunikat przesłany prasie brzmiał następująco:

Dziś rano otrzymali wszyscy ministrowie dokument pisany na maszynie, bez adresu i oznaczenia, od kogo pochodzi, poza czerwonym kółkiem wybitym u góry: Każdy wysiłek oficjalnej czy prywatnej policji, zarówno geniusz mister. Derricka Yale'a jak i niesłuchanie gorliwe i sumienne badania starszego inspektora mister Parra pozostały bez rezultatu i nic nie zdołało zatamować naszej działalności. Istotna historia naszego powodzenia jest zupełną tajemnicą. Bardzo przykrym obowiązkiem naszym było usunięcie z drogi pewnej liczby osób, a stało się to nie tyle przez zemstę ile dla zbawiennego ostrzeżenia innych. Jeszcze dziś rano

musieliśmy, niestety, unieszkodliwić adwokata mister Samuela Hegitta, który pracując dla mister Froyanta, zbliżył się zanadto do osoby naszej.

Uczył to osobiście i dlatego nie jego firma, ale on sam został ukarany. Zwłoki znaleźć można obok toru kolejowego pomiędzy stacjami Brixton a Marsden.

Policja nie jest w stanie przeszkodzić nam i uznała Czerwony Krąg za wielkie niebezpieczeństwo społeczne. Godząc się w pełni z tą opinią władzy, objawiamy zamiar zaprzestania naszej akcji pod warunkiem, że Wysoki Rząd wyasygnuje 1.000.000 funtów, która to gotówka zostanie przez nas podjęta w sposób, jaki w swoim czasie określimy.

Jednocześnie Wysoki Rząd ogłosi amnestię ogólną dla całej naszej organizacji, tak byśmy się mogli w razie stwierdzenia identyczności naszych osób skutecznie powołać na ten dokument urzędowy.

Nie zastosowanie się do naszych żądań pociągnie fatalne skutki. W zakończeniu niniejszego pisma wymieniamy dwunastu członków gabinetu, których bierzemy za zakładników i jeśli do końca bieżącego tygodnia Wysoki Rząd nie poweźmie prawomocnej

uchwały, pierwszy z tych zakładników zostanie usunięty.

Pierwszą osobą, którą Parr spotkał po przybyciu do White Hall, był Derrick Yale, zatroskany jak nigdy dotąd.

— Obawiałem się czegoś w tym rodzaju — powiedział. — Dziwne, że zwrot nastąpił właśnie w chwili, kiedy miałem położyć rękę na głównym zdawało się sprawcy.

Ujawszy dłoń inspektora, jął z nim spacerować po ciemnym korytarzu.

— Przepadło rybołówstwo moje... — dodał, a Parr przypomniał sobie:

— Oczywiście. Dziś jest dzień pańskiej śmierci, sądzę jednak, że obejmuje pana amnestia ogólna Czerwonego Kręgu.

Yale roześmiał się i rzekł:

— Zanim pójdziemy na to posiedzenie, radbym byś pan wiedział, że jestem bez żadnych zastrzeżeń na pańskie usługi. Cały gabinet życzy sobie, bym otrzymał stanowisko urzędowe i wziął sprawę w rękę.

Odmówiłem stanowczo, oświadczając, że pan jesteś osobą najodpowiedniejszą i że jeśli mam pracować, to tylko pod pańskim zwierzchnictwem.

— Dziękuję serdecznie — rzekł inspektor. — Ale może gabinet będzie miał inne zapatrywanie?

Posiedzenie gabinetu odbywało się w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Naprzód przybyli członkowie rządu, a potem, dopiero wezwano innych uczestników.

Yale zabawił w sali kwadrans, po czym wpuszczono Parra.

Inspektor znał wszystkich niemal członków świetnego grona, ale nie miał dla żadnego specjalnej sympatii, czując doskonale nastrój wrogi, a ledwo dostrzegalne skinienie głowy siwobrodego premiera wzmogło jeszcze to wrażenie.

— Mister Parr — ozwał się dostojnik lodowato — omawiamy sprawę tak zwanego Czerwonego Kręgu, która stała się niemal narodowym problemem. Niebezpieczny charakter tej organizacji stwierdzony został świeżo przez pogrózkę, wystosowaną do członków rządu.

Musiał pan to czytać pewnie w dziennikach?

— Tak jest, sir — odrzekł inspektor.

— Nie ukrywamy wszyscy niezadowolenia z powodu działalności pańskiej w tej sprawie. Wszakże mając takie pełnomocnictwa... — tu spojrzął na leżący przed nim papier.

— Sir — przerwał inspektor stanowczo — nie chciałbym, by to czcigodne zebranie знаło moje pełnomocnictwa, a także specjalne przywileje udzielone mi przez pana ministra spraw wewnętrznych.

Premier zdumiał się.

— Dobrze — powiedział. — Dodam tylko, że mimo takiej władzy i mimo, że kilka razy byłeś pan niemal świadkiem zbrodni, nie zdołałeś pan oddać sprawcy w ręce sądu.

Inspektor potwierdził skinieniem.

— Umyśliliśmy zgodnie oddać rzecz w ręce mister Derricka Yale'a, który dwóch morderców zdołał wysledzić, chociaż głównego sprawcy także nie oddał w ręce sprawiedliwości. Ale mister Yale nie godzi się pracować, o ile pan nie zatrzymasz kierownictwa sprawy. Na to zgodziliśmy się wszyscy. Zgłosiłeś pan dymisję i została formalnie udzielona, ale należy się z

tym wstrzymać. Pomyśl pan, panie inspektorze — ciągnął premier z naciskiem — iż nie wolno nam pod żadnym warunkiem zgodzić się na żądanie Czerwonego Kręgu. Równałoby się to przecież zniweczeniu wszelkiego prawa i zupełnej utracie całego autorytetu państwa. Ufamy panu, że zdołasz uchronić każdego z zagrożonych na życiu członków gabinetu, do czego jako obywatele mają prawo. Wspomnij pan, że cała zasługa i kariera pańska od tego zawisła.

Pożegnany w ten sposób inspektor powstał z wolna i rzekł:

— O ile Czerwony Krag dotrzyma słowa, gwarantuję zupełną nietykalność wszystkich członków gabinetu. Czy zdołam jednak pochwycić człowieka zwałęgo się Czerwonym Kręgiem, za to ręczyć nie mogę.

— Czy istotnie został zamordowany ten nieszczęsny Heggitt? — spytał premier.

— Tak jest, sir — odparł Yale. — Zwłoki jego znaleziono dziś rano. Mieszkał w Marsden, dokąd wczoraj wyjechał pociągiem. Zbrodni dokonano w drodze.

— Straszne to, straszne! — potrzęsnał premier głową, — Orgia mordów, wymuszeń, a niewiedomo, jak to długo potrwa.

Gdy wyszli z White Hallu, otoczył ich tłum ludzi, którzy zbiegli się na wieść o nadzwyczajnej sesji gabinetu. Yale był witany okrzykami uznania, na Parra zaś nie spojrział nikt, z czego zresztą inspektor był zadowolony.

Czerwony Krag stał się sensacją dnia, niektóre pisma wyszły zaopatrzone w ten tajemniczy znak, a ogólnie twierdzono, że szatańska banda zdolna jest wykonać swoją zuchwałą pogroźkę.

Yale zastał swą sekretarkę nad stosem gazet, które czytała wiersz za wierszem z wielką uwagą. Z pewnym zakłopotaniem odłożyła dziennik na jego widok.

— Miss Drummond, co pani powie o tym ostatnim wystąpieniu?

— Jest niesłychane! Podziw budzi!

Spojrzał na nią z powagą.

— Nie wiem, co tu może budzić podziw? Ma pani szczególny pogląd na rzeczy.

Nie odrzekła nic i wstała, by pójść do swej

maszyny.

— Szczęściem dla pani — dodał — mister Johnson przy Mildred Street nie otrzymuje już jej interesujących zawiadomień.

Nie rzekła słowa.

Po chwili zajrzał do niej.

— Zdaje się, otworzę biuro w prezydium policji — powiedział — ponieważ jednak atmosfera ta nie sprzyjałaby pani, przeto zostawię panią tutaj dla załatwiania normalnych spraw bieżących.

— Czy podjąłeś pan odpowiedzialność za schwytanie Czerwonego Kręgu? — spytała chłodno.

— Nie. Inspektor Parr zatrzymuje nadal kierownictwo, a ja będę pracował pod jego rozkazami.

Zajął się korespondencją, potem wyszedł na lunch, w końcu dawszy informacje co do listów, jakie należało wysłać, zawiadomił, że już nie wróci do biura.

Zaraz po jego odejściu zadzwonił telefon i poznała zaraz, kto mówi.

— Tak, to ja, panie Beardmore. Dzień dobry.

— Czy jest Yale?

— Wyszedł, mówiąc, że już dziś nie wróci. Ale

jeśli coś ważnego, poszukam go — powiedziała, siląc się na spokojny ton.

— Sam nie wiem. Przeglądając papiery ojca, natrafiłem na sporą paczkę informacji o Marlu.

— O Marlu?

— Tak jest. Biedny ojciec mój wiedział o nim znacznie więcej, niż chciał mówić. Francuskie biuro informacyjne stwierdziło, że był to człowiek zły, siedział nawet w więzieniu i dziwi mnie, iż ojciec miał z nim interesy. W papierach jest też zapieczętowana przez to biuro koperta z napisem: „Fotografia świętego”. Ojciec nie otworzył jej, gdyż mierzyły go takie okropności.

— Jacku, czy pan otworzył tę kopertę?

— Nie — odparł. — Ale czemu pani tak krzyknęła na mnie?

— Niech mi pan zrobi przysługę.

— Oczywiście... oczywiście, Talio — powiedział, zdziwiony, że nazywa go po imieniu. Co mam zrobić?

— Nie otwieraj pan, proszę bardzo, tej koperty. Schowaj pan wszystko, co tyczy Marla, w bezpiecznym miejscu. Czy to przyrzekasz?

— Przyrzekam solennie, chociaż dziwi mnie to

żądanie.

— Czy mówił pan z kimś o tym?

— Doniosłem inspektorowi.

Usłyszał okrzyk gniewny.

— Przyrzeknij mi pan, nie mówić o tym nikomu...
nikomu... zwłaszcza o fotografii.

— Ależ naturalnie, Talio. Jeśli pani chce, mogę ją
zaraz posłać.

— Nie, nie, nie czyń pan tego! — krzyknęła,
przerywając rozmowę.

Siedziała długo, dysząc ciężko, potem, włożywszy
kapelusz, wyszła na lunch.

Talia biesiaduje w towarzystwie ministra

Minał czwarty dzień miesiąca, a Derrick Yale żył dalej.

Przypomniawszy to, wchodząc do biura, które obecnie dzielił z Parrem.

— I tak nadaremnie przepadło mi rybołówstwo.

— Lepiej — mruknął inspektor — że przepadło rybołówstwo, niż życie, gdyż pewny jestem, że już by pan nie wrócił.

— Wierzysz pan, widzę, ślepo w Czerwony Krag?
— zaśmiał się.

— Istotnie... do pewnego zresztą tylko stopnia — przyznał, nie przerywając pisania listu.

— Brabazon złożył podobno zeznanie?

— Tak. Niewiele to znaczy. W każdym razie wiemy już, że od długiego czasu wymieniał pieniądze, wyduszone przez Czerwony Krag od ofiar, zrazu nieświadomie, potem już jako agent bandy.

— Czy zamierza go pan obwinić o zamordowanie

Marla?

Inspektor zaprzeczył.

— Nie mam na to dostatecznych dowodów.

Potem wysuszył list i włożył do koperty.

— Co pan wymiarkował we Francji? Nie mówiliśmy jeszcze o tym.

— Mniej więcej to samo, co Froyant — rzekł Parr, zapalając fajkę. — Szło mi głównie o Marla. Wiadomo panu może, iż był on tam członkiem zbrodniczej bandy i został razem ze swym przyjacielem.. zdaje mi się, niejakim Lightmanem.. skazany na śmierć.

Lightmana położono pod gilotynę, ale skutkiem jakiegoś zaniedbania kata nóż nie spadł, powstała mała rewolta wśród widzów i delikwenta zesłano na Wyspę Diabelską do Kayenny czy innej kolonii karnej, gdzie zmarł.

— Lightman uciekł — oświadczył Yale spokojnie.

— Jakże, u licha, dokonał tego? — zawołał Parr, podnosząc głowę. — Zresztą szło mi nie tyle o Lightmana co o Marla.

— Czy mówi pan po francusku? — spytał

zniecka Yale.

— Płynnie. Ale czemu pan pyta?

— Ot tak sobie. Chciałem wiedzieć, jak panu szły badania.

— Mówię nawet dobrze po francusku — potwierdził inspektor, chcąc zmienić temat.

— Lightman uciekł — powtórzył Yale. — Chciałbym wiedzieć, gdzie jest teraz.

— Ta kwestia niewiele mnie interesuje — rzekł Parr z wyraźnym zniecierpliwieniem.

— Nie pan jeden interesuje się Marlem. Na pańskim biurku widziałem zawiadomienie Beardmore'a, że znalazł w papierach ojca informacje o nim. Stary James był człowiekiem ostrożnym.

Yale został zaproszony przez Mortona na lunch, a inspektor nie. Ale nie dotknęło go to wcale. Miał teraz mnóstwo roboty, by każdemu z zagrożonych ministrów wyszukać osobnego anioła stróża, a tego rodzaju śniadanka nudziły go tylko.

Byłby im zresztą przeszkadzał w poufnej rozmowie. Pod koniec rzucił Yale bombę sensacji, a oszołomiony komisarz padł we fotel.

— Ktoś z samego prezydium? — powiedział z niedowierzaniem. — To niemożliwe, mister Yale!

Derrick potrząsnął głową.

— Wszystko jest możliwe, panie komisarzu — powiedział. — Proszę wziąć pod uwagę, że ile razy chcemy schwytać Czerwony Krag, ktoś nas zawsze uprzedza. Ktoś, kto miał dostęp do celi Sibly'ego, otrul go. Musiał to uczynić ktoś z polecenia prezydium. A na przykład w wypadku Froyanta... dom był przecież obstawiony przez policję...

Komisarz odzyskał po trosze równowagę.

— Mówmy szczerze — powiedział. — Czy obwinia pan Parra?

Derrick potrząsnął głową ze śmiechem.

— Ach, nie! Któżby mógł u Parra przypuścić zbrodnicze instynkty? Jeśli jednak bliżej sprawę weźmiemy na oko — zniżył głos — i uwzględnimy szczegóły tych morderstw, musi zwrócić uwagę, że w głębi tkwi osobistość, posiadająca znaczny autorytet.

— A więc Parr chyba?

— Parr sam nie działa, jestem tego pewny — rzekł Yale zagryzając wargi — ale może on być ofiarą

któregoś z podwładnych, któremu ufa. Proszę mi wierzyć, pułkowniku — dodał spieszenie — że nie zawahałbym się oskarżyć Parra, ani nawet pana samego, w razie posiadania jakichkolwiek dowodów.

Komisarz skulił się.

— Ręczę panu, że nic nie wiem o Czerwonym Kręgu — powiedział i zaraz roześmiał się, czując, że powiedział głupstwo.

— Co to za dziewczyna? — spytał, pokazując parę, siedzącą w kącie sali. — Spogląda nieustannie w pańską stronę.

— Ta dziewczyna — odparł Yale — to niejaka Talia Drummond, a towarzysz jej, jeśli się nie mylę, to czcigodny Rafael Willings, członek gabinetu ministerialnego, jeden z członków rządu zagrożonych przez Czerwony Krag.

— Talia Drummond? — gwizdnał komisarz przez zęby. — O ile pamiętam, niedawno przeszkrobała coś. Wszakże była sekretarką Froyanta?

Yale potwierdził.

— Dla mnie jest zagadką — przyznał. — Nie mogę zwłaszcza pojąć jej zimnej krwi.

W tej chwili powinna siedzieć w moim biurze, odpowiadać na telefony i załatwiać listy.

— Ma ją pan u siebie? — spytał komisarz, potem zaś dodał z uśmiechem — Istotnie jest zuchwała, w jakiz sposób doszła do poufałości z ministrem?

Derrick Yale nie umiał, czy nie chciał, tego objaśnić.

Siedząc dalej zauważył, że dziewczyna wstała i ruszyła wolno wraz z towarzyszem przez salę. Przechodząc obok ich stolika wytrzymała spojrzenie chlebodawcy z lekkim uśmiechem i rzuciła coś przez ramię idącemu za nią mężczyźnie w średnim wieku.

— Co pan na to, pułkowniku? — spytał Yale.

— No cóż? Zmyj jej pan głowę i koniec!

Tak też postanowił uczynić tym razem.

W chwili, gdy wchodził do biura, Talia wiesziała właśnie kapelusz.

— Proszę panią na słówko — powiedział. — Czemu opuściła pani biuro w porze lunchu? Wszak prosiłem wyraźnie o pozostanie.

— A mister Willings prosił mnie wyraźniej jeszcze, bym z nim poszła na śniadanie — odrzekła z niewinnym

uśmiechem. — Jest on członkiem rządu, tedy nie mogłam go obrażać dla pańskiego dobra.

— W jaki sposób zapoznała się pani z nim?

— W różne sposoby poznaje się mężczyzn — odparła. — Można zamieścić ofertę małżeńską, można spotkać się w parku, a także można zostać przedstawioną. Ja zostałam przedstawiona.

— Kiedy?

— Ubiegłej nocy, około drugiej. Chodzę czasem tańczyć do Merro-Clubu, bo tej rozrywki wymaga moje zdrowie — wyjaśniła. — Tam właśnie się poznaliśmy.

Yale sięgnął do kieszeni i położył przed nią na biurku pieniądze.

— Oto pensja tygodniowa, Miss Drummond — powiedział, nie zdradzając oburzenia. — Od tej chwili nie będę korzystał z pani usług.

Podniosła brwi.

— Wszak chciał mnie pan poprawić? — spytała z taką powagą, że zrazu zdumiony, roześmiał się.

— Pani poprawić nie sposób! — rzekł swobodnie już. — Przebaczyłbym, gdyby nawet brakło dużo w

kasie na porto dla listów, ale przebaczyć nie mogę, że wychodzi pani z biura, gdy dałem przeciwne polecenie.

Policzyła pieniądze.

— Ściśle tyle, co się należy — powiedziała szyderczo. — Panie Yale, musisz pan chyba pochodzić ze Szkocji.

— Jeden tylko istnieje sposób, by panią poprawić, Talio Drummond — powiedział z powagą, szukając odpowiednich wyrażeń.

— Jakież to?

— Ożenić się z panią. Ja sam nawet skłonny byłbym do takiego eksperymentu.

Przysiadła na skraju biurka, wybuchając rozgłośnym śmiechem.

— Jakież z pana komik — powiedziała po chwili. — Ale widzę także, że jest pan życzliwy ludziom. — Potem dorzuciła poważnie: — Przyznaj pan, że nie masz dla mnie więcej skłonności niż dla tej wielkiej muchy na ścianie.

— Nie jestem w pani zakochany, oczywiście.

— Tak mi się wydawało. Ano więc przyjmuję zapłatę, wypowiedzenie, oraz dziękuję za sposobność

pracowania dla geniusza, jakim pan jesteś.

Yale przerwał rozmowę tonem czysto kupieckim, jakby szło o nieprzyjętą ofertę, mruknął coś o liście polecającym i na tym się skończyło. Wyszedł do swego biura, nawet drzwi nie zamykając.

Wypowiedzenie było dla Talii sprawą o wiele ważniejszą, niż to okazała. Yale podejrzewał ją, albo w sposób chytry snuł jakiś plan, by ją zgubić.

Wracając dumiała także nad wzmianką o Johnsonie przy Mildred Street. Kryć się w tym mogło coś więcej, niż jej stosunek z Czerwonym Kręgiem, co dawał do poznania.

W domu zastała list. Wódz bandy był widocznie pilnym korespondentem. W sypialni, przy zamkniętych drzwiach, przeczytała.

Bardzo dobrze. Jestem zadowolony z precyzyjnego wykonania zleceń.

Zapoznanie z Willingsem było doskonale zainscenizowane i, jak przewidywałem, poszło gładko. Proszę poznać tego człowieka na wskroś, wy badać jego słabostki i donieść, co sądzi osobiście o

zapatrywaniu gabinetu na moją propozycję. Suknia pani podczas lunchu była zbyt skromna. Proszę nie szczędzić na toalety. Derrick wypowie pani dziś, ale to nic. Nie ma już potrzeby wysiadywać w biurze. Dziś wieczór spędzi pani z Willingsem, wielkim kobieciarzem.

Proszę przyjąć zaproszenie do domu i obejrzyć zbiór starych mieczów, z którego jest wielce dumny. Umożliwi to pani poznać rozkład domu.

Koperta zawierała dwa nowe stufuntowe banknoty, które wzięła, przybierając poważny wyraz twarzy.

Zebranie Czerwonego Kręgu

Mister Rafael Willings był wytworem swojej epoki. Choć zaczął dopiero czterdzistkę, dzięki wytrwałości dostał się do rządu, nie bardzo zresztą lubiany przez kolegów i cały kraj. Ale doceniano jego sprawność i wielki dar krasomówstwa, a chociaż nie budził na ogół zaufania, miał za sobą spory poczet zwolenników i niezawodnych wyborców.

Koledzy mieli o nim dość niewyraźne zdanie. O włos nie został wmieszany w skandaliczny proces rozwodowy, a policja, chcąc skompromitować lekkoducha, zrobiła w Merro-Clubie i w drugim jeszcze lokalu nocnym, gdzie stale bywał, wielką obławę. Ten postępek policji spowodowała żona jednego z kolegów, a Willings dowiedziawszy się o tym, napadł w sposób tak brutalny w pismach na nieszczęsnego męża zazdrośnicy, że tenże musiał się podać do dymisji.

Był barczysty, niemal korpulentny, łysawy, a poza tym prezentował się świetnie.

Sądził, że sam nader zrecznie zmotował znajomość z Talią Drummond i padłby chyba trupem dowiedziawszy się, że ta dama tegoż jeszcze ranka otrzymała odnośne zlecenie od Czerwonego Kręgu.

Organizacja ta miała setki agentów w różnych sferach, buchalterów, lekarza, jednego dyrektora kolei i trzech zarządców hotelowych. Płacono ich dobrze, a obowiązki nie były ciężkie. Często, jak tu, szło tylko o zapoznanie dwu osób. Rozkazy otrzymywali wszyscy zawsze w tej samej formie.

Czerwony Krąg miał przewyborny węch i w sposób iście niesamowity trafiał tam, gdzie była zbrodnia, nędza czy nieszczęście, często nawet uprzedzając te wypadki. Powoli wzrastała liczba agentów, którzy, nie znając się nawzajem, nie znali także swego wodza.

Każdy spełniał, co mu polecono, a funkcje podrzędnych współpracowników były śmiesznie blahe. Gdy w początkach organizacji kilku strachajłów zgłosiło się do policji z donosem, wyszło na jaw, że Czerwony Krąg żąda jeno rzeczy prostych i zgoła niewinnych.

Strach zapewniał wierność znacznej większości, a

system szpiegowania, musiał być świetny, skoro tego dnia, kiedy Derrick Yale był na lunchu z Mortonem, Czerwony Krąg zwołał zebranie, wykluczając wszystkich niepewnych i niezadowolonych, tak jakby im to wyczytał z twarzy. Wybrańcy otrzymali wskazówki, w jakiej mają przybrać odzieży i co czynić, by nie zostać rozpoznanymi przez współpracowników.

Zebranie to stało się dla Talii najbardziej interesującym wspomnieniem z całego czasu trwania jej stosunku z Czerwonym Kręgiem.

W City jest sporo starych kościołów, ale za najdawniejszy uważają powszechnie kościół świętej Agnieszki przy Powsler Hill. Ocalawszy po wielkim pożarze, zaduszony został przez ruchliwe miasto, które go otoczyło dokoła wysokimi magazynami, tak że tylko szczyt wieży sterczał ponad dachy. Gmina wiernych nie przekraczała dwudziestu osób, ale miała swego kapelana, który wygłaszał w niedzielę kazanie. Płacono mu rzecz można za to, by się zobaczyć na nabożeństwie ze znajomymi. Magazyny pochłonęły także rozległy dawniej, zadrzewiony cmentarz, kości zmarłych przeniesiono na inne miejsce.

Dostęp był z wąskiej, ciemnej bocznicy, tak że wieczór nie rozróżniano idących tędy, którzy tonęli w czeluści czarnej jak noc bramy.

Tutaj odbyło się pierwsze, a zarazem ostatnie zebranie Czerwonego Kręgu.

I przy tej także sposobności okazało się, jak precyzyjna była organizacja. Każdy członek otrzymał ściśle wskazówkę, o której minucie ma przybyć, tak że nigdy dwie osoby nie zetknęły się przed bramą. Talia domyślać się tylko mogła, w jaki sposób naczelnik uzyskał klucz i jak obliczył początek i koniec zebrania, by wypadło pomiędzy dwoma rontami policji miejskiej.

Przybyła punktualnie w uliczkę i podeszła dwa stopnie do bramy, a brama otwarła się i zamknęła zaraz. Wewnątrz nie było światła, a tylko przez witraże górą mżyły latarnie ulicy.

— Iść prosto! — szepnął głos jakiś. — Siadać obok drugiego konfesjonału po prawej.

W kościele było sporo ludzi, rozróżniała ich zarysy. Na każdej kwaterze ławy siedziało po dwoje, tajemniczo, cicho, bez słowa. Niebawem przybył człowiek, który ją wpuścił i stanął u bariery ołtarza. Od

pierwszych zaraz słów zrozumieli słudzy Czerwonego Kręgu, że stoją w obliczu pana.

Głos jego brzmiał głęboko i głucho. Musiał mieć na twarzy welon, jak pierwszej nocy, gdy się spotkali.

— Przyjaciele! — zaczął wyraziście. — Nastal czas rozwiązania naszej organizacji. Czytaliście w dziennikach mą propozycję. Otóż dwadzieścia co najmniej procent tej sumy, którą mi rząd dać musi ostatecznie, rozdzielię pośród was, którzyście mi wiernie służyli. Jeśli by się ktoś bał, że nas tu zaskoczą, niech wie, iż ront policji przejdzie dopiero za kwadrans, a głosu mego nie słyhać z ulicy.

Jał mówić głośniej i twardziej.

— Ci, którzy sądzą, że takie zebranie będzie moją zgubą, a nawet może knują zdradę, niech wiedzą, iż aresztowanie mnie tej nocy jest wprost wykluczone. Przyjaciele, wyznaję, złe nastały czasy i zagraża nam wszystkim wielkie niebezpieczeństwo. Nieomal ujawniono dwa fakty, które by dały policji możność stwierdzenia mej tożsamości. Ściga mnie zaciekle Yale i nader sumienny a wytrwały Parr. W tej wielkiej chwili musicie mi pospieszyć z pomocą. Jutro otrzyma każdy

bardzo szczegółowe zlecenia i wskazówki. Pamiętajcie przyjaciele o dwu rzeczach, mianowicie, że jesteście tak bardzo jak i ja zagrożeni i że wynagrodzenie wasze przekroczy najśmielsze marzenia. A teraz zechcecie opuścić ten kościół pojedynczo, w odstępach po pół minuty. Pierwsi zaczną dwaj od prawej, potem dwójka od lewej i tak dalej aż do końca. Dalejże, zaczynać!

W przepisanych odstępach czasu wysuwały się ciemne postacie.

Mistrz czekał, aż się kościół opróżni, zamknął bramę, schował klucz, a przywoławszy auto, ruszył ku zachodowi.

Wcześniej pojechała w tę samą stronę Talia i zaraz nastąpiła zupełna zmiana w jej wyglądzie zewnętrznym. Znikł czarny płaszcz gumowy i kapelusz z welonem, a ukazała się jasna, jedwabna narzutka, kryjąca balową toaletę o głębokim dekolcie.

Poprawiła jak mogła włosy, wysiadła przed jasno oświetlonym klubem nocnym, a podając portierowi niewielką torebkę, promieniała całym blaskiem urody.

Tak przynajmniej przedstawiła się oczom Jacka Beardmore'a, który tego wieczoru, zaciągnięty wbrew

upodobaniem przez przyjaciół, siedział u stolika. Spojrzał zawistnie na jej towarzysza.

— Kto to jest? — spytano.

— Damy nie znam — odpowiedział któryś — ale kawalerem jej jest Rafael Willings, bardzo wpływowy minister.

Talia także zobaczyła Jacka i w zakłopotaniu puszczała mimo uszu słowa ministra.

Dopiero znany już frazes uderzył ją, przywracając równowagę.

— Starożytna broń! — powiedziała. — Ach, mówiono mi, że pan posiada niezwykle zbiór.

— Czy panią to interesuje? — spytał z uśmiechem.

— Bardzo nawet!

— Czy mogę mieć nadzieję, że pani raczy przybyć któregoś dnia po południu, by to obejrzeć? Kobiety rzadko zajmuje tego rodzaju kolekcja. Może jutro?

— Nie jutro — odrzekła — ale pojutrze.

Talia widziała, że Jack wychodzi, nie spojrzawszy nawet w jej stronę i zabolą ją to bardzo. Rada by była zamienić z nim słów kilka i miała nadzieję, że się zbliży.

Mister Willings uparł się odwieźć ją do domu własnym autem. Pożegnała go z westchnieniem ulgi, gdyż psuł jej dziś cały nastrój.

Zostawiwszy na ulicy wielbiciela (który nie tał zgoła swoich uczuć) podeszła do ciemnego całkiem wnętrza bramy, gdzie, jak miała przeczucie, czekał na nią nieznajomy.

Powiedział jej szeptem słów kilka, a ona odrzekła w ten sam sposób.

Nieznany mężczyzna obrócił się po chwili i obszedł bez słowa pożegnania, zaś Talia wróciła do siebie.

Mężczyzna szedł spieszenie, wiedząc, że jest śledzony. Czekał przez kilka minut w ciemnym kącie i dostrzegł na przeciwległym chodniku postać przyczajoną pod zamkniętym sklepem.

Czuł tego człowieka teraz poza sobą, a wiedział, że prześladowca go prześcignie, by spojrzeć mu w twarz. Zboczył tedy w ciemną przecznicę i zwolnił kroku. W chwili, gdy szpieg podszedł doń pod latarnią, skoczył nań, zanim zdołał krzyknąć, ścisnął mu gardło żelaznym uściskiem i rzucił na chodnik. Nagle, jak z pod ziemi zjawili się trzej ludzie i zaczęli bić leżącego.

Potem postawili go na nogi.

Oszołomiony przez chwilę spojrział wreszcie przytomnie na człowieka, którego śledził i rzekł głucho, z jękiem:

— Boże wielki! Poznaję pana!

Szpiegowany roześmiał się.

— Przyjacielu — powiedział. — Nie będziesz miał czasu spożytkować tej znajomości.

Zobaczmy się... o ile będzie pan żył

Jack Beardmore wrócił wściekły z żalu, z rozdartym sercem. Talia była jego ideałem, a jednocześnie wiedział, że zdolna jest do rzeczy najgorszej. Chodząc po bibliotece, czuł dobrze, iż jest skończonym głupcem i szaleńcem. Potem przesiedział z godzinę w fotelu i wstał znowu.

Z zamczystej kasy dobył plik dokumentów, rzucił je na stół. Zapieczętowana koperta z adresem ojca interesowała go najbardziej. Zapragnął, jak dziecko, otworzyć ją na złość Talii. Czemu tak się bała, by nie zobaczył zawartej tam fotografii? Czyż interesował ją Marl aż do tego stopnia? Przypomniawszy sobie, że z nim to właśnie tuż przed zamordowaniem spędziła cały wieczór.

Zabrał papiery i zaniósł do sypialni, ale ogarnęło go takie znużenie, że stracił ochotę badania tajemniczej koperty i jął się rozbierać.

Sądził, że spać nie zdoła, ale mimo udręki był

młody i ulegając prawom młodości, zasnął natychmiast. Miał sny niemiłe. Widział Talię w szponach potwora o rysach inspektora, to znowu jawił mu się Marl i jakiś stwór będący w związku z ową „matką” czy „babką” Parra, której się po prostu bał.

Nagle zbudził go odbłask światła padający na stolik nocny. Gdy usiadł w łóżku, światło zgasło, ale czuł że ktoś świecił. Błyskawica była o tej porze roku niemożliwą.

— Kto tam? — spytał, sięgając po lampkę elektryczną, ale przekonał się, że ją zabrano.

Wyskoczył z łóżka.

Ktoś zmierzał ku drzwiom. Jack rzucił się w tym kierunku i chwycił silnie intruza, który wił się i bronił. Jack zmacał w końcu włącznik i pokój zaala światłość. Zobaczył przed sobą drżącą Talię.

Trzymała coś ukrytego na plecach, spoglądając boleśnie i wyzywająco zarazem.

— Talio! — jęknął, opadając we fotel. — Po co pani przyszła? I co ukrywasz przede mną?

— Czemuż zabrał pan te papiery do sypialni? — spytała gniewnie. — Trzeba je było zostawić w

bibliotece, lub nie wyjmować z kasy.

Zauważył, że Talia trzyma w ręku kopertę z fotografią.

— Ależ Talio... nie rozumiem — mrucał. —
Czemu nie powiedziała pani?...

— Prosiłam, byś pan nie oglądał tej fotografii. Pojęcia nie miałam, że ją pan aż tu przyniesie. Oni byli tu w nocy i szukali.

Była bliską płaczu.

— Byli tu w nocy? — spytał przeciągle. — Kto był?

— Czerwony Krag! Wiedzieli, że ją pan masz i włamali się do biblioteki.

Uprzedziłam ich i błagałam Boga... błagałam, by znaleźli kopertę nieotwieraną. A teraz... — załamała ręce — teraz pewni są, że pan widział fotografię. O, czemuż tak się stało?

Wdział szlafrok, spostrzegłszy teraz dopiero, jak jest niedostatecznie odziany i uczuł się zaraz pewniejszym siebie, we fałdach ciepłego okrycia.

— Nic nie rozumiem, prócz tego, że włamano się do mnie. Trzeba to zobaczyć.

Zeszli do biblioteki. Tak było istotnie. Drzwi kasy wisiały krzywo na zawiasach, wycięto dziurę w okiennicy i otwarto ją. Zawartość szaf leżała na posadce, wydarto szuflady biurka i poprzierzucano papiery, wysypując nawet kosz.

— Nie wiem, co to znaczy — powiedział zasłaniając okno ciężką firanką.

— Kiedyś pan to zrozumie — oświadczyła z powagą. — A teraz proszę wziąć ćwiartkę papieru i pisać, co podyktuję.

— Do kogo? — spytał zaskoczony.

— Do inspektora Parra. Niech pan pisze: Szanowny inspektorze! Załączam fotografię, którą otrzymał ojciec mój w dniu śmierci. Nie otwierałem koperty, ale może to pana zainteresuje.

Posłusznie skreślił te wyrazy i podpisawszy list włożył go wraz z kopertą do większej koperty.

— A teraz adres! — poleciała. — W górnym rogu proszę napisać... Wysyła Jack Beardmore... pod tym zaś... Fotografia... Pilne.

Wziąwszy list, ruszyła ku drzwiom.

— Zobaczmy się jutro — powiedziała — o ile

pan będzie żył.

Omal się nie roześmiał na te słowa, ale wyraz cierpienia w jej rysach i drżenie rąk przeszkodziło mu w tym.

Talia w więzieniu

Minęło siedem dni od nadzwyczajnego posiedzenia gabinetu, a rząd ani myślał spełnić żądanie Czerwonego Kręgu. Przeciwnie, w sposób zgoła nie dwuznaczny podkreślono, że mowy nie ma o jakichś tego rodzaju pertraktacjach.

Tegoż dnia popołudniu spodziewał się mister Rafael Willings upragnionego gościa.

Dom jego w Onslow Gardens był istotnie jedną z osobliwości kraju, a kolekcja starożytnych zbroi, broni, szlifowanych misternie kamieni oraz miedziorytów była wprost niezrównana.

Tego dnia jednak nie myślał o tym wcale, a mimo że otrzymał anonimowe ostrzeżenie z zawiadomieniem, że Talia Drummond jest niebezpieczną złodziejką, nie czuł zgoła strachu, ale raczej tym większy pociąg.

Niechby mu wzięła pierwszy lepszy miecz wschodni, drogocenny kamień czy drzeworyt, byle się tylko okazała łaskawa i uległa.

Talię wpuścił służący o cudzoziemskim wyglądzie i przypomniała sobie zaraz, że minister ma w domu wyłącznie włoską służbę.

Rozglądnęła się bacznie po pokoju, gdzie ją wprowadzono. Po obu stronach były okna otwarte, co ją trochę zdziwiło. Spodziewała się także zastać stolik zastawiony do miłego tête à tête. Ale nie było go tu. Na ścianach widniały przepyszne okazy broni, co jej zaraz wpadło w oko. Willings zjawił się za chwilę i powitał ją z wielką serdecznością.

— Jedźmy, pijmy i weselmy się, gdyż jutro lub jeszcze dziś umrzeć możemy — powiedział patetycznie. Czy słyszała pani nowinę?

Potrząsnęła głową.

— Czerwony Krąg mnie sobie wybrał właśnie na najbliższą ofiarę. Z dzienników wie pani zapewne coś o tej miłej bandzie morderców — zaśmiał się. — Dano mi pierwszeństwo przed innymi kolegami pour encourager les autres...

Zdziwiła się, że w tych warunkach może być tak wesoły.

— Tragedia ma nastąpić w tym domu w ciągu

dzisiejszego właśnie popołudnia... Toteż prosiłbym bardzo...

Zapukano, wszedł służący i coś powiedział po włosku.

Rafael skinął głową.

— Auto czeka — powiedział — może mi pani uczyni zaszczyt wypicia herbaty w mojej willi wiejskiej. Będziemy w pół godziny na miejscu.

Takiego zwrotu nie oczekiwała wcale.

— Gdzie jest ta pańska willa?

Objął, że na przestrzeni pomiędzy Barnet a Matfielden i rozvodził się nad pięknnością okolic Hartfordshiru.

— Wolalabym tutaj wypić herbatę — powiedziała.

— Proszę wierzyć, że ja także — oświadczył. Onslow Gardens jest rajem, zwłaszcza z tak uroczym jak pani gościem, ale była tu niedawno policja i przekreślono ten mój plan.

Powiedziałem, że oczekuję przyjaciela na herbatę. Radzili mi obrać miejsce bardziej publiczne, ale w końcu zgodzili się, bym jechał na wieś. Miss Talio, nie zechce pani chyba popsuć tak miłego popołudnia.

Bardzo by mi była przykrą odmowa. Wysłałem już dwóch służących dla poczynienia przygotowań i mam nadzieję pokazać pani domek najpiękniejszy w promieniu stu mil od Londynu.

Zgodziła się.

— Dobrze. — Gdy zaś wyszedł, obejrzała z zachwytem broń rozwieszoną po ścianach.

Wróciwszy ubrany w płaszcz, zastał ją przed zbiorem najprzedziwniejszych mieczów i szyletów wschodnich.

— Prawda, że piękne? — powiedział. — Szkoda tylko, że nie mogę pani opowiedzieć dziś ich historii... Któż to zabrał szylet asyryjski? — zdziwił się nagle.

Istotnie, na ścianie widniało puste miejsce, a mała etykiетка zwracała uwagę na stratę.

— Zauważyłam już sama, że tu czegoś brak — rzekła.

Mister Willings zmarszczył brwi.

— Może go wziął do wyczyszczenia któryś ze służących? — powiedział. — Chociaż poleciłem wyraźnie czynić to tylko w mojej obecności. Zbadam to po powrocie — dodał po chwili wahania i zaprowadził

ją do wozu.

Strata nie przestawała go niepokoić i znaczna część rozradowania znikła.

— Pojąć nie mogę — powiedział, gdy jechali przez Barnet. — Wiem na pewno, że sztylet tam był jeszcze wczoraj. Pokazywałem go sir Tomaszowi Summers'owi, którego bardzo interesują tego rodzaju wyroby ze stali. Nikt ze służby tknąć by go nie śmiał.

— Był może ktoś obcy w pokoju? — spytała.

Potrząsnął głową.

— Tylko urzędnik z prezydium policji, a on z pewnością go nie zabrał. Tkwi w tym jakaś drobna tajemnica. Ale odłóżmy ją na potem.

Przez resztę drogi był uprzejmy, grzeczny, a nawet wesoły niemal, nie objawiając uczuć innych niż te, jakie wzbudzić może uczciwa dziewczyna w dobrze wychowanym mężczyźnie.

Nie przesadził wcale mówiąc o piękności swego małego domku, który był położony w odległości trzech mil od gościńca, wśród drzew i gęstwy krzewów.

— Jesteśmy więc na miejscu — powiedział, wprowadzając przez kasetonowany przedsionek do

przedziwnie urządzonego salonu.

Stolik do herbaty był w pogotowiu, ale ani śladu służby.

— Na koniec, droga moja, jesteście sami — ozwał się innym zgoła tonem, a Talia wiedziała, że nadchodzi moment krytyczny. Ale ręka jej nie drżała w chwili nalewania herbaty. Postawiła przed nim filizankę, on pochylił się, pocałował ją i nagle znalazła się w jego ramionach.

Nie stawiała oporu, rzekła tylko, patrząc mu odważnie w oczy:

— Chciałabym coś powiedzieć.

— Mów co chcesz — oświadczył zakochany Willings, nie puszczając jej.

Jednak mówić nie mogła, gdyż przywarł ustami do jej ust. Spróbowała wcisnąć ramię pomiędzy niego a siebie, broniąc się chwytem japońskim. Ale znał go i odparował zaraz.

Zaraz po wejściu spostrzegła wykusz w rogu pokoju, przysłonięty portierą. Tam ją niósł. Nie krzyknęła, on zaś rad był, że jest powolniejsza, niż przypuszczał. Dwa razy próbowała przemówić i dwa

razy nie dopuścił do tego. Dopiero w pobliżu portiery zaczęła się bronić rozpaczliwie.

Dwaj służący włoscy zajęci w kuchni odległej znacznie od salonu usłyszeli krzyk przeraźliwy. Wbiegli przez przedsionek. Drzwi salonu nie były zamknięte, otworzyli je więc.

W pobliżu portiery leżał Rafael Willings twarzą ku ziemi, a w plecach jego sterczał asyryjski sztylet. Obok stała blada jak ściana dziewczyna, spoglądając w osłupieniu.

Jeden ze służących wydobył sztylet z rany i dźwignął z trudem na otomanę swego pana, drugi zaś pobiegł do telefonu. Usiłując zatamować krew, mówił coś służący po włosku do stojącej kobiety, z czego nie zrozumiała ani słowa.

Jakby we śnie wyszła przez przedsionek na wolną przestrzeń.

Opodal bramy stało auto ministra, a szofer odszedł.

Rozglądnęła się. Nie było nikogo widać. Uczuwszy powrót energii, wskoczyła, naciskając co prędzej pedał gazu. Motor zadzwonił i pojechała w szalonym tempie. Ale zaraz natrafiła na zamkniętą kratę parku. Pamiętała,

że szofer wysiadł, by ją otworzyć, gdy wjeżdżali. Nie było chwili do stracenia. Cofnęła wóz, wzięła cały rozpęd i uderzyła w bramę.

Zabrzęczało szkło, trzasnęło żelazo, ale ona była już na gościńcu z uszkodzoną chłodnicą i zwisającymi w strzępach blachami błotników. Mimo to jednak znakomity wóz pędził dalej w kierunku Londynu.

Portier domu nie poznał jej, tak dziko wyglądała i tak była zmieniona.

— Czy pani chora? — spytał wioząc ją liftem.

Potrząsnęła głową.

Dotarłszy do siebie, pobiegła niezwłocznie do telefonu i podała urzędnikowi numer.

Potem zaczęła rzucać zdania bez związku, przerywane łkaniem, tak że słuchający z trudem pojął, co się stało.

— Już koniec... koniec z tym! — jęczała. — Nic więcej uczynić nie mogę, To straszne... straszne!

Odłożywszy słuchawkę poszła, zataczając się do sypialni. Musiała czynić nadludzkie wysiłki, by nie upaść. Dopiero po kilku godzinach odzyskała równowagę.

Derrick Yale, który przybył z wizytą wieczór, zastał Talię Drummond spokojną i zuchwałą jak zawsze.

— Zaszczyt to dla mnie wielki — powiedziała witając go. — Kogo to pan przywiózł ze sobą? — rzuciła pytanie, spoglądając na towarzysza detektywa.

— Talio Drummond — oświadczył Yale z powagą. — Mam rozkaz uwięzić panią.

Podniosła brwi.

— A więc jestem, widzę, stale w rękach policji? — zdumiała się. — O co mnie obwiniacie?

— O usiłowanie morderstwa Rafaela Willingsa. Ostrzegam, że od tej chwili każde słowo zostanie zapisane i może posłużyć jako dowód przeciw pani.

Człowiek przybyły z Yale'em ujął ją pod ramię.

Talia spędziła noc w celi posterunku policji.

Więzienny wikt

— Muszę dopiero wymiarkować, co się właściwie stało — powiedział Yale do zamyślonego, milczącego Parra. — Przybyłem do Onslow Gardens wkrótce po odjeździe Willingsa z dziewczyną. Służący, którzy zrazu odmawiali wyjaśnień, powiedzieli mi w końcu pod naciskiem groźby, że Willings zabrał ją do swej wiejskiej willi. Które z nich dwojga powzięło ten plan, trzeba dopiero zbadać. Może pojechała wbrew swojej woli. Od dawna już podejrzewam ją, że jest czymś więcej, niż służebnicą Czerwonego Kręgu. Przeraziło mnie to oczywiście i pojechałem do Thetheld, gdzie przybyłem bezpośrednio po jej odjeździe. Umknęła autem Willingsa, rozwalając po drodze bramę parku. Niesłychanie zimną krew i odwagę posiada ta dziewczyna.

— Jak się ma Willings?

— Wyzdrowieje. Rana jest powierzchowna, ale ważną rzecz stanowi fakt, że zamach został wykonany z

premedytacją. Willings zostawił dziewczynę na małą chwilę samą w zbrojowni, a po powrocie zauważył brak sztyletu, którym potem został zraniony. Schowała go prawdopodobnie w zarękawek. Nie może mi podać wszystkich szczegółów, poprzedzających bezpośrednio zamach.

— Hm.. — powiedział Parr. — Jak wyglądał pokój, gdzie dokonano zamachu?

— Był to mały, ładny salonik z wnęką przysłoniętą portierą, gdzie stała otomana.

Przypuszczam, że przed zamachem musiała się tam rozegrać mniej lub bardziej drastyczna scena, gdyż Willings ma nieszczególną opinię. Padł tuż obok tej właśnie portiery.

Mister Parr zamyślił się tak głęboko, że jego towarzysz sądził, że śpi. Ale nie spał, natomiast dumiał nad dziwnym faktem, że każda nowa zbrodnia Czerwonego Kręgu okrywa sławą kolegę.

Potem rzekł nagle, bez związku niejako z bieżącą sprawą:

— Każdy, najlepszy nawet zbrodniarz, pada ofiarą małego błędu w obliczeniach.

Yale uśmiechnął się.

— Istotnie, w tym wypadku ów mały błąd polegał na tym, że Willings nie został zabity. Nie cieszy się wielkim uznaniem i obeszloby się bez niego w gabinecie. Ja jednak rad jestem, że te szatany go nie dostały.

— Nie mam wcale na myśli Willingsa — odparł Parr, wstając powoli. — Mówię o drobnym kłamstwie, którego się dopuścił człowiek, zdolny do czegoś nierównie lepszego.

Wyrzekłszy te tajemnicze słowa, poszedł inspektor zanieść nowinę Jackowi Beardmore'owi.

Szczególne to było, że usłyszawszy o aresztowaniu Tali, w pierwszym rzędzie pomyślał właśnie o Jacku. Był on doń, bardziej niż się zdawało, przywiązany i wiedział jak na nim zaciąży nowy występek Tali.

Jack przeczytał to już w wieczornych pismach i był w stanie okropnej rozpacz.

— Trzeba jej dać najlepszego w stolicy adwokata — oświadczył stanowczo. — Nie wiem, czy mam być szczery z panem, inspektorze? Wszak będziesz pan stał po przeciwnej stronie.

— Naturalnie — odparł Parr. — Mimo to mam wielki szacunek dla Talii Drummond.

— Pan? — zawołał zdumiony Jack.

— Jestem człowiekiem. Zbrodniarza uważam za obiekt mego zawodu, a nie żywię doń osobistej nienawiści. Truland, którego wysłałem na galery, był najmiłszym w świecie człowiekiem i bardzo go lubiłem.

Jack zadrzał.

— Nie łącz pan bezpośrednio truciciela z Talia, powiedział gniewnie. — Czy ją pan uważa istotnie za kierowniczkę Czerwonego Kręgu?

Parr ściągnął usta.

— Gdyby mi ktoś powiedział, że na czele stoi arcybiskup Londynu, nie zdziwiłbym się wcale. Jestem pewny, że wyświecenie tej tajemnicy będzie dla wszystkich wielką niespodzianką. Zacząłem śledztwo od przypuszczenia, że Czerwonym Kręgiem jest pan, Marl, Morton, Derrick Yale, Talia lub ktoś inny jeszcze.

— I trzymasz się pan dotąd tego zapatrywania? W takim razie pan sam także mógłbyś nim być?

Mister Parr nie zaprzeczył.

— Matka sądzi... — zaczął, a Jack roześmiał się w głos.

— Przedziwna to osoba, ta pańska matka, czy babka. Czy ma ona także jakiś pogląd na istotę Czerwonego Kręgu?

Inspektor skinął głową z przekonaniem.

— Tak jest — rzekł. — Za pierwszym zaraz mordem wskazała punkt właściwy. I tak bywało zawsze... Najlepsze moje natchnienia jej zawdzięczam... właściwie wszystkie nawet...

Jack był rozweselony, ale pełen troski jednocześnie. Ten człowiek, tak źle z natury przysposobiony do swego zawodu, musiał wytrwałym jeno móżdżem dobić się wysokiego stosunkowo stanowiska. W innych urzędach awans zawisł od lat służby raczej niż zdolności.

I oto w chwili, gdy najdzielniejsi siłą się, by dotrzeć do źródła strasznej klęski, ten grubas mówi na serio o radach, otrzymywanych od swojej babki swojej?

— Muszę przyjść do pana i odnowić znajomość z ciotką — powiedział Jack.

— Przebywa teraz na wsi. Jestem sam, a tylko

posługaczka przychodzi sprzątać. To też mieszkanie nie czyni wcale miłego wrażenia.

Jack uczył ulgę, mogąc mówić o drobiazgach w chwili takiego rozbicia duchowego.

Jeden wieczór, spędzony w domu inspektora w towarzystwie owej ciotki, matki czy babki, byłby dlań kojącym balsamem.

Ale Parr skierował zaraz rozmowę na poważniejszą tory.

— Talia zostanie jutro przesłuchana, zatrzymam ją nadal w więzieniu — powiedział.

— Czy nie można by jej wypuścić za kaucję?

Parr zaprzeczył.

— Nie. Umieszczę ją w więzieniu Holloway — oświadczył srogo, jak się wydało Jackowi. — Będzie jej tam dobrze. To najlepsze więzienie w całym kraju i odpocznie sobie doskonale.

— Czemu ją aresztował Yale? Wszakże to pańska rzecz?

— Dałem mu zlecenie. On jest teraz urzędnikiem policji, ponieważ zaś rozpoczął tę robotę już rano, przeto lepiej było, zostawić mu ją nadal.

Istotnie, nazajutrz sędzia śledczy urzędu policyjnego przesłuchał tylko świadków, a Ta! ja została nadal dla celu dalszych zeznań.

Salę i ulice przylegające do gmachu, zappełnił tłum ludzi, zaciekawionych niezwykłym wydarzeniem.

Willings stanąć nie mógł, ale odzyskał siły na tyle, że na skutek pisemnej wzmianki porywczego w słowach premiera, wniósł prośbę o dymisję.

Tak czy owak stał się niemożliwym i jego postępek oburzył nawet politycznych zwolenników. Wziął nieznaną sobie niemal dziewczynę na wieś, usiłował ją zgwałcić i został zraniony sztyłem. Ta nader przykra przygoda miała wstrętny posmak i sam Willings klął własną głupotę.

Parr odwiedził uwięzioną tylko raz. Nie chciała z nim rozmawiać w celi tylko w poczekalni więziennej w obecności strażniczki, motywując to słowami:

— Racz pan przebaczyć, panie inspektorze, że nie przyjmuję pana u siebie, ale już wielu młodych, rokujących wielkie nadzieje funkcjonariuszy Czerwonego Kręgu zaskoczyła przedwczesna śmierć, wskutek rozmowy w celi z urzędnikami policji.

— O ile wiem, jedynym był Sibly — odparł. —
Który stanowi jaskrawy przykład braku roztropności.

Uśmiechnęła się.

— Czegóż pan tedy chcesz ode mnie?

— Chciałbym usłyszeć, co się działo w czasie
odwiedziny pani w Onslow Gardens?

Z całą prawdą opowiedziała cały
przebieg rzeczy.

— Kiedy zauważyła pani brak sztyletu?

— W chwili oglądania zbioru, gdy mister Willings
poszedł po płaszcz. Jak on się ma?

— Dobrze. Niedługo odzyska zupełnie zdrowie. A
czy Willings zauważył także wówczas, że nie ma tej
broni?

Skinęła głową.

— Czy miała pani zarękawek?

— Tak jest. Tam więc ukryłam, pańskim zdaniem,
swą morderczą broń?

— Czy miała pani w ręku ten zarękawek,
wchodząc do willi w Hatfield?

— Miałam — odparła po namyśle.

Inspektor wstał.

— Dostaje pani, sądzą, pożywienie?

— Tak jest. Wikt więzienny. Jestem całkiem zadowolona i nie chcę, by ktoś z wielkiej życzliwości przysyłał mi jedzenie, co wolno resztą więźniom pozostającym w śledztwie.

Potarł podbródek.

— Ma pani, zdaje się, zupełną słuszość — powiedział.

Zamach na Rafaela Willingsa wywołał panikę w gabinecie.

Dowiedział się o tym Parr, wróciwszy do biura. Premier był zaniepokojony zupełnie słusznie, gdyż Czerwony Krag nie zapowiedział dotąd, kiedy i kogo wybierze na następną ofiarę. Inspektor został wezwany do premiera i rozmowa ich trwała dwie godziny. Po raz pierwszy miał on osobistą naradę z prezydentem rządu, po czym nastąpiło tajne omówienie sprawy w gronie ministrów.

Wydarzenie to roztrąbiły zaraz dzienniki, twierdząc, że życie premiera jest zagrożone, a wieści tych nie potwierdzono, ani też nie zdementowano urzędownie.

Wróciwszy wieczór do domu, zastał Yale u drzwi swych czekającego nań inspektora.

— Czy jest coś nowego?

— Trzeba mi pańskiej pomocy... — zauważył Parr, gdy zaś usiedli przy płonącym kominku, jał

mówić. — Jak panu wiadomo, muszę odejść, a premier rozważa nawet, czy nie lepiej by było, odprawić mnie prędzej. Gabinet wybrał komisję dla zbadania metod prezydium policji, zaś komisarz polecił mi przybyć na niezobowiązującą rozmowę jutro wieczór do premiera.

— W jakim celu? — spytał Yale.

— Mam wygłosić wykład — rzekł ponuro — i przedstawić członkom gabinetu sposoby, jakich używałem dotąd w walce z Czerwonym Kręgiem. Wiesz pan, że otrzymałem wielkie pełnomocnictwa, a rząd nie kazał mi powiedzieć wszystkiego co wiem. Ale chcę to uczynić we czwartek wieczór i dlatego właśnie trzeba mi pańskiej pomocy.

— Drogi przyjacielu! Z miłą chęcią. — zawołał Yale serdecznie.

— Mnóstwo atoli jest punktów ciemnych, które dopiero zestawiam z trudem. W tej chwili mam wrażenie, że tym łotrom pomaga ktoś z łona prezydium policji.

— I ja tak sądzę — rzekł Yale spiesznie. — Ale skąd taka myśl?

— Dam panu przykład — powiedział inspektor

powoli. — Młody Beardmore znalazł pośród papierów ojca zapieczętowaną fotografię i przysłał mi ją, nie otwierając. Gdym atoli otwarł, znalazłem kartkę czystego papieru. Powiedział mi, że fotografię tę wręczył Talii Drummond, by ją wraz z listem wrzuciła do skrzynki pocztowej. Przysięga, że stojąc na stopniach swego domu, widział, jak go wrzuciła po drugiej stronie ulicy. Jeśli tak jest, to z kopertą coś się stać musiało już po nadejściu do prezydium.

— Cóż to za fotografia? — spytał Yale.

— Musiało to być zdjęcie egzekucji albo portret skazanego Lightmana, gdyż sądzę, że sporządzono tę fotografię przy sposobności nieudanego ścięcia. Stary Beardmore otrzymał to tuż przed śmiercią, a Jack znalazł i przysłał mi...

— Przez Talię Drummond — dodał Yale z naciskiem. — Sądzę jednak, że ktoś z prezydium mógłby tę dziewczynę oczyścić z tego podejrzenia. Ona tkwi głębiej w aferze, niż pan sądzi. Przeszukałem dziś wieczór jej mieszkanie i znalazłem ot to.

Wyszedł do przedpokoju i wrócił z pakietem w brunatnym papierze. Gdy go otworzył, inspektor

zdrętwiał ze zdumienia.

Na stole leżała długa rękawica szoferska i równie długi, szeroki nóż o talerzowatej gardzie.

— Jest to druga rękawica, stanowiąca parę ze znaną w gabinecie Froyanta. Nóż także zupełnie do tamtego podobny.

Parr obejrzał rękawicę.

— Tak. Jest z ręki prawej, a tanta z lewej. To jest rękawica, jakich używają motocykliści. Kto był jej właścicielem? Spróbuj pan swojej psychometrii.

— Już próbowałem — odparł Yale — ale przeszła widocznie przez wielu ludzi, tak że nie widzę niczego wyraźnie. Ten przedmiot świadczy jednak dowodnie, że Talia tkwi powyżej uszu w tej sprawie.

Zawinął wszystko z powrotem w papier i rzekł:

— Służę panu tedy z całą gotowością wszystkim co wiem.

— Radbym uzupełnić punkty mi nieznane — potrząsnął głową. — Ach, szkoda, że nie ma tu matki.

— Matki? — zdumiał się Yale.

— Babki raczej — odparł spokojnie inspektor. — Poza panem i mną, powiedzmy... jest to jedyny zdolny

detektyw stolicy.

Pierwszy raz w życiu miał Derrick Yale powód sądzić, że albo Parr oszalał, albo posiada wybitny dowcip.

* * *

Był to czas ogólnego podniecenia. Wszyscy mówili o Czerwonym Kręgu, a jedna sensacja gonila drugą. Ale nic takiego wrażenia nie wywarło chyba na Derricku Yale jak wieść, którą wyczytał w porannych dziennikach, leżąc w łóżku i pijąc kawę.

Talia Drummond uciekła.

Zdarza się w romansach, że ludzie uciekają z więzienia, nawet przez czas pewien uciekali naprawdę ze straszego Dartmooru, ale od kiedy istniało więzienie Holloway, nie uciekł zeń nikt, zwłaszcza kobieta. A jednak strażniczka, otworzywszy rano celę Talii Drummond, zastała ją pustą.

Nie łatwo było wstrząsnąć Derrickiem Yale'em, ale

tym razem piorun weń uderzył.

Czytał historię ucieczki słowo po słowie kilka razy, a zawsze było mu to zagadką.

Tymczasem dzienniki zawierały komunikat rządowy, spieszenie podany prasie.

Z uwagi na niezwykle znaczenie, jakie miała uwięziona dla sprawy Czerwonego Kręgu, oraz z racji ciężkiego oskarżenia przedsięwzięto środki ostrożności posunięte daleko.

Chodzące zawsze po tym oddziale patrole zostały zdwojone, a miast codziennych kontroli zaprowadzono półgodzinne obchody dyżurnych urzędniczek. Zazwyczaj nie zaglądają one do każdej celi, dziś jednak o trzeciej nad ranem, strażniczka Hardy zajrzała do celi Talii Drummond przez okno ponad drzwiami i uwięziona spała smacznie. Gdy o szóstej otwarto drzwi, cela była pusta. Krata w oknach i drzwi nietknięte.

Przeszukano okolice więzienia, nie znajdując żadnego śladu stóp, toteż jest zgoła wykluczone, by uciec mogła w normalny sposób. Musiałaby się

przedostać przez sześć różnych drzwi, z których żadne nie zostały otwarte przemocą, a w końcu minąć całą klucznicy, zawsze obsadzoną przez dzień i noc.

Ten nowy dowód wszechmocy Czerwonego Kręgu napędza wielkim niepokojem, zwłaszcza że jednocześnie śmierć zagraża członkom gabinetu.

Yale spojrzął na zegarek. Było pół do dwunastej. Z nagłówka dziennika przekonał się w dodatku, że mu doręczono wczorajsze wydanie wieczorne. W okamgnieniu wyskoczył z łóżka i bez śniadania pognął do prezydium, gdzie zastał inspektora w bardzo wesołym usposobieniu.

— Rzecz nie do wiary — wykrzyknął. — Ona i w więzieniu musi mieć przyjaciół.

— Oczywiście — przyznał Parr. — To samo powiedziałem komisarzowi. Jakżeby inaczej mogła umknąć?

Yale spojrzął nań podejrzliwie. Nie była to chwila stosowna do lekkomyślnej gadaniny, a Parr gadał istotnie lekkomyślnie.

Kto jest Czerwonym Kręgiem?

Nie dowiedziawszy się nic ponad to, co przeczytał, wsiadł Yale do auta i ruszył do swego biura, gdzie nie był już od dwu dni.

Ucieczka Talii była sprawą nierównie ważniejszą, niż się to wydawało inspektorowi.

Parr? — Straszliwa myśl powstała w głowie Derricka. John Parr, ten spokojny człowiek o głupkowatej minie?... Nie, to niemożliwe! Potrząsnął głową, ale zaraz jął zestawiać w jeden ciąg wszystkie wydarzenia, w których brał udział inspektor, w końcu jednak powiedział — ...Nie, niemożliwe!

Przyjechawszy, nie biorąc windy, wkroczył powoli na schody wiodące do biura.

Zaraz w pierwszej chwili po otwarciu drzwi zauważył, że skrzynka listowa jest pusta.

Była wielka, o patentowanej klapie uniemożliwiającej kradzież listów z zewnątrz. Siatka drucziana sięgała do posadzki niemal, a ponadto listy

spadały przez aluminiowe obrotowe lamelki, co czyniło daremnymi wszystkie wysiłki złodziei. A jednak nie zawierała nawet świstka reklamowego.

Zaledwo nastąpił na próg swego biura, stanął osłupiały. Szuflady były wyważone, żelazna kasa w murze, zasłonięta boazerią rozpruta, specjalna skrzynka stalowa o konstrukcji dostępnej znawcy tylko trzymana pod biurkiem, w której chował najważniejsze dokumenty związane z Czerwonym Kręgiem, została również otwarta przemocą.

— Długo siedział w fotelu, patrząc przez okno, uświadamiając sobie dobrze, kto był owym „mistrzem”. Mimo to spytał dla formalności windziarza i ten udzielił mu szczegółów.

— Tak jest, sir. Sekretarka pańska, ta ładna panienka, była dziś rano. Przyszła wcześniej. Zabawiła mniej więcej godzinę i odeszła.

— Czy miała torebkę?

— Tak, sir.

— Dziękuję — powiedział i wrócił do gmachu prezydium, by opowiedzieć flegmatycznemu Parrowi historię włamania i kradzieży dokumentów.

— A teraz powiem panu coś — ciągnął dalej — coś, o czym nie mówiłem z nikim, nawet z komisarzem! Przyjmujemy za fakt, że na czele Czerwonego Kręgu stoi mężczyzna.

Wiem przypadkowo, że ta dziewczyna miała raz spotkanie z pewnym mężczyzną w aucie, który ją wtajemniczył w arkana Czerwonego Kręgu, poddając może nawet myśl, ale dziś człowiek ten nie jest wcale punktem centralnym całej organizacji, tylko ona sama właśnie.

— Wielki Boże! — zawołał inspektor.

— Dziwił się pan, dlaczego ją trzymam w biurze, ja zaś twierdziłem zawsze, iż doprowadzi nas do tej bandy i miałem rację.

— A czemu ją pan oddalił potem?

— Gdyż dopuściła się czegoś, co zasługiwało na wydalenie, a gdybym tego nie uczynił, domyśliłaby się niezawodnie, z jakiego ją trzymam powodu. Ale mogłem sobie oszczędzić trudu — dodał. — To, co się dziś stało, świadczy, że wiedziała dobrze, o co mi idzie. — Delikatna, szczupła twarz jego zasepiła się i dodał ostrym tonem. — Gdy pan opowie dziś wieczór swoją

historię premierowi i jego przyjacielom, ja ze swej strony opowiem także coś, co niewątpliwie pana zaskoczy.

— Żadna rewelacja pańska zaskoczyć mnie nie zdoła — odrzekł Parr.

Wróciwszy do mieszkania zastał Yale trzecią już dnia tego niespodziankę. Służącego nie było, a kobieta-pomocnica nie sypiała tu wprawdzie, ale powinna była przebywać w mieszkaniu do dziewiątej. Tymczasem, wróciwszy o szóstej, zastał Yale mieszkanie ciemne i puste. Zaświeciwszy obszedł pokoje. Naruszony był tylko gabinet, ale robota wykonana została z całą precyzją i gorliwością. Oboje służących wywabiono pod jakimś pozorem i Talia mogła gospodarować zupełnie spokojnie.

— Kuta na cztery nogi — mruknął z uznaniem, bez gniewu. — Nie traciła czasu. W ciągu niespełna dwunastu godzin uciekła z więzienia i splądrowała biuro oraz mieszkanie, zabierając cały materiał Czerwonego Kręgu.

Ubrał się bez pośpiechu, dumając, co z tego wyniknie. Siebie był pewny całkiem. W ciągu doby

Parr zostanie zdruzgotany. Dobył ze szuflady w biurze niewielki rewolwer i schował w kieszon. Sprawa Czerwonego Kręgu miała zostać zakończona w sposób zgoła nieoczekiwany.

W wielkiej hali pałacu premiera spotkał gościa, którego obecności nie przypuszczał wcale, Jack Beardmore ucierpiał co prawda skutkiem działalności Czerwonego Kręgu, ale w wydarzeniach późniejszych nie miał żadnego udziału.

— Dziwi pana zapewne moja obecność — roześmiał się młodzieniec, witając detektywa. — Ja także dziwię się wielce, że zostałem tu zaproszony.

— Kto pana zaprosił? Czy może Parr?

— Mówiąc ściśle, sekretarz premiera, ale myślę, że Parr to spowodował. Czy nie czuje się pan nieswojo w tym towarzystwie?

— Po trosze — uśmiechnął się Yale, kładąc przyjaźnie dłoń na ramieniu Jacka.

Wszedł spieszenie młody sekretarz prywatny i wprowadził obu do świetnego salonu, gdzie około tuzina osobistości rozmawiało, stojąc w dwu grupach.

Premier podszedł, witając detektywa.

— Inspektor Parr jeszcze nie przybył — rzekł i objął Jacka pytającym spojrzeniem. — To pewnie pan Jack Beardmore? — powiedział. — Inspektor prosił mnie specjalnie, bym pana zaprosił. Sądzę, że pragnie oświetlić lepiej jeszcze śmierć ojca pańskiego... którego zresztą dobrze znałem.

W tej chwili wszedł inspektor, przybrany w przenoszony frak i krawatkę dość dziwnie zawiązaną, co, razem wzięwszy, nie bardzo było stosowne w takim otoczeniu. Za nim kroczył komisarz o wielkich siwych wąsach, którego odprowadził premier na bok.

Mówili szeptem przez chwilę, potem zaś komisarz zwrócił się do Derricka.

— Czy domyślasz się pan może jakiego to rodzaju będzie wykład Parra? — zapytał niecierpliwie. — Sądziłem, że złożę tylko relację, ale ze słów premiera widzę, iż będzie to cała historia Czerwonego Kręgu. Myślę, że się nie zblażni.

— O, nie, sir, nie ma najmniejszej obawy — odpowiedział zniecka Jack.

Komisarz spojrział nań ze zdziwieniem, a Yale przedstawił ich sobie wzajem.

— Jestem tego zdania, co pan Beardmore — powiedział. — Parr nie tylko się nie zblądni, ale co więcej zdoła uzupełnić dużo punktów niejasnych, ja zaś ze swej strony uczynię to samo.

Wszyscy usiedli, a premier skinął na inspektora, by się zbliżył.

— Ekscelencjo — powiedział Parr. — Niech mi będzie wolno mówić stąd, gdzie stoję, nie jestem bowiem krasomówcą i opowiem tylko prostą historię.

Odkrząknął i zaczął mówić, zrazu niepewnie, szukając wyrazów, ale potem coraz wyraźniej i szybciej.

— Czcigodni panowie! Czerwony Krag jest to człowiek, nazwiskiem Lightman, który popełnił we Francji liczne morderstwa, a skazany na śmierć, ocalał jedynie dzięki przypadkowi, to jest skutkiem nieprawidłowego funkcjonowania gilotyny. Pełne jego imię i nazwisko brzmi Ferdynand Walter Lightman, a w dniu, kiedy miał zostać ścięty, liczył lat dwadzieścia trzy i cztery miesiące. Zesłany do Kajenny umknął, zamordowawszy dozorcę, prawdopodobnie do Australii.

Człowiek takiego samego rysopisu, ale innego nazwiska rzekomo, pracował przez osiemnaście miesięcy dla pewnego kupca w Melbourne, a potem przez dwa lata i pięć miesięcy dla pewnego osadnika, Macdonalda. Opuścił Australię bardzo spiesznie pod grozą aresztowania przez miejscową policję za wymuszenia dokonywane na swoim chlebodawcy.

Co się z nim działo później, nie wiadomo, aż do chwili, gdy w Anglii zjawił się nieznany tajemniczy szantażysta, noszący miano Czerwonego Kręgu, który z wielkim talentem organizacyjnym i cierpliwością zgromadził koło siebie znaczną liczbę pomocników nie znających się wzajem między sobą.

Metodą jego było, że wyszukiwał stale osoby na stanowiskach odpowiedzialnych, które potrzebowały pieniędzy, albo zagrożone były ciężką karą za jakieś przestępstwo i wchodził z nimi w stosunki dopiero po zasięgnięciu szczegółowych informacji.

Spotkanie odbywało się z reguły w zamkniętym samochodzie, prowadzonym przez niego samego. Zazwyczaj obierał place śródmieścia posiadające kilka wyjazdów, a jak wiadomo, z reguły w samej metropolii

bardzo źle oświetlonej.

Inną klasą ulubionych pomocników Czerwonego Kręgu byli zbrodniarze zwolnieni z braku dowodów lub tacy, którzy odsiedzieli karę. W ten na przykład sposób został zwerbowany marynarz Sibły, człowiek upośledzony na umyśle. W ten sposób pozyskał Czerwony Krąg Talię Drummond... — zawahał się — złodziejkę i przyjaciółkę złodziei.

Dalej w ten sposób znalazł Murzyna, który zamordował dyrektora kolei. Zobowiązał sobie bankiera Brabazona. Byłby to uczynił także z Feliksem Marlem, ale niestety byli współnikami pewnej zbrodni, za którą Lightman omal nie stracił życia. Większym jeszcze nieszczęściem dla Marla było, że poznał on dawnego kompaniona, gdy się spotkali w Anglii.

Dlatego też Marl zginął i to śmiercią obmyśloną wprost genialnie.

Możecie sobie wyobrazić, czcigodni panowie — ciągnął dalej wśród ogromnego napięcia słuchaczy — że Czerwony Krąg...

— Dlaczego nazwał się Czerwonym Kręgiem? — spytał zniecka Yale.

— Nazwał się tak — odparł po chwili z naciskiem inspektor — gdyż imię to nadali mu współwięźniowie. Wokoło szyi jego był krągły, czerwony pas, znamię macierzyste... Stój, drabie, spokojnie, bo strzelam!

Dużego kalibru pistolet webleyowski dotknął piersi oniemiałego detektywa.

— Ręce do góry! — krzyknął Parr, potem szarpnął gwałtownie kołnierzyk Derricka i rozerwał koszulę.

Wszyscy zdrętwieli.

Czerwony, krwisty pas, jakby namalowany farbą, okrążał szyję Derricka Yale'a.

W salonie zjawili się w sposób tajemniczy trzej mężczyźni, ci sami, którzy trzy noce temu zaaresztowali szpiega. W jednej chwili został Yale skrepowany, odebrano mu rewolwer i zarzuciwszy worek na głowę, wyprowadzono ze sali.

Inspektor otarł z czoła perlisty pot i stał przed zdziwionymi słuchaczami.

— Czcigodni panowie — powiedział głosem wzburzonym nieco — raczcie mnie zwolnić na dziś, a jutro dokończę opowiadania.

Obstąpili go, zarzucając pytaniami, ale on potrząsał tylko głową.

— Przeszedł straszne rzeczy w ostatnich czasach. Nikt tego nie wie lepiej ode mnie — powiedział komisarz. — Radbym, ekscelencjo, by się pan przychylił do prośby inspektora i raczył odłożyć zakończenie na jutro.

— A więc proszę pana inspektora zjawić się jutro

na lunch — rzekł premier, a komisarz przyjął to zaproszenie w imieniu Parra.

Ujawszy Jacka pod ramię, opuścił inspektor salon. Na ulicy czekało auto. Wepchnął do niego młodzieńca, który powiedział dopiero po długiej chwili:

— Wydaje mi się to snem.. Derrick Yale? Niemożliwe... a jednak...

— To całkiem możliwe — roześmiał się Parr.

— Ale w takim razie Talia działała wraz z nim?

— Oczywiście!

— Jak pan, inspektorze, odgadł tę całą historię?

— To matka odgadła, nie ja — zabrzmiała cudaczna odpowiedź. — Nie ma pan wyobrażenia, co to za dzielna osoba. Powiedziała mi dziś popołudniu..

— A więc wróciła?

— Tak, wróciła — potwierdził. — Chciałbym was zapoznać. Jest ona trochę za dogmatyczna i ma upodobanie do kłótni, ale pod tym względem nie krępuję jej nigdy.

— Może pan być pewny, że i ja nie myślę wdawać się w dyskusję — zaśmiał się bezwiednie, chociaż nie był zgoła wesoło usposobiony. — Czy sądzi pan

istotnie, że to ona wykryła tajemnicę Czerwonego Kręgu?

— Jestem tego tak pewny, jak że pana widzę w tym aucie.

Jack zamilkł aż do chwili, gdy skręcili w ulicę, gdzie mieszkał Parr.

— W takim jednak razie opinia Talii jest jeszcze gorsza i człowiek ten w czasie rozprawy szczerzyć jej nie będzie!

— Jestem tego pewny — odrzekł inspektor. — Ale po jakie лихо trapisz się pan Talią Drummond?

— Głupcze! Dlatego, że ją kocham! — wrzasnął Jack, ale zaraz jął przeproszać za uniesienie.

— Wiem, że jestem głupiec — roześmiał się cynicznie — ale chyba nie jedyny w Londynie, mister Beardmore. Usłuchaj mojej rady, zapomnij całkiem o Talii, natomiast zostaw trochę serca dla matki.

Jack miał już powiedzieć coś szkaradnego pod adresem tej matki czy babki inspektora, ale opanował się.

Inspektor wkroczył na schody i pierwszy stanął w progu mieszkania.

— Halo, matko! — zawołał. — Przywiozłem Jacka Beardmore'a, byście się zapoznali.

Jack usłyszał okrzyk.

— Proszę, proszę, wejdź pan, matka czeka na pana — zaprosił Parr.

Jack wszedł i skamieniał. Przed nim stała dziewczyna uśmiechnięta, trochę blada i znużona, ale.. jeśli nie śnił lub nie zwariował. . była to Talia Drummond we własnej osobie.

Uścisnęła mu dłoń i powiodła do stołu nakrytego na troje.

— Ojczy, powiedziałaś, że przywieziesz komisarza — powiedziała z wyrzutem.

— Ojczy? — wyjąkał Jack. — Ależ pan mi powiedział, że to pańska babka.

Uderzyła go po dłoni.

— Ojciec miewa czasem dziwny sposób żartowania. W domu zowią mnie matką, od kiedy zmarła matka prawdziwa, a to dlatego, że mu matkuje. A ta facecja o babce jest już absurdem, który proszę przebaczyć.

— To ojciec pani? — spytał.

Talia skinęła głową.

— Nazywam się Talia Drummond Parr. Dzięki Bogu nie jest pan wzorowym sędzią śledczym, gdyż bardzo rychło wykryłbyś straszną moją tajemnicę. Ale teraz bierz się pan do jedzenia, które własnoręcznie przyrządziłam.

Nie mógł jeść ni pić, pragnąc tylko dowiedzieć się czegoś więcej, przeto zaczęła rzecz wyjaśniać.

— Kiedy pojawiły się pierwsze morderstwa czerwonej Kręgu, a ojcu to oddano, wiedziałam od razu, że będzie to praca ogromna, która może się wcale nie udać. Ojciec ma wielu niechętnych w prezydium, a nasz komisarz odradzał mu to nawet jako rzecz nader uciążliwą. Musisz pan wiedzieć, że komisarz jest moim ojcem chrzestnym — dodała z uśmiechem — i oczywiście interesują go nasze sprawy. Ojciec się uparł, chociaż sędzę, że pożałował niedługo. Sprawy kryminalne miały z dawien dawna urok dla mnie, toteż gdy ojciec wyszperał zasadę organizacji i metody tej bandy, zdecydowałam się rozpocząć karierę zbrodniarki.

Pański ojciec otrzymał pogrózkę trzy miesiące

przed wykonaniem. W kilka dni po jej otrzymaniu przyjąłem posadę sekretarki u Froyanta dlatego, że posiadłości te graniczą ze sobą, a chciałem być blisko. Staralam się nawet o taką posadę u pańskiego ojca, ale bez skutku. Straszniejsze jeszcze było to, że w chwili morderstwa znajdowałam się w lesie. Nie widząc kto strzelił, poskoczyłam jednak do leżącego, po to atoli tylko, by stwierdzić, że nie żyje. Spostrzegłam poprzez drzewa, że pan biegnie i postanowiłam uciec, a to tym bardziej, że miałam w ręku pistolet szybkostrzelny. Jakiś podejrzany człowiek włóczył się w pobliżu, przeto wyszłam zbadać, co to znaczy.

Po śmierci ojca pańskiego nie było już potrzeby zostawać dłużej u Froyanta. Chcąc się zbliżyć do Czerwonego Kręgu, postanowiłam zwrócić na siebie uwagę przez rozpoczęcie kariery zbrodniczej. Skradłam złotego bożka, a ojciec tak wszystko urządził, że zaraz wyszło to na jaw. Nazwał mnie złodziejką i przyjaciółką złodziei po to, by wytworzyć odpowiednią atmosferę i oddziaływać na Derricka Yale, czyli Ferdynanda Waltera Lightmana. Nie groziło mi, oczywiście, więzienie, ale zyskałam opinię złodziejki i zaraz Czerwony Krąg

przysłał mi wezwanie. Spotkałam go w aucie na Steyne Square, a ojciec obserwował to i szedł za mną aż do samego domu. Kochany ojczulek zawsze był w pobliżu.

— Tylko nie w Barnet — potrząsnął głową. — Toteż bardzo się bałam.

— Jako członkini Czerwonego Kręgu objęłam posadę u Brabazona, bowiem system Derricka Yale polegał na szpiegowaniu jednych przez drugich. Brabazon był mi zagadką. Nie wiedziałam nigdy na serio, czy postępuje uczciwie, czy nie i zrazu, oczywiście, nie miałam pojęcia, że jest członkiem bandy.

Chcąc zachować charakter złodziejki, musiałam znowu kraść. Przyniosło mi to naganę ze strony mego tajemniczego szefa, ale zbliżyłam się przez to do szajki złodziejskiej i byłam przy Marisburg Place, tuż przed śmiercią Marla.

Yale wziął mnie na sekretarkę, w celu odwrócenia od siebie podejrzeń. Poza tym przysposobił mi wcale miły koniec życia. Polecił mi mianowicie, być w pobliżu domu Froyanta z rękawicą i nożem, z rzeczami zupełnie podobnymi do tych, jakie mu posłużyły do wykonania

morderstwa.

— Jak pani uciekła z więzienia? — spytał nagle Jack.

Spojrzała nań wesoło.

— Ejże, chłopcze! Czyż mogłabym tego dokazać? Wyprowadził mnie nocą sam dyrektor, a towarzyszył mi aż do domu pewien czcigodny inspektor policji.

— Był to nacisk wywarty na Derricka Yale — objaśnił Parr. — Na wieść o tej ucieczce zaraz zaczął czynić przygotowania do ucieczki z kraju. Spostrzegłszy włamanie do swego biura, poznał, że Talia Drummond jest czymś więcej, niż członkinią Czerwonego Kręgu.

Zakończenie opowieści

Nazajutrz poszedł Jack na lunch do premiera, a także Talia jako wybitna działaczka w tej sprawie, głośna bohaterka dnia.

Po śniadaniu skończył inspektor opowieść.

— Łaskawi panowie! Zwracam uwagę na fakt, że nazwisko Derricka Yale nie istniało aż do pierwszego morderstwa Czerwonego Kręgu. Założył on, co prawda, biuro w śródmieściu i rozsyłał pisma, sławiące jego zdolności psychometryczne, ale nie miał zgola powodzenia. Nie potrzebował tego zresztą, bowiem przysposabiał cios główny. Zaraz po pierwszym mordzie został Derrick Yale przyjęty do pewnego dziennika celem psychometrycznego badania faktu.

Nikt lepiej odeń nie znał mordercy ani sposobu dokonania zbrodni. Wiemy wszyscy, jak umiał odbudować rzecz całą, dotknąwszy tylko broni. Skutkiem tego został aresztowany Murzyn i to dokładnie w miejscu, które podał Yale. Sława Derricka

Yale'a wzrosła. A tego właśnie chciał. Wiedział dokładnie, komu zagraża Czerwony Krąg, i wiedział dokładnie, że będzie wezwany na pomoc. Przybywszy do swojej ofiary i zdobywszy jej zaufanie, działał w ten sposób, że wymuszał kwoty pieniężne, których żądał. Oczywiście, gdyby nie zapłacono, mordował swoje ofiary.

Froyant mógł nie zginąć, a w każdym razie nie z ręki Yale'a, gdyby nie był skapcem.

Pojechał do Tuluzy, żeby odzyskać pieniądze. Na bazie podejrzeń rozpoczął własne śledztwo przeciwko Derrickowi Yale'owi i był w stanie ustalić, że Lightman i Derrick Yale to jedna i ta sama osoba. W noc swojej śmierci Froyant posłał po nas, zamierzając złożyć zeznanie.

Dowodem na to, że się bał, jest fakt, że Froyant wziął dwa nabite rewolwery do kieszeni, chociaż zwykle bał się broni.

Oficjalny protokół komisarza brzmi w ten sposób:

Froyant czekał zawołania telefonicznego, którego nie było, i Yale skorzystał z tego. Chodziło o to, żeby mnie wywołać z gabinetu. Wyszedłem, a on schował

rękę w kieszeń, na jego ręce była rękawica szoferska i nóż, którym zabił Froyanta.

— Dlaczego miał tę rękawicę na ręku? — pytał premier.

— Dlatego, ponieważ musiał mieć rękę czystą. Z chwilą kiedy zabił Froyanta, ugodziwszy go w serce, położył rękawicę na biurku, aby mieć rękę czystą. Obróciłem się, a on mówił tak, jakby był rozmawiał z żywym człowiekiem, mimo że ten nie żył.

Wiedziałem dokładnie, że wywabi moją córkę, aby ją oskarżyć o zbrodnię morderstwa, jednak udała się do ogrodu, a przewidziawszy jego plan, poszła do domu.

Uprzedziłem wypadki. James Beardmore, spekulant parcelami gruntowymi, który znał ludzi dobrych i złych, czekał na przybycie Marla, który nie znał właściwego nazwiska Derricka Yale'a i nie wiedział, że jest to jego współnik z Tuluzy.

Derrick Yale stał w pobliżu krzewów i Marl go zobaczył w chwili, gdy miał wrócić do Londynu.

Pod wpływem strachu chciał zastrzelić Lightmana, ale odwaga mu nie dopisała, mimo że człowiek ten

zdradzał go aż do samej śmierci. Marl napisał tylko list, który wrzucił przez okno. List ten zawierał prawdopodobnie zapewnienie, że jeżeli on, Marl, nie będzie niepokojony, zostawi również w spokoju Yale'a. Blok B. znaczyło wspomnienie z więzienia w Tuluzie.

Od tej chwili Marl był człowiekiem straconym. Wymusił jeszcze pewną sumę na Brabazonie, agencie Czerwonego Kręgu, ale Brabazon stanowił potencjalne zagrożenie dla Yale'a, który otworzył jako detektyw biuro w śródmieściu, do którego to biura były adresowane wszystkie listy. Każdy list był Yale'owi wiadomy, albowiem jego przyjaciel pokazywał mu je.

Było zamiarem Brabazona, aby się sprzeciwić po śmierci Marla naciskowi Czerwonego Kręgu, i w tym celu zamknął jego konto na sześćdziesiąt dwa tysiące funtów szterlingów i ukrył się w domu nad rzeką.

Komisarz zaśmiał się.

— Jeśli mówię o tym, żeśmy tam byli, to jest nieprawdą. Derrick Yale poszedł sam do domu i wróciwszy, powiedział, że wszystko jest w porządku.

Komisarz roześmiał się.

— Chciałbym — powiedział premier — dowiedzieć się, co było z tym chloroformowaniem się w jego biurze?

— To było bardzo ładnie urządzone. Yale założył sobie kajdanki na ręce, skrępował się powrozem, rzucił pieniądze w kopercie do puszki, a miał na dole zaufanego człowieka, który je zabrał. Panowie pamiętacie, że śledztwo wykazało, iż w parę minut po fakcie wyszedł z biura stary listonosz. Całe nieszczęście polegało na tym, że córka moja była w szafie i widziała całą awanturę.

Ostatni wypadek mister Raphaela Willkina wypada w ten sposób, że dzięki córce mojej zachował życie. Ogarnięty miłością niepotrzebną do mojej córki, niósł ją celem zgwałcenia jej. W chwili gdy go odrzuciła, padł cios sztyletu, inaczej byłby zginął.

Oczywiście, Yale był zawsze pod ręką, ażeby wykryć zbrodnię.

Czcigodni panowie, zauważcie niezwykłą zręczność tego mordercy. Został pierwszorzędnym i głównym detektywem prywatnym, a nawet urzędnikiem prezydium policji i to na moje własne żądanie.

W ręce jego wchodziły dokumenty bardzo ważne. Niektóre nie były tak ważne, jak sądził. Lecz to uratowało życie młodemu Beardmore'owi, albowiem nie widział jego fotografii.

Czcigodni panowie, każdy najgenialniejszy morderca ginie skutkiem małego błędu.

Yale powiedział mi, że był w domu Willkina po odejściu Talii Drummond i że służący powiedział mu, gdzie pojechali.

To wystarczyło, aby go skazać.

— Pytam się w tej chwili tylko — powiedział premier — jaką nagrodę mam wyznaczyć córce pańskiej, mister Parr. Oczywiście awans pański jest załatwiony, mam miejsce komisarza. Ale chciałbym jeszcze poza dziesięćmioma tysiącami funtów szterlingów... chciałbym jeszcze coś dla niej zrobić, jako osoby, która wykryła spisek zagrażający życiu obywateli.

Na to odezwał się głos chrypliwy. Sam Jack nie wiedział, że to jest jego głos.

— Nie trzeba dbać o miss Parr, albowiem nasz ślub nastąpi niedługo.

Ucichły powinszowania, a inspektor zwrócił się do córki:

— Kochana, nie powiedziałaś mi tego.

— On mi sam nie powiedział, ale myślałam, że to jednak nastąpi.

* * *

Lightman czyli Yale był więźniem wzorowym, jedynie zarzucał władzom kryminalnym, że mu nie dali palić papierosów w drodze pod gilotynę.

— We Francji urządzają te rzeczy dużo lepiej. Kiedy ostatni raz byłem tracony...

Wobec księdza wyrażał się z ogromnym uznaniem dla Talii Drummond.

— Wyjdzie za Beardmore'a... szczęśliwy chłopiec... Osobiście kobiety wcale mnie nie interesują i dlatego zdaje mi się, życie tak mi się powiodło. Gdybym był mężczyzną pełnym życia, innej kobiety bym nie wziął jak ona.

Lubił tego księdza, albowiem był facecjonistą i bywalcem.

Pewnego marcowego poranka związali mu ręce i nogi.

— Panie kacie, czy pan znał pana Palliona? To był kolega pański.

Kat nic nie odpowiedział, albowiem nie wolno mu było rozmawiać ze straceńcami, za wyjątkiem tematu zbawienia duszy.

— Szanowny panie, niech pan czerpie doświadczenie następujące: Nie pij pan nic, pijaństwo było moim nieszczęściem. Gdyby pan Pallion nie pił, nie byłbym tutaj.

Myśl ta rzeźwiła go aż do szafotu. Położony pod gilotynę, wykrzyknął:

— To chyba pójdzie gładko!

Były to ostatnie słowa Czerwonego Kręgu.

KONIEC